



71
86

DUCHY - ŻORA WIE

250

HELENA CEYSINGERÓWNA

DUCHY — ŻÓRAWIE

DUCHY — ŻÓRAWIE



LWÓW
ZAKŁADEN TOWARYSTWA WYDAWNICZEGO

1902

DUCHY - ŻORA WIE

HELENA CEYSINGERÓWNA

DUCHY — ŻÓRAWIE

Książkę tę właściwie należałoby zatytułować
"poematy **FANTAZYE I OBRAZKI** zeń!"

Pamiętam, zdarzyło mi się kiedyś jesienią
wdrągnąć do zagajnika. Sosenki małe stały spo-
wite w pajęczyn opony, obciążone rosą poranną,
w której wstępujące słońce zapalało wszystkie
barwy tęczy. Zdawało się, że to rój w welony
ślubne zdobnych  ioliów, takich pię-
knych, takich czystych,  iroga iła do Boga,
nie zaś w objęciu  namiętne oblu-
bieńców.

Podobnego w  IUSTYTUTem, odczytawszy
ze  BADAŃ IŁA FRAZKICH PANI najbied-
sze i naji  BIBLIOTEKA tylko Izami
zachwy  00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72 aski za-
pala słońce ideal  Tel. 26-68-63

LWÓW

NAKŁADEM TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO

1902

HELENA CEYSINGEROWNA

DUCHY - ŻÓRAWIE

FANTAZJE I OBRAZKI



574

WARSZAWA. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.

1902

do siebie, jak sosenki w zagajniku, jak anioły
wie w marzeniu dziecka, tu jedną wciąż du-
szę stroją coraz nowe pajęczyny tęcnowe ma-
rzeni!

I kiedyś to czytałem, zdawało mi się, że na
moje oczy padają lzy tych marzeń, takich dzie-
wicznych, takich tęsknych, a takich pełnych
wiary, miłości i...
PRZEDMOWA.
własnego życia!

Książkę tę właściwie należałoby zatytułować
«poematy w prozie», albo «echa marzeń»!

Pamiętam, zdarzyło mi się kiedyś jesienią
zabrnąć do zagajnika. Sosenki małe stały spo-
wite w pajęczyn opony, obciążone rosą poranną,
w której wschodzące słońce zapalało wszystkie
barwy tęczy. Zdawało się, że to rój w welony
ślubne zdobnych dziewic-aniółów, takich pię-
knych, takich czystych, że droga im do Boga,
nie zaś w objęcia zmysłowo-namiętne oblu-
bieńców.

Podobnego wrażenia doznałem, odczytawszy
tę książkę. Tu dusze, spowite w marzeń najbiel-
sze i najlżejsze przedziwo, obciążone tylko łzami
zachwytu, lub tęsknoty, w których blaski za-
pala słońce ideału, tu dusze te rwą się nieska-
lane ponad ziemię.

Nie szukać tu tak zwanej prawdy życiowej
lub analizy psychologicznej. Tu dusze podobne

do siebie, jak sosenki w zagajniku, jak aniołowie w marzeniu dziecka, tu jedną wciąż duszą stroją coraz nowe pajęczyny tęczowe marzeń!

I kiedym to czytał, zdawało mi się, że na moje oczy padają lzy tych marzeń, takich dziewiczych, takich tęsknych, a takich pełnych wiary, miłości i nadziei, co sięgają poza chwilę własnego życia!...

Józefat Nowiński.

Podobnego wrażeń doznałem, obserwując
te kaisę. Tu dusze, spowite w marzeń najdeli-
sze i najczystsze przedziwo, opłcione tylko łzami
zachwytu, lub tęsknoty, w których blaski za-
pala słońce idealu, tu dusze te twą się nieska-
lane ponad ziemie.
Nie szukać tu tak zwanej prawdy życiowej
lub analizy psychologicznej. Tu dusze podobne

Duchy—żórawie.

We mgłach wieczoru, nad szerokimi samotnymi polami, jęcząc z cicha, leciał łańcuch żórawi. Wzrok mój pobiegł śladem ich lotu daleko, za rzekę, kędy coraz to mniejsze, jako plamki drobne spuszczały się powoli ku ziemi, aż znużone wędrówką daleką usiadły na suchych ścierniskach jesiennych. Przez otwarte okno coraz głębszy mrok i coraz większa cisza wpadały do mojej chaty. Sen ogarniał całą przyrodę.

* * *
Północ już. Po błękitnem, tajemniczem niebie białe chmurki przelatują jak widziadła. To zasłaniają tarczę księżyca, to odkrywają ją nagle i raz cień głęboki, raz smętny promień miesiąca pada na ziemię. Noc to dziwów jakichś i cudowności pełna... Na wzgórzu, gdzie na spoczynek usiadło stado żórawi, czarodziejska ja-

kaś rozgrywa się scena. Ptaki? nie ptaki? Istotyż to żywe, czy duchy zakłète? Twarze ludzi umarłych, a skrzydła rozłożyste i postawy harde, jak u ptaków wysokiego lotu...

Ale przypatruję się im bliżej i dostrzegam, że na twarzach tych znużenie, smutek i rozpacz wyryte... że skrzydła wielu połamane, a pióra plami krew. Rozbitki. I jedna tylko postać między nimi ma hardość i powagę tych, co nie żałują przeszłości i nie oglądają się za siebie. Przewodnik to ich, wódz. Stał w pośrodku, spokojny, wyniosły, ze wzrokiem w najdalszą, promienną gwiazdę utkwionym. Skrzydła jego całe purpurowe od krwi nie zwisały niedbale ku ziemi, ale stroszyły się wciąż, jakby do walki.

I obstępily go ptaki osłabłe i wołały głosem rozpaczny: Znużeniśmy.

I każdy zlorzeczył mu, że go z sobą pociągnął do lotu.

Jeden o obliczu pięknem, jako marzenie senne, mówił przyciszonym głosem.

— Wiesz, jako najurodziwszy byłem z pośród was i skrzydła moje najlotniejsze były. Tyś mi wodzu pokazał cel-marę i rozkochany w szumie skrzydeł twoich poszedłem za tobą, a porzuciłem tę, co mnie sercem kochała na ziemi. Gdzie ona wodzu? Czy pośród pustych, zimnych błękitów spotkam kiedy miłość mło-

dych moich lat? Przeklęty bądź! Nie usnę nigdy w jej ramionach....

A drugi ptak, którego pióra ufarbowane były krwią, wołał z żalnością namiętną:

— Wodzu, wodzu, niewinność moją mi wróć! Jam dla ciebie cały w krwi się ubroczył, a byłem przedtem czysty jako anioł...

A inny, znać pisklę niedorosłe, skarżył się żławo:

— Gdzie gniazdo moje? Gdzie matki mojej pierś gorąca? Oto latam błędny po świecie szerokim, a do gniazda trafić nie mogę. Powróć mnie wodzu do miejsc, co młodość moją i szczęście moje widziały, powróć mnie ty, coś mnie wyrwał z pod skrzydeł matki i powiódł w boje nad siły!

To mówiąc, upadał smętny, znużony lotem podniebnym.

I reszta duchów z wyrzutem wołała:

— Kazalesz nam po tamtej stronie grobu lecieć do słońca, choć sam nie miałeś wiary, że dolecim. Poszliśmy, nie pytając o dzień zwycięstwa. A oto poszarpane są pióra skrzydeł naszych i duchy błędne skazaliśmy przez wieczność całą lecieć ku gwiazdom, co uciekają przed nami niedoścignione.. Kiedyż dzień spoczynku dla nas, co walczyliśmy bez nadziei, umarli bez chwały i oto po śmierci mdlejemy od lotu? Kiedyż koniec męki?

Wódz-duch stał posępny, krwawych skrzydeł obrzucony cieniem, nieznużony i niezłamany duch-żóraw. Milcząc słuchał żalów strudzonego ptastwa, i tylko gniewem stroszyły mu się pióra, tylko chmurą pogardy zachodziło czoło.

A była między tą lotną drużyną pół-dziwica, pół-ptaszka o białych piórach, co w świetle miesiąca błyszczwały jak srebro rozlane. I ona miała krwawą plamę na piersiach, ale stała cicha, ze skrzydłami wzniesionemi do góry, niby wiecznie do lotu gotowa. Więc zwrócił się wódz ku niej i zapytał:

— Czemu się nie żalisz? Młoda i piękna poleciałaś za nami. Jak jaskółka fruwałaś przy ziemi, jasna, pogodna, szczęściem dziecinnem szczęśliwa... Czemu nie wołasz jak tamci o wdzięk swój, o krasę swoją, o życie młode przerwane, czemu nie skarżysz się na mękę lotu pośmiertną?

— Powiedz, gdyby przeszłość wrócić mogła, czego pragnęłabyś dla siebie?

A ona odpowiedziała głośno:

— Raz jeszcze umrzeć przy tobie!

Żrenice ich gorejące spotkały się z sobą na chwilę, a potem znowu podniosły ku górze, ku światłom bożym. I rzekła jeszcze srebrnopióra:

— Przed siebie. Ni nam zawrócić, ni obniżyć lotu.

I pierwsza, rozwinawszy skrzydła, szła w błę-

kity, jako duch ze mgły. I szmer wielki powstał między ptastwem duchów i słychać było piór szelesty i szumy skrzydeł, a potem jako chmura zerwali się wędrownicy znużeni i za przewodniczką promienną polecili ku gwiazdom dalekim. Fantastyczne ich kształty rozplywały się... mdały... promienie księżycy gasły... ciemność zalegała ziemię.

* * *

Gdym się obudziła, był świt. Na purpuro-
wem tle wschodniego nieba kilkanaście czarnych
plamek kołysało się w powietrzu. To stado żó-
rawi wczesnym rankiem zrywało się do lotu.
I przypomniałam mój sen fantastyczny i zdało
mi się, że rozpoznaję wodza-przewodnika i smu-
kłą srebrnopiórą ptaszkę, płynących cicho, po
przed tulaczą drużyną żórawi.

Kto one? Kto one?

Do celu.

(Z podań ludowych).

U podnóża podniebnych gór leżała sobie wioska cicha, jasna od promieni słońca, które, jakby upodobawszy ją szczególnie, od wschodu do zachodu złociło ją promieniami swemi. I choć tam czasem chmury błękit zaćmiły, to tylko na chwilę, to jakby na żart, a potem znowu wracała pogoda i jasność i cisza. Dobrze w niej było ludziom. Na szczyty gór wdzierać się, po skałach piąć, brzegami przepaści błądzić nie potrzebowali, bo dokola nich pola leżały żyzne i łąki pełne traw i ziela.

A zresztą, w te góry, co ścianą posepną, wyniosłą, stały przed nimi, zapuszczać się strach był wielki. Bo tam w wąwozach dziwy się przechadzały skrzydlate, straszydła siedziały na skałach, z jaskiń wyzierały ogniste ślepie smoków, i zgubiony na zawsze był ten, komu przyszła ochota zawędrować między jary przepaściste, między zakłętę potoki, pędzące kaskadami ze skały na skałę, między wierzchołki

śnieżne, ponure i dumne, niby starcy z białemi brodami. Te wierzchołki zwłaszcza! Biada śmialkowi, co ośmielił się deptać śnieżne ich korony. Brały go wtedy panny białe między siebie, otaczały dokola i nęciły mglistym muślinem swych szat i ciągnęły aż nad brzeg przepaści. A kiedy wpadł nieszczęsny i głowę o dno jej roztrząskał, zawisały nad brzegiem i chwiejne, rozwiewne, tajemnicze patrzyły w dół.

Na najwyższym szczycie tych gór, na szczycie, którego nigdy oko ludzkie nie widziało, bo był wiecznie chmurami czarnemi spowity, mieszkał czarnoksiężnik, czy, jak drudzy mówili, duch gór. W chmurach miał zamek swój zaczarowany; czasem, w dzień bardzo jasny i pogodny widzieć można było jego wieżycę. Bywali też ludzie, którzy o północy, kiedy już miesiąc schował się za góry, widywali tam, u szczytu postać potężną, olbrzymią, nadludzką... Bano się w stronę tę spoglądać. Kto czarnoksiężnika raz ujrzał, nie żył długo.

Aż jednego dnia po zachodzie czerwoność się wielka rozlała po niebie i z chmur czarnych, wiszących u szczytu góry, wyszedł czarnoksiężnik i stał ludziom wszystkim na oczach i widziała go wioska cała, jak rękę, niby z groźbą, ku nim wyciągał.

A potem zamglilo się niebo, postać złowrobną zakryły chmury i zwolna spuszczać się

zaczęły ku dołowi, aż zeszły w niziny i nad wioską cichą, jasną rozpostarły szarą zasłonę. Nastala noc ciężka, ponura, noc przeczuć i drzeń niewysłowionych. Potem przyszedł ranek, ale jasny, pogodny, jak codzien. Na polach leżały mgły grube, słońce przez chmury świeciło jakimś strasznym, czerwonym blaskiem, co ani światła, ani radości nie dawał.

Ścisnęły się trwogą serca ludzi. Cóż to za dni dla nich nadejść miały? I dowiedzieli się niezadługo. To z tej, to z tamtej chaty wybiegała matka zaplakana, drżąca i powiadała, że dziecko jej umarło tej nocy, albo kona, albo zachorowało ciężko. Zaraza padła na wieś. A dziwna to była choroba, bo nie zabierała starców, tylko młodzież niedoroślą i dzieci. Umierali z niej młodzieńcy pełni sił, gasły dziewczęta kwitnące, dzieci w objęciach matek konały. Niewiasty stare szeptać zaczęły pomiędzy sobą, że to wielkiego czarnoksiężnika gniew padł na wieś, że to stamtąd, od wiecznie chmurnego szczytu, od pałacu jego idą na nią te mły nieprzebite i ta kłątwa straszna. Chmurno było wciąż, przez mgły gęste widać było słońce czerwone, przygasłe. W powietrzu cisza panowała złowroga. I tylko nocami od czasu do czasu zrywały się burze straszliwe. Huczały jękiem przeciągłym pioruny, błyskawicową luną krwawiły się niebiosy, wichur szalał i wyl w konarach drzew.

Temi nocami strasznemi najwięcej dzieciak marło po chatach, a nazajutrz rankiem mglistym, ponurym widać było na mokrej drodze wioskowej postrzęsane wiatrem liście drzew, przy chatach połamane krzaki róż, a na progach matki płaczące z trupkami dziecięcemi w objęciach. I zaczęli gadać starcy, potrząsając siwemi brodami, że zlego ducha gór ofiarą dobrowolną przeblagać trzeba, że musi jeden z młodych pójść tam, gdzie bielą się śniegi wieczyste, gdzie chmury wieńczą szczyt, i oddać się jemu.

Duch gór tak chce.

I niewiadomo było, z czyich ust te słowa wyszły po raz pierwszy, ale wnet szeptem powtarzać je zaczęła wioska cała i wszyscy czuli, że tak być musi. A starcy smutno kiwali głowami: Kto pójdzie: Kto zwycięży po drodze przeszkody, niebezpieczeństwa, pokusy, kto nie ulęknie się strasydel i widm, kto pannom białym w przepaść zaciągnąć się nie da?

I kto, kto strasznemu duchowi gór na męki wieczyste zaprzedać się zechce?

W wiosce było wciąż cicho i posepnie jak w grobie. Umierali młodzi, ale w góry zakłete nie chciał iść żaden. Lepiej umrzeć — mówili. Aż raz młodzieniec pewien stanął na środku wioski i ogłosił, że udaje się na szczyt mglistej góry, do palacu czarnoksiężnika. Zbiegli się doń ludzie z całej wsi, a on powiadał im, że miał

sen, że widział czarnoksiężnika, który ku niemu, wyraźnie ku niemu ramię olbrzymie wyciągał, więc poznał, że jemu to przeznaczono przebłągać gniew okrutnego ducha gór. Mówił to wszystko z twarzą wesolą, swobodną, jak ten, który ani lęka się śmierci, ani życia młodego na ofiarę żałuje. Bledli ludzie, słuchając go i potrząsali głowami. Byli tacy co odradzali mu, mówiąc: nie dojdiesz. Ale on uśmiechał się na to i tego samego dnia przed wieczorem wyruszył.

Dwie miłości zostawił za sobą: dziewczynę piękną i skrzypkę czarodziejską i poszedł. Kiedy odchodził, płynęły łzy z pod przymkniętych na zawsze powiek starej matki, lamala ręce jasnowłosa dziewczyna, a skrzypka, hej jemu się tylko śniło pewno, że mu skrzypka na pożegnanie zagrała sama piosnkę taką rzewną i smutną, a śliczną, że odejść nie miał siły, tylko stał i słuchał. Aż zerwał się w końcu, skrzypkę raz ostatni przycisnął do serca, potem odrzucił precz od siebie i poszedł. Noc się nad nim opuściła czarna, bez gwiazd i bez miesiąca.

Po skałach tu i owdzie błyskały dziwne, tajemnicze płomyki. On szedł wciąż przed siebie, wciąż w górę, a groza i lęk szły za nim.

Naraz widno zrobiło mu się w oczach. Przed nim, na skale białej ogień płonął wysoki, a przy ogniu starzec-straszdyło przesypywał chudemi

rękami stosa złota i pokazywał je młodzieńcowi i kiwał nań i kusił, a w świetle płomienia złoto skrzyło się oślepiającym blaskiem. Ale młodzieniec przeszedł mimo i tylko pogardy uśmiech blady zarysował mu się na ustach. Całym głosem rozśmiało się wtedy straszycło, a śmiech głośny, szyderczy echem powtórzyły skały, i zdawało się młodzieńcowi, że góry całe długi, długi czas urągają mu dyabelskim śmiechem.

Ciemno zrobiło się znowu dokoła, a on szedł, szedł wciąż przed siebie. Piał się po skałach, czołgał wązkiemi, prostopadłemi ścieżkami, rękami chwycił krzaków i drzew i szedł i szedł. Kamienie poraniły mu stopy, kolczaste ciernie poszarpały dłonie, on piał się wciąż pod górę. I niespodziewanie wyszedł na polanę leśną. Świerki i sosny szumiące otaczały ją w krąg, a środkiem płonęło różnobarwne ognisko, dokoła którego tańczyły piękne, lekkie, powiewne dziewice.

Gdy przechodził mimo nich obojętny, cichy, rzuciły się ku niemu dziewczęta i zapraszały je do tańca. Muskaly go włosów rozwianych falą, palily blaskiem źrenic, obietnicą pocałunków gorących wabiły. On szedł dalej, pod górę, pod górę wciąż.

Wtedy zastąpiła mu drogę jedna, odmienna od tamtych. Poznał, to jasnowłosa dziewczyna

z jego wioski. Odejdź — wyrzekł tylko pobladłemi usty i natychmiast rozwiała się w mgłę. On szedł dalej, ale ledwo kroków parę postąpił, usłyszał w dole, pod stopami swemi krzyk jej bolesny i łkanie rozpacz. Poznał, to znowu jego dziewczęcia głos. Już chciał cofnąć się na dół, biedz jej z pomocą, ale zatrzymał się, stanął. Łkanie przechodziło w jęk konania, w skargę ostatnią, w płacz cichy. On stał z twarzą w ręku ukrytą, słuchał i nie drgnął, a kiedy ton ucichł ostatni, zaczął znowu skrwawionemi dłońmi wdzierać się na skałę. Upadał ze znużenia, podnosił się i szedł dalej, dalej, przed siebie, do szczytu, tam w chmury. Już go widzi przed sobą, już też i mgły otaczają go coraz gęstsze i droga coraz niedostępniejsza, coraz bardziej spadzista i stroma. Przed sobą ma ścianę skalistą, u dołu przepaść, otchłań, głębia. A z tej otchłani idzie ku niemu śpiew rzewny, znany oddawna. To skrzypka jego tak gra. Nachylił się młodzieniec i słucha, a tony coraz miększe, coraz przenikliwsze ciągną duszę jego w tę przepaść zawrotną. Hej skoczyć w głąb, tam gdzie pieśń ta dźwięczy. Nie, on do góry, do góry piąć się musi! Żegnaj piosnko, piosnko - ukochanie!

I znowu z siłą rwie się w górę. Pot rosi mu czoło, pierś dysze, ręce spływają krwią. Znużenie ogarniać zaczyna młodzieńca. Przystanął

chwile i widzi: panny białe płyną ku niemu. Spuszczają się ze szczytów mgliste jak marzenie, białe jak śnieżny puch i chłodnem wilgotnem tchnieniem studzą mu rozpalone czoło, koją spieczone usta, poszarpane stopy i dłonie.

Dobrze mu w ich objęciu. Senność go ogarnia. Chciałby położyć się na skale i usnąć nakryty zwojami ich szat. Już kładzie głowę znużoną, przymyka powieki... już... już...

Nie! On na szczyt wdrzeć się musi! Duchowi gór oddać się musi w ręce! Ranek już! I zrywa się chłopiec znużony, i ostatkiem sił pnie się pod górę.

Krew napływa mu do głowy, mgłą zachodzą oczy, pierś faluje... a tam z góry, z chmurnego szczytu w nagrodę wszystkich wysiłków wyciąga się po niego ramię potworne, olbrzymie. Młodzieniec zamknął oczy i otworzył je znowu po raz ostatni i spojrział... tam w dole, jak plamka na zielonem tle pól leżała wioska jego. O Boże! Boże! Chmur już nad nią nie było! Rozproszyły się mgły grube, ciemne, złowrogie, słońce napowrót w blaski złote ją przybrało, i świeciła białością swoich szat, jaśniała szczęścia wielkiego wyrazem. I uśmiechnął się chłopiec i śmiał się jeszcze, kiedy zbliżało się ku niemu ramię potworne, olbrzymie...

chwile i widać, że panny — dzielące się —
Spuszczają się ze szczytów, jak małe
niebieskie jak wiewiórki, jak chłodne, wiatry
temy, tajemniczym, studium, i tak, i tak, i tak, i tak,
kolej, spieczona, wista, posażona, i tak, i tak, i tak,
an, Dobrze, i tak, i tak, i tak, i tak, i tak, i tak,
nie, Głęboko, i tak, i tak, i tak, i tak, i tak, i tak,
niekiedy, i tak, i tak, i tak, i tak, i tak, i tak,
Z księgi wspomnień.

Kwiaty.

Z księgi wspomnień.

Znałam was tyle, tyle. Widziałam was ro-
snące po brzegach strumieni, widziałam w pu-
chu traw zielonych ukryte, widziałam w ciszy
i cieniach lasu świeże, młode, wonne, albo po
suchym spieczonym gruncie rozrzucone jak smu-
tne skazańce. Znałam was wiele i pamiętam
wszystkie i nigdy nie zapomnę was, kwiaty, to-
warzysze samotnej młodości mojej. Jam patrzyła
na wasze narodziny i zgony, w moich oczach
wycie rosły, rozkwitały, stroiły się w barwy
i blaski, a potem więdły, umierały, ginęły. I były
zaprawdę w waszych losach smutki i bole, były
tragiczności ludzkie prawie. Ja znałam was
i kochałam, i wy kwiaty moje, wy znałyście
mnie także. Pamiętam was, jaskry i smółki wio-
senne, niebieskookie, ciche niezabudki, pamię-
tam dziewanny złote i dzikie, fantastyczne pa-
procie. Z wami, z wami rozmawiałam ja nie-
znaną ludziom mową lasów i pól, i wśród

was w upojeniu marzeń prześniłam wiek dziecinny.

Dziś ja od was daleko. Zimno, szaro, posępnie na świecie, a w myśli mojej wstajecie wykwiatki i potrząsacie nademną złotemi główkami, deszcz listków błękitnych, białych, purpurowych spada mi na czoło, woń pól wieje ku mnie i znowum z wami i znowum młoda i znowu dzieckiem jestem, jak wtedy.

Pamiętam cię różyczko smutna, blada. Wyrosłaś w ciemnym zakątku ogrodu pod murem i nigdy przez życie twoje nie padł na cię blask słońca. Niewiele listków miałaś na sobie, a i tych zieloność żółtawa była i nikła. Wybujalaś wysoko, aleś nienawistnego muru przerosnąć nie mogła i stałaś cicha, tęskniąca do światła.

O kilkanaście kroków od ciebie był klomb, na którym rosły podobne tobie róże, tylko że na nie przez wiosnę całą sypały się promienie słoneczne, polewały je deszcze, a słonko całowało i wyrosły bujne, silne, pełne krasy. Przyszedł czerwiec i okrył je pąkami, potem kwieciami o gorących barwach przystroił i królowe wdzięków, tonąc w blaskach słonecznych, woń upajającą rozlewały dokoła. Od świtu roje barwnoskrzydłych motyli, roje pszczołek brzęczących unosiły się nad nimi. Przelatywały z kwiatu na kwiat, muskały je skrzydełek lekkich do-

tknięciem, odurzały się ich wonią, upajały słodyczą. I tak było aż do zachodu słońca, potem na spoczynek odlatywały pszczoły i motyle, a róże tulily listki i senne marzyły jeszcze o długiej, całodziennej rozkoszy.

Zakwitłaś i ty. Wydałaś jeden mały, blady, ale wonny i pełen uroku kwiateczek. Bezsilny chylił główkę i krył ją pomiędzy listki zielone. Codzień wieczorem przychodziłam do ciebie i codzień boleśniej skarżył mi się blady, pachnący kwiatek, że mu zimno i ciemno, że tylko chłodny promień miesiąca nocami pada na niego i srebrnem światłem wątle listki srebrzy, że motyl żaden nie zabłądził w tę stronę, bo wszystkie lecą do światła, do słońca i do pięknych, bujnych róż na klombie. Długo czekał kwiatek szczęścia swojego kolej, aż wreszcie płatki jego korony zaczęły kurczyć się, usychać, opadać i samotny kwiatek uwiądnął samotnie.

O blady kwiatku mój, od ciebie dowiedziałam się, że można być pełnym wdzięku i woni, a zwiędnąć w ciszy i cieniach, że można śnić o słońcu, a nigdy gorących promieni jego nie poczuć na sobie, że można pragnąć całą siłą istoty swojej i uschnąć z pragnienia. O wielu, wielu smutnych rzeczy nauczyłeś mnie, ty blady kwiatku róży.

Pamiętam i ciebie fijołku drobny, słaby. Wiosna była gorąca, przez miesiąc cały wicher

wiał południowy, a deszczu nie niósł ze sobą. Bronileś się kwiatku mały, długo bronileś za-
gładzie. Pączki twoje obleciały, pokurczyły się
listeczki, ale żyłeś, wciąż żyłeś jeszcze.

Gdybyż przyszła ciepla wiosenna ulewa. Ale
nie, susza była ciągle, susza straszna jak śmierć-
niszczycielka. I przyszłam do ciebie jednego
wieczoru; szerniały byłeś, a korzonki twoje
wygrzebał wichur z suchego piasku. Już mi
się wydał umarłym. A właśnie chmury zbierały
się. rosły i tej samej nocy deszcz upadł rześ-
sty. Przyszłam do ciebie nazajutrz; śmiał się
świat cały, odmłodzony, rosą zlany, ty jeden
nie ożyłeś fijołku. Listeczki twoje leżały przy-
bite do ziemi, szerniały i nigdy już, nigdy za-
zielenić się nie miały. Zapóźno, mój kwiateczku,
zapóźno spadł deszcz wiosenny.

A ciebie, bluszczu zielony, młodzieńczy, bie-
gnący w górę, ku błękitom nieba, czy ja cie-
bie zapomnieć mogę kiedy? Zakochałeś się w smę-
tnej ruinie i listków swoich świeżością ustroiłeś
stare mury. Jednego dnia rozsypały się gruzy
i ciebie rozwalinami przygniotły. Łodygi twoje
pnące połamały, pogruchotały kamienie. Zgina-
łeś bluszczu zielony. I czemuż ty się miło-
śnie ruiny odwiecznej uczepił? Czemuś życia
z życiem nie sprzął raczej?

Pamiętam i ciebie najsmutniejszy ze wszy-
stkich krzewie doniczkowy. Bożem drzewkiem

zwano cię podobno. Szyba szklana dzieliła cię od świata, od powiewów wiatru, od deszczów ochłody. W dusznym powietrzu pokojowym wyrosłeś i żyłeś. Czyż to życie, czyż to życie było? Raz, pamiętam, rozszalały się wichry marcowe; topiły powłoki lodów, dzikim pędem gnały fale potoków, drzew olbrzymich konary gięły ku ziemi, z trzaskiem łamały pnie, deszczem kroplistym biły o szyby. Tyś stał na oknie nieruchomy, obojętny, niemy. Wtem szczyliną jakąś wcisnął się zimny, gwałtowny, walką rozszalały powiew wiosenny i zatrzęsł spokojnemi gałązkami doniczkowego krzewu. O drzewko moje, widziałam wtedy, jak dreszcz tajemniczy przebiegł roślinne twoje ciało i po raz pierwszy cichym, krótkim jak chwilka zaszumiałeś szumem.

Ja zrozumiałam tę krótką urwaną pieśń twoją.

Tyś wołało, że chcesz powietrza, że chcesz wichrów wiosennych szalonego uścisku, że tobie trzeba szamotać się z nimi i łamać i giąć, że tobie trzeba chłonać wiosny oddech ożywczy, z przyrodą całą szaleć i szumieć i żyć.

Przeszły wichry marcowe, uciszył się świat, tyś jak dawniej na oknie swoim stało nieruchome, spokojne i nieme, i szum dziwny gałązek twoich nie powtórzył się już więcej i dreszcz

wiosenny nie wstrząsnął tobą już nigdy. Smutne drzewko Boże!

Nie po wszystkich was przecie takie żalosne pozostało mi wspomnienie. Ot, dziewanny moje złote, wyście mi zawsze z prastarych czasów czarowne dumki nosły. Pamiętam, rosłyście tłumnie, lasem całym, na wzgórzu zasloniętem od wichrów północy i złociste kiście wasze jarzyły się w promieniach sierpniowego słońca. Między wami było mi dobrze, woń lip słowiańskich czułam dokola, a w duszy grały mi echa z jakichś dawnych, dawno przebrzmiałych lat. Więc niegdyś, niegdyś, wy nie dziewanny były, ale dziewy szczęsne, kapłanki jakiegoś dobrotliwego boga, który za służbę wierną, po śmierci w kwiat złocisty was zamienił i dziewannami wyrosłyście po polu. Czy prawda, nie wiem. Ale wy chwiejące się w powietrzu błękicie miałyście coś z powagi i czaru kapłanek.

O kwiaty, jakiemż wy dziwnymi snami napełniałyście duszę dziecka. Pamiętam, leżałam na łące, woda szemrała zcicha, schylały się nad nią wierzby zielone, niewidzialny skowronek gdzieś w powietrzu odmawiał śpiewną modlitwę swoją. Zresztą cisza panowała dokola. U stóp wierzby nad wodą niebieszczyły się niezapominajki, bliżej mnie bielił się srebrnik, stokrotki drobne główki wysuwały z gęstwiny traw, koniczyny i gorczyczki różowe plątały się

ze sobą, smółki i drzączki chwiały za każdym powiewem wietrzyka. Za mną paprocie, głogi i kaliny rozłożyły się poważnym wieńcem a tuż nad głową moją kołysał się królewicz łąki, wysoki, fijołkowy dzwonek. Rozmarzył mnie szmer wody i pieśń skowrończa. Usnęłam i śniło mi się, że wśród wielkiej ciszy powietrza niosą mnie gdzieś wdal kwiaty moich łąk. Pozbawiona ciężaru, płynęłam, płynęłam wciąż. Paprocie podpierały senną moją głowę, bluszcz chłodnym wiankiem opasywał mi czoło, dziewanny złote ułożyły mi się u boku, niezapominajki i białe kwiat cierni spoczywały na sercu. Lilie i róże, bratki i stokrocie, smółki, jaskry, goździki, fijołki, rozchodniki i nawrotki, i wszystkie, ile ich polskie pola rodzą, niosły mnie cicho wdal, a nad głową moją dzwonek łąkowy dzwonił pogrzebną piosenkę. Bo to pogrzeb był mój. I niosły mnie kwiaty daleko, daleko, przez pola, przez lasy, przez góry, aż zaniósły do groty cichej, chłodnej i złożywszy senną na ziemi, pokryły mnie płaszczem z wonnych, barwnych listków swoich. Tam miałam spać na wieki.

O kwiaty moje, czemuż to było marzenie tylko?

O uproście wy mnie u Boga, bym ja kiedyś, kiedyś... z rozpaloną twarzą padła na łąkę zieloną i wśród was snem wiecznym zasnęła.

Moje lilie.

Kartka z pamiętnika.

... Coraz pięknieją mi pod pędzlem, coraz
 bielsze i czystsze, coraz podobniejsze do nich.
 I to źródło coraz bardziej kryształowe, coraz
 wyraźniej odbija je w sobie. Rosną na tle lasów,
 na tle ciemnej zieleni, pośród paproci i mchów,
 i ku wodzie kryształowej chylą srebrzyste kieli-
 chy. Gdy pokażę je ludziom, będą śnili o nich
 jak o ideale czystości, ale nie będą wiedzieli,
 kto one... lilie moje.

* * *

Jakiż szalony orkan złych chęci wrzał wów-
 czas w duszy mojej, jakże pilno mi było umo-
 czyć usta w czarze z zatrutym napojem i na-
 pić się, napić wszystkich mętów życia! Jakże
 pilno mi było odrzucić od siebie wszystkie wspo-
 mnienia dzieciństwa: łagodne uśmiechy matki,
 sióstr pieszczoty niewinne, pogodne zachody
 słońca, w których ciszy rodziły się pierwsze

marzenia, i pierwszą lżę bratniego współczucia i pierwszy poryw zapalu, wszystkie świętości odrzucić precz od siebie! Jakże pilno mi było rozebrać się ze złotej tkanki złudzeń i pogrążyć w błotnej kałuży użycia. W tej chwili one stanęły na mojej drodze, stanęły białe, czyste... lilie moje.

Pamiętam, był to schylek ciepłego, wiosennego dnia. Przyszedłem odwiedzić kolegę, towarzysza pierwszych moich swawoli. Doświadczniejszy odemnie, on był mi przewodnikiem po drożynach zepsucia.

— Idziemy, wiesz — zawołał witając mnie, ale poczekaj tu u mnie z godzinę. Muszę wpieryw odprowadzić siostry, które wybierają się na wesele.

I wyszedł, zostawiając za sobą drzwi otwarte. Spojrzałem przed siebie. W pokoju, w którym znajdowałem się, panował zmrok; za to do tamtego, po drugiej stronie domu wpadały ostatnie promienie zachodzącego słońca, i pelen był światła, a w świetle tem stały dwie postacie dziewczęce, obiedwie ubrane biało.

Może one zresztą ubrane były inaczej, ale mnie wydały się białe. I taka była czystość linii, któremi rysowały się na świetlistem tle powietrza, taki wdzięk, słodycz, cisza i tajemnica w twarzyczkach tych bardzo białych i bardzo podobnych do siebie, że stanąłem za-

dumany przed tem zjawiskiem szczególnem, a usta mimowolnym szeptem wymówily wyraz «lilie». I wpadłem niby w sen dziwny. Zdawało mi się, że ja gdzieś, kiedyś, w pierwszych latach życia znalazłem już te lilie, że rosły na jakimś grobie, i kto chciał dotknąć ich, musiał znieważyc mogiłę. Jedna z nich była wyższa, wynioślejsza, biała białością niepokalaną, surową, druga wiotsza chyliła się lekko ku ziemi, i białosc jej wpadała w jakieś tony różowawe. Może różowily ją promienie zachodzącego słońca. Zapominam się, mówię o nich, jak o kwiatach, ale bo też one kwiatem mistycznym wyrosły wtedy na drodze mego życia. Jak długo patrzyłem na nie upojony tajemniczym urokiem, co wydzielał się z ich dziewiczych postaci, nie wiem, może chwilę tylko, może bardzo długo, bom ja przez ten czas prześnił całe długie sny, bo się duszy mojej otworzyły jakieś głębie nieznane mi dotąd, bom ja się w owej chwili na śmierć i życie zakochał we wszystkim, co czyste i białe. I pytałem siebie, co to za róża, której te lilie dwie za družki służyć mają?

I gdzie ogród, w którym te srebrzyste zakwitły? A potem przypomniałem mogiłę, nad którą nigdy w półsennych widzeniach dziecińczych ujrzałem je schylone, i w świat fantazyi, świat marzeń bez końca płynąłem... Zresztą my-

śli moich, uczuć doznawanych wówczas nie pamiętam, pozostało mi tylko wrażenie ogólne nastroju tak niezwykłego, ekstazy tak potężnej, w jaką chyba po raz drugi w życiu nie pograżyła się już dusza moja. Gdym się z zadumy obudził, słońce zaszło już, w małym dworku podmiejskim panował zmrok i cisza. Wysunąłem się z mieszkania kolegi, nie chciałem czekać na powrót jego, nie chciałem widzieć go dzisiaj. I nie zobaczyłem już więcej tego współtowarzysza niskich uciech. Fala życia wzburzona odniosła mnie daleko od wybrzeży, na których ukazały się mym oczom dwa białe, przeczyste kwiaty.

I odtąd różnemi barwy malowałem życie moje. Złożyły się nań i blada zielen złudzeń i błękit zachwyków i kir żaloby i purpura namiętności gwałtownych. Poznałem rozpaczę, gniewy, nienawiści, upadki ducha i niemoc i ból, wszystko znalazło się w mem życiu, tylko brudu w niem nie było. Do czary zatrutej, która nęciła mnie w młodości, nie przytknąłem ust. A ile razy na drodze stanęła mi pokusa, z głębin pamięci podnosiły się cicho dwa kwiaty srebrzyste i w czystości ich nieziemskiej rozkochany, ze wstrętem odwracałem oczy od bagnistych trzęsawisk życia. A gdy fałsz, brud, obłuda otoczyły mnie dokoła ohydny pierścieniem, na świat zewnętrzny zamykałem oczy, a myśl moja

leciała w ustron pełną świeżości i woni, gdzie pochylone ku sobie wyrastały z jednej łodygi dwa kwiaty białe, dwie lilie tajemnicze. I zawsze tak samo, jak wtedy, jedna stała wyprostowana, surowa, biała, druga pochylała się lekko ku ziemi, a płatki jej srebrzyste zachodziła jakaś mgła różowawa. I lubilem marzyć, że ta różowość jest w niej litością nad złem i że mogłaby przejść w czerwień gorącą, w purpurę krwi żywej. I kochałem szczególnie ten wiotki srebrnoróżowy kwiat.

I zdawało mi się, że gdybym kiedy w przepaść ziemskiego brudu się pogrążył, to i one straciłyby przezystą białość swoją, skurczyłyby się ich kielichy, pożółkły, szerniały płatki srebrzyste, że uwiędłyby na zawsze jasne przewodniczki mej młodości. O kwiaty marzeń, o białe lilie moje!

I teraz, gdy szalem namiętności spalony, po walce bratobójczej, z kulą w piersi padłem na łożę szpitalne, wyście zjawily się znowu tak samo czyste, białe, jak przed laty, tylko smutniejsze i jakby mgłami owiane. W snach gorączkowych widziałem was chylące się nad źródłem jasnym, przejrzystem aż do dna; pozwalalyście, bym usta spieczone chłodził kryształem, który opływał wam stopy. Jednej nocy okropnej, zaludnionej tłumem widziadeł, gdy

rwala się naprężona nić mego żywota, stanęłyście przedemną białe, ciche, święte. I widziałem, jak z waszych kielichów wystąpiły duchy lekkie, powietrzne, przejrzyste, i odpędziły płomień, co sycząc wyciągały się ku mnie. A potem przyszły ochłodzić czoło zabójcy. Dotknięcie listków kwiatu... woń liliową poczułem dookoła, i już byłem spokojny.

Gdy raz pierwszy na świat przytomnym wzrokiem spojrzałem, chyliły się nademną dwie wysmukłe postacie w strojach zakonnych. Poznałem je, to były one, tamte dwie družki weselne, dwa kwiaty, dwie lilie czyste.

Jak niegdyś, cisza i tajemnica leżała im na twarzach bladych, rozświetlonych jakimś światłem z głębin ducha płynącym. Po tej światłości poznałem je. I była jedna, surowa, niepokalana, druga miłością tchnąca, takie, jakimi marzyłem je we snach. Osłabionemu, wracającemu zaledwo do życia wydały się w tej chwili widzeniem niebieskiem. Myślą modliłem się do nich, by wzięwszy mnie na skrzydła anielskie, zanosły w błękit, w przestwory bez końca, w krainę cichą, świetlaną...

* * *

A teraz duchy - kwiaty, dajcie mi siłę natchnienia!

Objawcie mi się we wdzięku linii, w srebrzystej białości barw, w mistycznej potędze wyrazu. Pokażę was ludziom, a oni marzyć będą o was jak o ideale czystości, ale wiedzieć nie będą, kto wy jesteście... lilie moje!

Powrót.

Śnieg padał od rana. Ubielił dachy, pola, lasy i sennej ciszy znamię kładł na ziemię zmordowaną. Dzień to był uroczysty Wigilii Bożego Narodzenia. Drogi roily się od bryczek, wozów i sanek...

Ten i ów spieszył powitać swoich pożegnanych żalem, niewidzianych oddawna. Na twarze wytryskał rumieniec radości, oczy śmiały się.

Pocztową bryczką zajechał przed karczmę podróżny, niemłody, szczupły, wysokiego wzrostu. Twarz jego była jedną z tych, o których mówi wielki poeta, że nie poznałiby ich ojce, gdyby z grobowców wstali.

Wychudła, zczerniała, — znać, że przechodziły po niej i wichry stepowe i lzy i rozpacz i gniewy namiętne. Pod wysokiem czołem tlały oczy czarne, niewygasłym ogniem błyszczące; białe włosy wmieszane były obficie w czarny zarost i czarne pukle na głowie.

W karczmie panował ruch, gwar, głośnie rozmowy, nawoływania, więc na wejście nowego podróżnego nikt nie zwrócił uwagi. On siadł cicho, przy oknie i smutnym, rozmarzonym wzrokiem wodził po sennej równinie.

Wracał zdaleka, z za gór i mórz. Od wczoraj już chłonał w siebie to powietrze zimowe tak mu znane niegdyś. Odnajdywał w niem wonie dzieciństwa i młodości swojej, wonie najszczęśliwszych niepowrotnych dni. Odurzył się niemi, upoił i dziwnych, przedziwnych mar tłumy powstawać jęły w jego głowie. Nie był sobą. Stęskniona dusza jak najprędzej powitać chciała stary, pochylony dom i tych, których w nim pozostawił przed laty. Czemuż teraz, gdy pół godziny drogi dzieliło go od nich zaledwie, czemu nie biegnie ile sił, ile tchu w piersi?

Ha, wątpliwości jakieś, niepokoje i obawy powstały widać w jego sercu i nie śmie zbliżyć się do rodzinnej zagrody. Radby wpierw o niej coś od obcych usłyszeć. Ojciec i matka w grobie, o tem on wie. W amerykańską puszcze przyleciała doń ta wieść. Ale brat, narzeczona, co z nimi?

Od ośmiu lat nie dawał im wiadomości o sobie. Co wiosna wybierał się z powrotem, więc już listu pisać nie było warto; wybierał się i nie jechał. Porywał go, unosił z sobą wartki prąd amerykańskiego żywota. Pracował, zdobywał

mienie, tracił, pracował znowu. A oni? Po kilku niespokojnych, pytających listach przestali pisywać i oni, i odtąd zalegl między nimi ocean i wielkie milczenie.

Czy żyją aby?

Karczma opustoszała tymczasem, za stołem pozostał tylko żyd stary z siwą brodą.

Podróżny przybliżył się do niego, zażądał herbaty i wszczął gawędę. Dopytywał o okolice, o znajome mu niegdyś osoby. Ten umarł, ten się wyniósł, tamtego nie było... wszędzie groby, albo ruina.

— Z przeproszeniem pana, pan zna te strony? — badał grzecznie żyd.

— Znałem dawniej. A w Zaborowie co slychać?

— Tam gospodaruje młody pan. Oni dobrze się mają.

— Oni? Ożenił się?

— A jakże, będzie temu ze siedm lat. I dzieci mają.

— A z kimże, z kim się ożenił?

— A no, z dawną panienką z Łętowic. Mówili, że ona ze starszym synem zaręczona, ale ten syn przepadł gdzieś i umarł podobno. Póki starsi państwo Zaborowscy żyli, ona była ciągle przy nich, a jak pomarli, to ona odjechała gdzieś, ale nie na długo, bo ją sobie pan Józef na panią sprowadził.

W tej chwili żyda odwołała żona, a podróżny pozostał sam. I zrobiło mu się tak, jak wówczas, gdy w jakimś zaułku nowo-yorskim umierał z głodu i pragnienia, tak mdło, duszno, źle. Ach, jak źle! Nie wiedział czemu. Bez myśli pozostawał czas jakiś, błędnym wzrokiem patrząc przed siebie. Po chwili rozpacz straszna, piekielna zawyla mu w duszy.

Ha. Więc po to tu wracał? Więc to takich tutaj zostawił? Ona! Ta ukochana, jasna zorza jego, której czystem wspomnieniem koił ból, odpędzał pokusy, do której modlił się w godzinach upadku. I ten brat młodszy, niby dziecko ulubiony.

Podli! Nikczemni!

Nie własna krzywda go bolała, ale to, że mu zszargali w kaluży obraz ich ozłocony i upiękniony tęsknotą oddalenia.

A teraz co? Co on teraz zrobi ze sobą? Ni mu wracać, ni mu pozostać. Chyba, przywłókszy się tu pod ich próg, zdechnąć jak pies pod plotem. Ha, widać prawdę mówili ci, co nań wołali: «Nie wracaj!»

«Już nie zastaniesz tam nic z tego, coś pozostawił. Niby liście z drzew strząsnął was i rozmiótł wicher jesienny po wszech-polach, po wszech-drogach hej... A pamięć o was nie przetrwała jednej godziny, a to coście kochali obrzucono błotem szyderstwa i pogardy...»

On słuchał. Ale on tam zostawił dwie dusze, w które wierzył bardziej może niż w Boga samego. Wierzył w tego dzieciaka, co w szesnastym roku rwał się do uraganów i burzy i za niego wziął postrzał w dziecienną pierś — i wierzył w nią.

Myślał, że wyjdzie ku niemu taka, jaką widział ją w chwili pożegnania, poważna, silna, z zaświatową jasnością w oczach, z żalobą nieudanych zamysłów i pogrzebanych nadziei na czole.

A teraz? Ujrzy żonę swego brata, matkę jego dzieci.

Ach, jeśli tak sponiewierała miłość ich, cóż ona zrobić musiała z resztą świętości swoich?

Pójdzie do nich. Ciśnie jej w twarz imieniem swoim i odejdzie z pogardą.

Ach, po co? Przecież on kochał ich. Chce iść i cofa się. Bolesna ciekawość pcha go naprzód. Poszedł...

Mrok już zapadał, gdy brnąc po miękkiej, świeżo usypanej pościeli śniegowej, podróżny zbliżał się do bram Zaborowa. Nie odczuwał w tej chwili bólu, ani gniewu, ale jakąś palącą, chorobliwą ciekawość. Badawczym wzrokiem przyglądał się wszystkiemu. Drzewa pozostały te same, stare, ręką jego ojców i dziadów sa-

dzone. Mniejsze wydały mu się, niż przed laty. I dom ten sam. Nie zniesiono starej ruiny. Na podwórzu wrzał ruch przedświąteczny. Gdy wchodził w bramę, minęło go kilkoro dzieci otulonych w chustki, z książkami w ręku. Kobieta niosąca wodę zatrzymała się przed nimi.

— Cóż to i dzisiaj chodziliście na naukę?

— Nie, dziś pani tylko o Narodzeniu Pana Jezusa opowiadała.

Obcy człowiek usłyszał i zdziwił się. Ruszył ramionami i szedł dalej. Na ganku dziedzie łamał się oplatkiem ze służącymi. Podróżny stanął z boku i dziwnie wzruszony przypatrywał się temu człowiekowi: wysoki, silny, barczysty, z twarzą ogorzałą, na której wielka energia i cichy smutek jakiś zlewały się w jeden ton i mimowoli budziły szacunek. W kruczych włosach gdzieniegdzie widać było nić białą. Wogóle niepodobnym był do ognistego chłopięcia, które rzewnemi łzami żegnało odjeżdżającego brata. Mógł mu się przypatrzeć dobrze, bo gdy ludzie odeszli, on jeszcze stał i zadumany patrzył przed siebie.

Podróżny poszedł doń.

— Nazywam się Brzozowski -- rzekł z ukłonem. Wracam z Ameryki. Dom mój daleko jeszcze. Spóźniłem się na święta i ciężko mi ten dzień wigilii samotnie przepędzić. Powiedziano mi, że

pan i obcego rad przyjmiesz. Jeślim się omylił, przepraszam za śmiałość i odchodzę.

Gospodarz, który ze zdziwieniem spoglądał nań od początku, na ostatnie słowa odwrócił się żywo. Ta twarz szlachetna, nacechowana cierpieniem budziła zaufanie.

— Ach nie. Witam pana — zawołał. Znamy, czy nieznajomy w ten dzień wszystko jedno. Tembardziej wędrowiec stęskniony i zwłaszcza z Ameryki. Proszę, uważaj pan ten dom za swój rodzinny.

I gościnnie zapraszał do wejścia, nie zważając, że podróżny na słowa «zwłaszcza z Ameryki» drgnął nieznaśnie. Po chwili fala światła ich oblała, i weszli do pokoju.

— Wando — rzekł gospodarz — Pan Bóg dał nam gościa z daleka, z za oceanu. Przyjmijże go...

I ciszej szepnął jej słów kilka.

Biedny tulacz drżał całym ciałem. Nie śmiał podnieść oczu na tę, co zbliżała się doń lekko, mówiąc przyciszonym głosem.

— Witamy pana całą duszą.

Ach ten głos! Wszystka krew zbiegła mu do serca.

Przycisnął je ręką, by uśmierzyć bicie.

Patrzyli zdziwieni na tę twarz nędzną i tak strasznie pobladałą.

— Darujcie — wyjąknął wreszcie. Tyle lat... tyle lat na obcej ziemi.

Tych słów kilka otworzyło mu dusze. Ponieśli go prawie do kominka, posadzili przy ogniu, gospodarz pospieszył z kieliszkiem wina.

Wanda wyszła; uspokajał się powoli. Z kącika dwie główki dziecięce wychyliły się ku niemu ciekawie.

— Chodźcie, dzieci! — zawołał ojciec. — Ty, mój mały, tyś zawsze zuch, chodź pierwszy.

Do nieznanego zbliżył się chłopczyk czteroletni, czarny, kędzierzawy z ciemną cerą i oczami ojca i z minką pełną fantazyi, podał mu drobną rączkę.

— A ty, Ewuniu? Chodź dziewczynko. — Pościągnął za rękę jasnowęsłą, ósmioletnią dziewczkę z modremi, zapatrzonemi oczami, które nieznanemu przypomniały jakieś inne dawno widziane, kiedy i jakie? nie wiedział.

W tej chwili zawezwano gospodarza.

— Muszę pana pozostawić z dziećmi. Wracam natychmiast.

Malcy z początku nieśmiało, później z coraz większem ożywieniem zabawiali gościa. Dał im się zaprowadzić do drugiego pokoju, gdzie pokazać mu mieli zabawki. Rozglądał się, przypatrywał starym ścianom. Wszystko było tak samo, jak za życia jego rodziców. Wanda nic

nie zmieniła, nie przestawiła żadnego sprzętu. Czy jej ta przeszłość tak drogą była?

Ach, jak tu dobrze, jak cicho. Zdawało mu się, że śni. Ot temi drzwiami wejdzie za chwilę matka i wyciągnie do niego rękę, jak wtedy, gdy w szkolnym mundurku przyjeżdżał na święta do domu. O ona by go poznała! Sen to, sen... Na ścianie wisiały portrety. Jeden przybył nowy — jego fotografia w dużym formacie. Przypatrywał się sobie, jakby komuś obcemu, którego dzieje znał dobrze, a który nie był nim samym.

Cóż to jest? Naokoło wizerunku wieniec z listków bluszczu? Przystrojono go, jak starą ruinę albo jak... bohatera.

— Kto to? — zapytał dzieci, wskazując na portrety.

— To babcia i dziadzio, już nie żyją. To tatuś i mama.

— A to?

— To stryj — szeptem odpowiedziała dziewczynka.

— A on, czy żyje?

— Nie, on umarł w Ameryce, ale nie trzeba tak głośno mówić.

— Dlaczego?

— Bo mamie przykro, jak to słyszy.

— Mama zaraz płacze — dodał chłopczyzna.

— Ścisnęło mu się serce. Oplakiwano go, jako umarłego.

Więc pomyłka jakaś, wieść fałszywa może... Ach, czemuż nie pisał?

Dzieci zaciągnęły go znowu na dawne miejsce przy kominku. Chłopczyk bez ceremonii usiadł mu na kolanach, dziewczynka wpatrywała się w niego błękitnymi oczkami.

Boleśnie mu było i smutno, a przecież dobrze.

Drzwi się otworzyły, weszła Wanda.

Zebral wszystką odwagę i spojrzał na nią. Nie był pewien. Przed nim stała kobieta blada, zmęczona, z jakimś wyrazem smutnej, szyderczej rezygnacyi na twarzy. Oczy tylko były te same, czarne, żywe, to łagodne, to namiętne znowu.

— Dzieci, nie męczcie pana! — zawołała. — Przepraszam za moich malców. Musiały panu dokuczyć.

On trzymał w objęciach jej synka.

— Nie, pani — wymówił z trudnością — niech pani im pozwoli być przy mnie.

— Ha, kiedy pan takim przyjacielem dzieci, to proszę zabrać znajomość i z tym najmłodszym pieśczochem moim.

Wzięła z rąk niańki kilkomiesięczne niemowlę i pokazywała mu je z łagodnym uśmiechem. Miało tak samo czarne oczka i czarne włosy,

jak rodzice i starszy braciszek. Spojrzał na Ewunię, której zlocistemi warkoczami zabawiało się maleństwo i mimowoli nasunęło mu się na usta:

— Czy to także córeczka państwa? Daruje pani — dodał po chwili, ale tak niepodobna do reszty rodziny...

— W istocie panie — odrzekła, korzystając z chwili, w której dzieci zajęte zabawą z niemowlęciem, słyszeć jej nie mogły, — to dziecko nie jest nasze, a przecież nasze najukochańsze. Jest to wnuczka starego przyjaciela rodziny, gospodarza z tej wsi. Dziadek nie żyje oddawna, rodzice jej umarli przed kilku laty, a dziecina została naszą córeczką.

Teraz przypomniał, przypomniał chłopca-bogatera i chwilę straszną, w której widział go po raz ostatni. Niby z pod ziemi podnosiły się ku niemu wspomnienia dawne, a ukochane i siatką z krwawych nici osnuwały mu serce.

W tej chwili wszedł Józef, za nim domownicy i służąca z wieczerzą.

Po tylu latach rozłamał znowu opłatek i usiadł do stołu, zaslanego sianem. Posadzono go koło pani domu, z drugiej strony Ewunię. Z początku cisza panowała uroczysta, może w myśli dzielono się opłatkiem z tymi, których przy tym stole zabrakło. Potem rozmowa oży-

wiła się, wszyscy, nawet dzieci wzięły w niej udział.

On milczał. Nie panował już nad rozbujałymi myślami, nad odmetem wspomnień. Z każdego kąta pokoju wysuwały się ku niemu postacie dziwne, pamiętne. Dziadek Ewuni wskrzesił ich wszystkich i wiódł ku niemu... Czasem na chwilę ten tłum krwawych cieni zapadał w mgłę, a z mgły tej występowały złote blaski dzieciństwa jego. Szalał.

A ile razy przywołano go do rzeczywistego życia, jedno spojrzenie na jasną główkę Ewuni, porywało go znowu w zapadły świat przeszłości.

— Tadeziu, podaj panu chleb — usłyszał koło siebie i mary pierzchły. To było jego imię.

— Tadeusz? — powtórzył mimowoli.

Ona spojrzała na niego pytającym wzrokiem.

— Miałem w Ameryce przyjaciela tego imienia — odpowiedział w formie wymówki.

— Przyjaciela? Opowie nam pan o nim?

— Nie warto. To smutna historia, pani.

Uśmiechnęła się dziwnie, jakby nie chciała wszczynać dyskusyi, a uśmiech sam mówił: sądzisz, że mi smutek rzecz nowa?

Wieczera się skończyła, dzieci prosząco i ciekawie spoglądały na matkę. Ona podniosła się, mówiąc:

— No, przejdźmy do tamtego pokoju.

Otworzyła drzwi. Na środku, światłem kilkudziesięciu świec płonęło marzenie dzieciennych główek, tajemnicza leśna choinka...

Stały olśnione, potem z okrzykiem radości tańczyć poczęły dokoła drzewka. Rodzice przypatrywali im się upojeni na swój sposób.

— Dzieckiem być zawsze warto, nieprawda, panie? — rzekł Józef, zwracając się do brata; nieznajomy kiwnął smutnie głową.

Tymczasem Wanda zbliżyła się do dzieci i szepnęła im kilka słów.

Zmieszane zaprzestały tańców i niepewne spoglądały po sobie. Jedno spojrzenie matki dało im odwagi.

Ewunia stanęła przed zielonemi gałązkami choinki, z których potoki różnokolorowego światła spływały na jej wzruszoną twarzyczkę i oczka wzniesione do góry.

— No, a teraz niespodzianka dla tatusia.

Z ust dziewczynki polala się pieśń... ta sama, ta sama, którą niegdyś powtarzał z zapalem...

Przyszła kolej na Tadzia.

Dziecinnym głosikiem, ale z animuszem i pewnością siebie prawił mały coś o siwym koniku, o rycerzu, o sokole... co dziwnie smutny i gorzki uśmiech wywoływało na usta jego ojca. Aż przykro zrobiło się nieznajomemu.

Zakrył twarz rękami, hamując ile sił szalone łkanie, które rozsadzało mu piersi. Niczego

nie zapomnieli... niczego nie podeptali... A przecież dla niego miejsca tutaj nie było.

Szczęściem rodzice zajęci dziećmi i choinką w tej chwili nie zwracali nań uwagi.

— No, teraz bawcie się dzieciaki, a my chodźmy do kominka — zaproponował pan domu.

— Słyszałem przy stole obietnicę daną mojej żonie i moją prośbę dołączam także. Opowiedz nam pan o tym przyjacielu, którego ci Tadzio imieniem swoim przypomniał. Nie jest to z mej strony próżna ciekawość, wierz mi pan. Ot i żona. Siadaj, Wandziu.

Usiadła, oczy przysłoniła ciemnymi powiekami i teraz wydała mu się jeszcze bardziej zmęczoną, jeszcze bledszą i smutniejszą, niż przedtem.

— Cóż państwu opowiem? Historia wiecznie taż sama. Dzieje tęsknot niewypowiedzianych słowem, bólów śmiertelnych, żalów niepowrotnych... Co prawda, rozmaicie Pan Bóg ludzi stwarza. Jedni poplaczają, potęsknią, potem pogodzą się z losem i przywykną.

Oni przywyknąć nie mógł, on ani na chwilę nie zapomniał o tem, co za oceanem zostawił. A nie skarżył się, nie rozpamiętywał, jak drudzy. Mileczał. I chyba tylko olbrzymy amerykańskich puszczy, chyba sępy i wichry w polu widziały jego łzy.

Szczęście szło mu w ręce, on nie chciał

obcego szczęścia. Amerykanka pragnęła go poślubić, odwrócił się od niej, jej ojciec dawał mu miliony, odrzucił; ziemia amerykańska odsłaniała przed nim dziewicze piękności swoje, on oczy zamykał, a zamknawszy, widział mgieł swoich tumany, czuł woń rodzinnych borów, słyszał oddalony dzwonek wiejskiego kościoła i wtedy łzy rześiste padały mu z oczu. Dwanaście lat takiej męki, dwanaście lat!

— Jak on się nazywał? Jak on się nazywał? Nazwisk miał wiele. Nie wiem, które było prawdziwe.

— I umarł? — spytała gorączkowo.
Zawahał się.

Chciałby zawołać: on stoi przed tobą. Kiedy już nie możesz czem innem, o ukochana, bądź mu siostrą w życiu! — Ale pokonał pokusę.

Nie wolno mu już zakłócać ich spokoju. Czuje, iż mimo wszystko on był jej pierwszą i jedyną miłością. Nie wolno, nie godzi się. Oni niczego nie zapomnieli, nie nie podeptali.

— Umarł — wyrzekł z wysiłkiem. — A mnie czas podziękować za chleb i za serca i pójść na dalszą włośćkę.

— Jakto? Chciałbyś pan teraz na noc? Nie pozwolimy na to. Nieprawdaż, Wando?

Obstąpili go oboje, zapraszając serdecznie. On spuścił głowę na piersi. Już i tak za długo bawił pod tym dachem.

— Nie, nie! Puśćcie mnie — prosił — pamięć o was zachowa tułacz na zawsze, ale pozostać nie może.

I nie wiedziała blada kobieta, dlaczego na rękę jej do pożegnania wyciągniętą spadła gorąca łza i nie wiedział mąż jej, dlaczego obcy człowiek, którego gościnnie wyprowadził na ganek, prosił go, by mu się pozwolił uściskać.

Pogaszono światła, matka ułożyła dzieci do do snu i anioł spokoju rozpostarł skrzydła nad cichym, smutnym domem.

A śnieg padał wciąż białymi płatkami i zasypywał ślady stóp wędrowca.

Druid skamieniały ¹⁾.

Siwe, ciche chmury płyną nad szarą galijską równiną. Na niej glazy wielkie, dziwaczne, znać jak przed wiekami zaryły się w ziemię burzą przeznaczeń roztrącone na części, tak tkwią tam dotąd posępne, tajemnicze, milczące... Ścieżyna wązka wiję się między nimi; wydeptały ją stopy pastuszków. Dzieci! Ach one bez trwogi stąpają po ruinach przeszłości...

Glazy, glazy pochmurne, mówcie wy do mnie. Czem byliście niegdyś, niegdyś przed wiekami?

A glazy kamienną wymową rysów swych poszarpanych odparły: Myśmy były oltarzem bogów.

Oltarzem byliście? Po zrębach waszych, gdzie mech teraz rośnie, krew ofiar ściekała. A gdzież lud, co wam czołem bił, gdzie lud,

¹⁾ Pisane pod wrażeniem obrazu L. Wyczółkowskiego.

co drżał przed wami, tajemnicy świętej dreszczem wstrząsany? Dlaczego opuścił was?

Jęk gniewu przeleciał w powietrzu i straszno było przez chwilę, bo zdawało się, jakby wszystkie druidyczne glazy powstały i burzą szły na mnie. Ale nie, one leżą cicho, jak pierwwej, a chmury płyną nad nimi i nad szarą galijską równiną.

Kamieniu, ty jeden, największy i najcichszy z pomiędzy nich, czemu ty byłeś niegdyś? Człowieka masz głowę i tors i ramię prawe jakby cięciem miecza odrąbane. Lewe opierasz na lutni, a lutnia kamienna jako ty i struny ma splekane. Mchy zielone ubrały ci czoło i pierś i brodę długą, kapłańską. Powaga śmierci i powaga życia patrzą ci z rysów. Starcze kamienny, kto ty? Nad tobą chmury sine, przed tobą Galii niezmierzone równiny...

Glazy, glazy pochmurne, mówcie wy do mnie!

* * *
Dawno, przed wiekami szumiały w Galii ciemne bory dębowe, a po borach stały ołtarze bogów i kapłani w białych szatach, w wieńcach zielonych na siwych włosach składali na nich ofiary. Starców w białych szatach zwali Galowie druidami, a byli oni bogom najbliżsi, bo tajemnicę życia i śmierci, tajemnicę przyszłości i pieśni posiadli. Czcili ich lud i jak dziecko

szcześliwy, w cieniu lasów zielonych żył pod opieką bogów i kapłanów swoich. Aż do ziemi Gallów przyszli wojownicy z południa hartowni, silni; rozum zimny patrzył im z oczu, rozważa kierowała ich czynami. Na obrzędy druidów spoglądali z uśmiechem szyderskim, a pieśni słuchać nie chcieli. Kraj Gallów podbili cały i własność zeń uczynili swoje, a lud napadnięty, choć walczył z początku jak lew, pogodził się w końcu z przybyszami obcymi i nawoływań kapłanów nie słuchał. I wyludniły się święte gaje; już do nich nie biegły tłumy, by jak dawniej składać ofiary, błagać o wróżby. Lud się od bogów swoich dawnych odwrócił, a w rozum Rzymian uwierzył.

Las galijski śpiewa pieśń posępną, zgrozy pełną, noc ją pochwytuje i niesie na kraj daleki. Takiej nocy coś strasznego stać się musi. Białe postacie kapłanów jak duchy migają między drzewami. Oni śpieszą do świątyni, bo tam najstarszy z druidów wezwał ich na tajemną naradę. W podziemiu, pod ścianami, stoi kilkanaście kamieni, na nich zwykle śiadają kapłani, gdy tutaj radzić przychodzą. Dziś miejsca ich wszystkie zajęte, to noc tajemnic. Na kamieniach siedzą postacie nieruchome, rycerskie, bo miecze mają u boku, ale ciała ich jakies przejryste, niby ze mgły... Kapłani skupili się

u proga, to noc tajemnic. Na glazach siedzą duchy starych wodzów Galii. Z państwa śmierci przywołał je tu druid-arcykapłan. Potężny on. Wicher, co szumi po wierzchołkach dębów leśnych, słucha go; słuchają go burze i pioruny, słucha jutrzeńka ranna i zorza wieczorna, na jego zaklęcie duchy zstępują na ziemię. I dziś przyszły, bo on chce nad Galią dawne słońce rozświecić, bo on chce bogom cześć dawną przywrócić. Rozpoczęły się już tajemnicze obrzędy. Już ojcowie zapytani potwierdzają skinęli głowami i miecze ich stare szczękiem się głuchym ozwały. Oblicze arcykapłana jaśnieje radością. Ten dźwięk zamiarom jego wróży zwycięstwo. Teraz bogów o przepowiednię zapytać trzeba. Dziewicy ustami przemówią bogowie.

Na środku podziemia, o podstawę ołtarza oparta, siedzi wróżbitka. Ona córka arcykapłana. Ojciec jej rozkazuje żywiołom, ona od bogów pieśń i wróżbę otrzymała w darze, ona bogów ojczystych ulubiona lutnistka. Twarz dziewczycy tak biała, że nie bielszą od niej wydaje się śnieżna jej szata. Włosy złote, rozrzucone, na kamiennej posadzce podziemia się ścielą. Na kolanach jej pęk zielonej jemioli, w ręku lutnia trzystrunna. Ona bogów ojczystych ulubiona lutnistka! Kapłani obstąpili ją dokoła, mówią nad nią zaklęcie czarodziejskie wyrazy. U świętego ognia zapaloną jemiolą oka-

dzają ją dookoła. Jeszcze chwila, a porwie ją szal święty i dziwica wróżyć zacznie. Ale dla czegoż oczy jej przymknięte, usta wykrzywione boleśnie? Na twarzach kapłanów maluje się niepokój i zdumienie. Nie tak zazwyczaj wygląda wieszczka, gdy zstępuje na nią moc natchnienia. Dłonie dziewicy drżą, po bladej jej twarzy ból się wiję, jęk, czy skarga cicha płynie z jej ust; dźwięków rozróżnić niepodobna. Sam arcykapłan przystąpił do niej i objął ją płomieniem swych źrenic. — Mów! — rozkazał. Na dźwięk tego głosu zatrzęsa się cała i jęk straszny, rozdzierający wyrwał się nagle z piersi dziewczęcej: Ojczy mój, ojczy mój, kiedy przeklniesz lud swój i córkę swoją, wtedy koniec będzie naszym ołtarzom!

I jak martwa uderzyła o ziemię, a lütnia strun złotych jękiem zaplakala nad nią.

I nic, nic więcej? Kapłanko bogów, czy tego oczekiwał po tobie lud twój?

Odsunęli się od niej druidzi strwożeni, tak straszne, tak niezrozumiałe wydały im się słowa wróżbitki. W tej chwili pierwszy szary promień świtu szczeliną jakąś wpadł do podziemia i mgliste postacie umarłych rozwiały się od niego. Tylko w powietrzu pozostały po nich jakieś lkania i westchnienia. Znać z ciężką troską dusze ojców porzuciły ziemię ojczystą.

W ciszy lasów arcykapłan zbiera wiernych, wiernych, co dotąd jeszcze starych nie odstąpili bogów. Arcykapłan zbroi lud. Panowaniu rzymskiemu ma być położony kres. Już on wróżb nie pyta o radę, ani córki spojrzeniem nie bada. Ona cicha, od nocy owej śmiertelnie biała, niby duch snuje się po krużgankach świątyni. Ni lutnię ujmie kiedy w rękę, ni źrenicę jej płomień natchnienia rozpali. A codzien bledsza, codzien niklejsza. W cieniu świątyni, pod okiem bogów, więdnie smutny kwiat, więdnie bogów ojczystych kapłanka. Aż dnia jednego ku wiosnie, gdy słońce biegło do zachodu, padła dziewica przed ołtarzem kamiennym i długo, długo niby martwa leżała, potem zdjęła ze złotych włosów wieniec kapłański, wraz z lutnią złożyła go na ołtarzu i poszła, poszła, żeby już nigdy nie wrócić. Widział ją druid, jak cicha, senna sunęła przez las, i widział jak potem w objęciach rzymskiego rycerza biała kapłanka bogów zrumieniła się raz pierwszy. Rzymianin wziął ją na konia i uniósł daleko. Widział to i milczący jak zawsze powrócił do świątyni, lutnię osieroconą ujął w stare ręce, a lutnia rozplakała mu się żalem bezmiernym i lkała jak córka.

* * *
Walka szaleje. Na błoniu pustem, szerokim, dokola kamiennego ołtarza zebrały się ostatki

wiernych, którzy za bogi dawne życie oddać pragną. Liściem dębowym uwieńczeni druidzi, biegają po polu i podniecają Gallów do bitwy. Arcykapłan stoi u ołtarza i lutnię stroi. Ale dziś, przekleństwo!... Dziś tonów bojowych wydobyc z niej nie sposób. Lutnia jedną tylko pieśń chce grać, tę samą, którą w rękach starca płakała po zniknięciu kapłanki, pani swojej młodej...

A walka się chwieje. Już na ołtarz nacierają Rzymianie, już i pieśni nie będzie, bo arcykapłanowi żołdak rzymski rękę prawą odraubał, w lewej została mu lutnia, w oczach płomień ponury. Jeszcze raz do broni, dzieci moje!— woła, a pod naciskiem rozjuszonych na nowo Gallów cofać się zaczynają Rzymianie. Ale nie, jeszcze jeden hufiec nadciąga im z pomocą; na jego czele mąż młody, zbrojny... Poznał go starzec, to kochanek kapłanki galijskiej. Świeże kohorty mkną za nim. On pędzi, rozbija, roztrąca. Gromady Gallów pierzchają przed nim, jak ptaków gromady. W końcu broń pokładły na ziemi i przebaczenia i laski i życia proszą u wroga. Rzymianin radośnie skinał na swoich: Złożyć im łańcuchy.

I na chwilę stało się cicho na błoni, druid u ołtarza stał... Wtem zatrząsł się całym ciałem, ramię skrwawione podniósł do góry i na tę gromadę nieszczęsną, pobitą, hańby proszącą przekleństwo rzucił straszliwe, a potem słów

parę cichszym, konającym głosem wymówił. Nim skończył jeszcze, jakby na stwierdzenie słów jego grom się w chmurach odezwał, iskra, blask... piorun węzłem się zakręcił i w ołtarz ugodził. Rozprysły się glazy na części i rozleciały z hukiem, Rzymian i Gallów gniotąc odłamami. Powiadają, że tej samej chwili rozsypały się w gruzy wszystkie druidyczne ołtarze. W godzinę później cisza już była dokoła. Zwycięzcy uprowadzili jeńców, trupy tylko zostały i kamienie, a między nimi z ramieniem odciętem, z drugim ostatnim wysiłkiem lutnię ukochaną dzierżącym legł druid i był sam... Oparty o głaz ołtarza, patrzył... Przed nim ciągnęły się Galii niezmierzone równiny, ciągnęła się kraju jego błoń szeroka, a on... konał. I skupił się w sobie starzec, i jako niegdyś rozkazywał wicherom, tak teraz powiedział sobie: nie umrę. I patrzył... a przed nim ciągnęła się Galii błoń szeroka. Wszystkich uczuć, wszystkich bólów siłę na wolę jedną wszechpotężną zamienił i stał się cud... Teżwały mu członki, twardniało mu łono, ciało przechodziło w glaz... Druid skamieniał.

* * *

Odtąd wieki przeleciały nad nim, a on zawsze tak samo jak niegdyś zapatrzony na Galii niezmierzone równiny. Powiadają, że czasem,

czasem, raz na sto lat może, z pod pochmurnych brwi kamiennego starca błysnie promień zaklętej źrenicy. Wtedy widać, że druid żyje. A gdy na przychodzi z obcych, dalekich stron promień ten padnie, to on w obce dalekie strony poniesie z sobą wspomnienie tego straszego wzroku, którym przez chwilę, przez chwilę jedną patrzył nań druid-głaz. I wzrok ten będzie mu siłą i będzie mu ducha potęgą, co wodza duchów zeń uczyni.

Szopen.

I.

Nad ziemią leciała piosenka. Gdzie zrodzona? Ha, Bóg jeden wie. Może, gdzieś, na łące poczęła się skargą skoszonego kwiecica, może wśród górskich przepaści powstała z jęku konającego orlęcia, potem powtórzyło ją echo, potem wiatr poniósł w doliny i z wichrem szła lasami i łąkami zbóż. Leciała nad wioską, a w wiosce płaczem zawodziła dziewczyna po matuli, po rodzonej, leciała nad gościńcem, a po gościńcu jechało wesele i bębny bębniły i ludzie się śmiali, druźbowie hukali na uciechę... Szła lasem, a drzewa tam szumem wiosennym szumiały; nad mogiłami leciała staremi, a z mogił głosy jakieś wstawały ogromne... i ze skarg polamanych kwiatów, z jęku pisklęcia, z płaczu sieroty, ze śmiechów ludzkich i szumów leśnych, z głosów skowronków i mogił starych gwaru snuła się przedza piosenki coraz dłuższa i dłuższa, to śmiejąca, to żalosna, rozplakana...

I szła nad polem, i szła nad rzeką, o zorzy rannej wstawiała na roli, o zmierzchu letnim płynęła w powietrzu i słyszały ją słowiki śpiewne, a żaden powtórzyć nie umiał i słyszeli ją ludzie, a żaden nie wygrał, nie wyśpiewał całej, aż jeden ją usłyszał. W jasny wieczór majowy wleciała mu oknem, wleciała razem z wonią bzów i narcyzów wiosennych i zawodzić ją po swojemu. On podniósł głowę, a miał twarz bladą i smutną, choć młodą; piosnki tułaczki słuchał długo, długo, a ona śmiała mu się i płakała naprzemiany, to łkała żałośnie boleścią wielką a prostą, to zwodnica zmienna śmiechem wybuchała ochoczym i potem znowu poczyniała smęcić się, a żalić, a wyrzekać, aż poleciała het, na pola i lasy.

Smutny młodzieniec podniósł się wtedy, rękę białą położył na klawiszach i z pod palców popłynęła mu ta sama płaczka polna, ta sama pieśń-zwodnica. Zadźwięzwały w niej znowu skargi kwiatów kopytem końskim zdeptanych, i jęki piskląt wyrzuconych z gniazda, i płacz dziewczyny i chłopców śmiechy, i szmery puszczy, i mogił szept. Ani jednego tonu tam nie brakło, wszystkie pochwycił artysta, dołączył jeszcze własnego serca ból i cudną, a dziwną poniósł w świat daleki.

I słuchają jej teraz obcy, a ona skarży się przed nimi nieznaną im mową. Ludzie przy-

stają, dziwią się, rozpytują i, choć obcy, płaczą czasem z nią razem.

II.

Jest na Père la Chaise samotna mogiła. Leży, leży w niej śpiewak, co piosnkę-zwodnicę ponosił w świat daleki. Grał on ją ludziom długo i od piosnki się smutkiem dziwnym zaraził. Radości ni wesela nie było dlań na ziemi. Nie dziwcie się lże wspomnienia, bo on umarł młodo i smutny był zawsze.

III.

W salonie pana Smith po raz pierwszy zebrało się towarzystwo tak świetne. Prócz kilku znakomitości z City, które stanowiły zazwyczaj ozdobę artystycznych wieczorów milionera, widzieć tam można było dzisiaj i kilku młodych przedstawicieli starych rodów. Kilka koron hrabiowskich i jedna podobno mitra książęca zaszczyliły jednocześnie obecnością swą firmę Smith i synowie. Stało się to za sprawą pani Smith, której umiejętność prowadzenia salonu i gorąca chęć uprzyjemnienia gościom chwil w domu jej spędzonych znane były i podziwiane w szerokich kołach. Jakiż to świetny po-

mysł naprzykład to sprowadzenie do siebie znakomitego wirtuoza, którym cała Europa się zachwyca, a który wczoraj, tak, wczoraj dopiero zawitał do Londynu. W salonie pani Smith sławny artysta da się słyszeć po raz pierwszy; później dopiero będą miały miejsce występy publiczne. To też nie dziw, że cały świat amatorów, melomanów stawil się z ochotą na zaproszenie uprzejmej gospodyni domu.

Pani Smith zadowolonym wzrokiem wodzi po tłumie swych gości. Toalety dam są świetne, brylanty, rubiny, szafiry snopy iskier rzucają dokoła. Perły młodych panienek ślicznie stroją te świeże młodziutkie postacie. Atmosfera wyrafinowanego zbytku panuje w tem zgromadzeniu.

Już wprowadzono zagranicznego artystę, koncert się zaczyna.

Panie okoliły fortepian, panowie cofnęli się i ugrupowali pod ścianą. Tam w rogu salonu odosobniony nieco siedzi człowiek niestary, ale widocznie przeszłością swoją strudzony. Rysy ma piękne, subtelne, niby wyrzeźbione, wyraz ust nieco bolesny, oczy przygasle. Od całej tej postaci wieje smutek, a głębokie zmarszczki na czole, a włos posiwiałe przedwcześnie, a bolesne skrzywienie ust świadczą, że człowiekiem tym wstrząsać musiały kiedyś burze namiętności i wzruszeń gwałtownych, że on czuć, cier-

pieć i kochać musiał kiedyś szalenie. Dzisiaj poważny, zimny, wygląda równie poprawnie, jak reszta towarzystwa, do którego zdaje się być doskonale przystosowanym. Z uwagą słucha muzyki, a w przerwach zamienia kilka słów z najbliższym sąsiadem.

— Uważaj pan teraz! Program zapowiada Szopena.

Skinął głową obojętnie, ale po twarzy przeleciała mu łuna niby i zgasła, a usta zadrżały nerwowo. Szopena... Boże, kiedyż i gdzie słyszał on go po raz ostatni?! Tam w małym dworku nad Bugiem grało go dziewczę takie jasne i białe... Potem inne dźwięki mu zagrały, a potem już nic tylko ból — ból!

Cisza zrobiła się w salonie, artysta rękę położył na fortepianie i w powietrzu zadrżał nokturn-marzenie. Zdało się, że pogasły lampiony, że przyćmiły się blaski brylantów i szafirów, a salon światło miesięczne zalało. Tak to noc księżycowa, świetlana, cicha, ale jakaż dziwna? Słysząc tajemnych przysiąg szept, słysząc pożegnań cichych rozpaczliwe westchnienia, białe postacie mdlejące przesuwają się po szpalerach ogrodów. Zdała dźwięki dolatują tajemnicze, złowrogie... może to hukanie puszczyków, może płacz jakiś odległy... A tony nokturnu cichną jeszcze... w inny smętniejszy przelewają się motyw... Po łąkach mgły wstają... wstały białe jak

duchy i płyną niby smętnych, przejrzystych postaci chór. Miesiąc je srebrzy, a wiatr srebrne rozwiewa. Każda plamę purpurową ma na piersiach i w świetle miesiąca płyną, płyną w cień. Wiatr je niesie dalej i dalej... wiatr je rozwiewa. Już przepłynęły i na łąk się ułożyły polu. Tam im cisza i sen i cień...

Księżyc już nie świeci, chmur go czarnych zakryły tumany. Nic już niema, tylko ciemności i ból i ból... Łkanie głośnie zmaćilo melodyę. Artysta wzdrygnął się cały, ręce podniósł od fortepianu i jak ze snu zbudzony spojrzął dookoła.

W rogu salonu otoczono niemłodego człowieka, spiesząc mu z pomocą. Jasnowłosa panienka podawała mu szklanek wody, gentleman jakiś radził kieliszek koniaku. On nie odpowiadał, głowę miał w rękach ukrytą i szlochał z taką żalnością namiętą, jakby zapomniał, że znajduje się w salonie p. Smith. Nagle wstał i rozpychając tłum przed sobą, uciekł z pokoju. Na chwilę zapomniano o koncercie; ogólną uwagę zwróciło dziwaczne zachowanie tego człowieka.

— Kto jest ten gentleman? — raczył zapytać księżę głównego przedstawiciela firmy.

— To jeden z moich buchalterów, dziwak, cudzoziemiec, pośpieszył z objaśnieniem gospodarz domu.

— Nerwowo? — badał księżę dalej.

— Nie uważałem dotąd...

— Skądże wybuch wzruszenia wobec tej...
tej melodyi. Inne znosił spokojnie.

Pan Smith ruszył ramionami. Nagle niezwy-
kła myśl błysła mu w głowie. — Może jakieś
wspomnienie młodości — rzekł patrząc pytająco
na księcia.

Wielki pan uśmiechnął się zlekka. — Tak,
to możebne — i powrócił do fortepianu.

Artysta zdołał już ochłonać tymczasem. Wziął
pełen akord i świetnymi pasażami jakiegoś ronda
zagłuszył wspomnienie nokturnu. Dalszy ciąg
koncertu odbył się wedle programu.

Rycerze.

(Z opowiadania).

— A ty, Jasiek, codzień ich widzisz?

— Codzień, nie codzień. Najwięcej o zachodzie słońca. Czasem se jadą powoli, cichutko i przejadą, i już. A kiedyś ci znowu to lecieli, ino ziemia drżała, ino szum szedł wielgi, jak po drzewach w lesie, ino chorągwie migwały...

— Jasiek, ja tu z tobą zostanę do wieczora, ty mi pokażesz, dobrze? — zawolałem, szaloną ciekawością opanowany.

— A, niech się panicz zostanie. Żeby ino wyjechali dziś na pole.

Przed nami ciągnęła się rozległa równina, płaska, monotonna, melancholijna jak step, tonąca cała w lekkiej mgle, złotawej od promieni jesiennego słońca. Na krańcu płaszczyzny siniał las. Z niego wedle opowiadania Jaśka wyjeżdżali rycerze i ginęli w przeciwległej puszczy. Nie od niego usłyszałem o nich po raz

pierwszy. Legenda to była miejscowa. Kiedyś, dwieście lat temu podobno w lesie tym pokazać się miały komuś duchy poległych wojowników. Na pamiątkę tego cudu ustanowiono nawet odpust w naszej parafii. Odtąd corocznie z całej okolicy schodzili się ludzie na «Rycerzy» do kościoła, ale ich samych nikt więcej nie widział, i nie słyszał o nich nikt. Niańki chyba tylko bajały o nich dzieciom, by je prędzej ukłólsać do snu. I ja też od piastunki mojej dowiedziałem się niegdyś o tych tajemniczych rycerzach, a potem Jasiek oczarował moją wyobraźnię opowiadaniem, że ich widuje jak żywych, na koniach, pędzących przez pole. Jaśkowi wierzyłem bezwarunkowo.

I teraz, leżąc obok niego i patrząc na gromadkę owiec skubiących trawę po rżysku, jedną tylko miałem obawę: czy oni aby wyjadą dziś na pole?

Słońce chyliło się coraz bardziej ku zachodowi, w powietrzu cisza była niezmacona. Jasiek w postawie pólsidej, klęczącej na pół, z nogami podwiniętymi pod siebie plótl kapełusz z różnobarwnej słomy. Długie, płowe włosy spadały mu na czoło, odkrytą głowę paliły gorące jeszcze promienie słońca, ale on zdawał się nie czuć tego.

Chwile oczekiwania dłużyć mi się zaczynały.

— No, Jasiu, prędko oni się pokażą? — pytałem szeptem.

— Pewnikiem, nie długo już. Burek tu, do nogi!

Pies przybiegał posłuszny i kładł się koło swego pana, a ja posyłałem znów ciekawy wzrok w omgloną, choć świetlistą dal, i czekałem cierpliwie.

Nareszcie namiętne pragnienie ujrzenia cudownych rycerzy tak wzmogło się we mnie, że byłem gotów pół życia dać za to, by raz już przecie wysunęli się z tego czarnego lasu. Co chwila też rzucałem na Jaśka niespokojne, pytające spojrzenie, ale on siedział z głową spuszoną, milczący, zajęty swoją robotą.

Naraz zatrząsnął się całym ciałem i takim dziwnym wzrokiem spojrział przed siebie, że dreszcz przeszedł mnie od stóp do głów.

— Jada, paniczu, jada! — wołał pochylony naprzód, z szeroko otwartymi oczami. Burek się zerwał w tej chwili, i najeżywszy grzbiet, ze lbem zwróconym w tym kierunku, w którym Jasiu rękę wyciągał, szczekał gwałtownie.

— Jada, jada! — powtarzał chłopak. — Rycerz wielgi, pod niebo, jeden, drugi... ilu ich tam! O Jezu! Jezu! A jak ten wicher rwą! Wojsko całe wali za nimi, aż ziemia dudni... Jakie blachy złociste, jakie chorągwie mają wielgie. — A szumi... Jezus! Marya!

Umilkł, opuścił ręce i zamknął oczy, a w tej chwili i Burek zawył przeciągle.

— Przejechali już? — spytałem Jaśka.

— Już, już, paniczu...

— Nie widziałem nic zgola.

— Paniczu! Edwardku! — rozległo się naraż z dwóch stron wołanie.

To mnie szukano. Zerwałem się na równe nogi, i pobiegłem w stronę parku, skąd dochodziły mnie znajome głosy. Przy parkanie ujrzałem lokaja, Jakóba.

— A czemu to panicz tak daleko odchodzi i tak długo nie wraca? — gderał na mnie stary — pan guwerner już od godziny szuka na wszystkie strony.

Wziął mnie za rękę, i spiesznym krokiem ruszyliśmy ku domowi, przez napół mroczne już aleje parku.

— Jakóbie, mój kochany Jakóbie — pytałem, biegnąc prawie obok niego — dlaczego ten Jasiak widzi rycerzy, a ja nie?

— Co panicz wygaduje? Jakich rycerzy?

— Nawet Burek ich widzi, jak jadą tam przez pole, a ja nie...

— Co on tam Edwardkowi baje, a Edwardek słucha, i wierzy wszystkiemu — oburknął się stary. — Ot dobrze, że znalazłem, bo pan już wraca, to znowu byłby hałas, że panicza

niema przy kolacyi. No proszę iść prosto do stołowego pokoju.

Od chwil tych ubiegło lat kilkanaście. Płaszczyny bezbrzeżne, dalekie puszcze czarne, cały ten jasny świat mego dzieciństwa wraz z cudownemi legendami i Jaśkiem-wizjonerem poszedł w zapomnienie.

Byłem w Berlinie, na kursach, kończyłem rok dwudziesty pierwszy i przygotowywałem się do objęcia dziedzicznych majątków; ojciec mój bowiem umarł przed kilku laty, a matka idealistka trochę i marzycielka nie umiała praktyczną stroną życia kierować. Nie dziw też, że pod jej zarządem nasze sprawy finansowe przedtem już zagmatwane nieco, powikłały się do tego stopnia, że jak w ostatnim liście pisała mi matka, można było po stanowczej likwidacyi spodziewać się w najlepszym razie ocalenia niewielkiej tylko sumy, która podzielona między troje rodzeństwa i matkę nie zapewniłaby żadnemu z nas takiego stanowiska w świecie, na jakie przywykliśmy liczyć od dzieciństwa.

Byłoby to okropne dla mnie, gdybym podzielał był obawy wyrażone w tym liście. Domyślałem się jednak, że matka fałszywie ocenia położenie, i w zbyt czarnych maluje je barwach. Byłem przekonany, że gdy raz męska

ręka ujmie ster interesów, rzeczy inny zupełnie obrót przybiorą. Przytem przed kilkoma dniami właśnie, otrzymałem świetną propozycję od sąsiada naszego barona von Walterskirchen, którego dom był jednym z najprzyjemniejszych w Berlinie, i gdzie byłem częstym i szczególnie uprzejmie przyjmowanym gościem.

Baron kupił przed niedawnym czasem niewielki majątek w naszym sąsiedztwie, ale nie odpowiadał on widać jego wymaganiom, bo kiedyś zabrawszy mnie do swego gabinetu, przy likierach i czarnej kawie wyjawil mi życzenie nabycia pewnej części, lub całości naszych dóbr. Przepuszczalna cena, którą wymieniłem wtedy, tak dalece przewyższała najśmielsze oczekiwania matki, że uśmiechałem się mimo woli, czytając jej rozpaczliwy list. Sprzedam Olszowę ze wszystkimi przyległościami baronowi i przetnę kwestyę jednym cięciem — myślałem. Wówczas jednak nie dałem baronowi odpowiedzi stanowczej, tłumacząc się koniecznością porozumienia się z rodziną i zapoznania ze stanem interesów. Baron przyznał mi zupełną słusność, nie nalegał, wyraził tylko nadzieję, że na wsi, dokąd zamierzał z całym domem wyjechać, stosunki nasze zacieśnią się jeszcze bardziej, a może i interes da się doprowadzić do końca. Baron miał dwie prześliczne córki i piękniejszą od nich synowicę, która po

matce, Hiszpance odziedziczyła najpiękniejsze oczy czarne, jakie widziałem w życiu, a po swoich obabkach germańskich kaskadę jasno-blond włosów.

Od kilku miesięcy zostawałem pod urokiem pięknej panny, to też nadzieja częstych i poufanych stosunków sąsiedzkich, czyniła mnie niewymownie szczęśliwym.

Z biciem serca oczekiwałem chwili wyjazdu na wieś, i już sama radość z tego spodziewanego zbliżenia nie pozwalała mi brać do serca trwożnych przeczuć matki.

Nareszcie znalazłem się w Olszowej i kiedy przyszło do rozmowy o interesach, wystąpiłem tryumfujący z propozycją barona, sądząc, że tym sposobem rozjaśnię na zawsze stroskaną twarz mojej matki. Tymczasem wbrew wszelkim oczekiwaniom trafiłem na opór, który mi się wydał wprost niezrozumiałym. Matka nie chciała sprzedać Olszowej, a nadewszystko nie chciała jej sprzedać baronowi. Przyszło między nami do głębszej, poważniejszej rozmowy, i ku zdumieniu mojemu dowiedziałem się, że dobra, łagodna matka nasza pod powłoką słodyczy i marzycielstwa żywi mnóstwo najosobliwszych niechęci i uprzedzeń, które wydały mi się wprost anachronizmem, dziwactwem jakimś zabawnym, dziecinnem nawet, a niewłaściwem zupełnie dla osoby na jej stanowisku.

Z sióstr moich, starszych ode mnie o lat parę, jedna nie miała wcale własnego zdania, druga popierała idee matki z wielką żywością i zapałem. Byłem sam wobec nich.

Matkę kochałem szczerze i serdecznie, ale na tym punkcie zrozumieć jej nie mogłem. Rzeczy pozostawały tedy w zawieszeniu, a ja żywiąc tajemną nadzieję, że okoliczności same niezadługo przyjdą mi z pomocą, nalegać już tylko zacząłem o nawiązanie stosunków sąsiedzkich z Leśną (tak nazywał się majątek barona). Ale i tu spotkałem się z objawem antypatii całkiem nieuzasadnionej.

Baron z córkami jeszcze przed mojem przybyciem złożył wizytę w Olszowej, a moje panie dotąd nie mogły zdecydować się na oddanie im odwiedzin. Zabolalo mnie to do żywego, oburzyło nawet. Nie dziw! Jasne włosy i czarne oczy Emmy Mercedes magnetycznym urokiem ciągnęły mnie ku sobie.

Okoliczności, na których moc liczyłem tak wiele, nie długo kazaly czekać na siebie.

Dzień po dniu spadały na nas ciosy dotkliwe w formie mniej lub więcej grzecznych listów z prośbą o zwrot sum hipotecznych, pozwów, zawiadomień urzędowych i t. p. Fortuna nasza po jakiejś fatalnej pochyłości staczała się widocznie bardzo szybko ku ostatecznej ruinie.

Zauważyłem, że każdy otrzymany list, ka-

żdy papier z urzędową pieczęcią wywoływały na usta matki przykre nerwowe drżenie. Codzień też pogłębiały się cienie pod jej smutnymi oczami i wyraźniej zarysowywała zmarszczka na bladym, niegdyś tak pięknym czole. Milczała jednak, ale chwilami spotykałem w oczach jej wyraz śmiertelnego niepokoju i ciężkiej duchowej rozterki. Ja milczałem również, nie dotykając ani jednym słowem tak stanowczo odrzuconej propozycji barona. Starsza siostra chodziła między nami z podniesionym czołem, zbuntowana wyraźnie tak przeciw spokojnej obojętności mojej, jak i przeciw bezradnemu smutkowi matki. Młodsza, zalękniona, nie pojmująca dobrze, o co chodzi, nie śmiała jednym słowem przerwać panującej między nami ciszy. I tak rodzinna atmosfera nasza stawała się coraz cięższą.

Nareszcie, gdy chwila wydała mi się odpowiednią, napomknąłem niby od niechcenia, że dobrze byłoby może złożyć w tych dniach wizytę w Leśnej. Na to matka spuściła oczy i coś jakby rumieniec wstydu przemknął po jej zmęczonej twarzy, ale odpowiedziała cichym głosem:

— Dobrze, dziś po południu możemy jechać. Siostry milczały obiedwie.

W kilka godzin potem wyświeżony, modny stałem przed wielkim zwierciadłem w salonie,

pokręcając czarny wąsik, który w tym roku właśnie bujniej jakoś porastać mi zaczął. Krótki przegląd całej mojej postaci zadowolnił mnie w zupełności. Wydałem się sobie bardzo przystojnym chłopcem. Z Emmą stanowilibyśmy cudownie dobraną parę — uśmiechnęła mi się myśl. I natychmiast zacząłem wyobrażać sobie koło siebie synowicę barona, wysmukłą, świeżą, z dumnie podniesioną główką, z falą jasnych włosów, spływającą ku ziemi. Wyobrażnia moja pokazała mi ją jak żywą. Rozmarzony przymknąłem oczy, i uczulem nagle, że te złote włosy owijają mi się koło szyi, dotykają mnie, pieszczą... Zrobiło mi się gorąco, potem dreszcz dziwny przeszedł od stóp do głów, drgnąłem, otworzyłem oczy...

Emmy nie było. Za to w głębi zwierciadła, z poza portyery zdobiącej drzwi sąsiedniego gabinetu wychylała się inna twarzyczka kobieca. Starsza siostra moja spoglądała na mnie z jakimś drwiącym, pogardliwym uśmiechem na ustach. Obrażony odwróciłem głowę, ale naprawdę nie zobaczyłem nic. Tylko czerwona portyera drgała lekko. I dotąd nie wiem, czy złudzeniem, czy rzeczywistością była ta twarz, patrząca na mnie z wyrazem, którego nie przebaczyłbym nikomu.

— Proszę jaśnie pana! — dał się słyszeć w tej chwili głos służącego.

— Dobrze, dobrze! Już idę.

Zbiegłem ze schodów i wskoczyłem do powozu, w którym czekała na mnie matka z siostrami. Dzień był gorący, w powietrzu senna cisza. Nad głowami naszymi ani jeden obłoczek nie snuł się po błękitie nieba, ale od południa u samych granic widnokregu podnosiła się gęsta, czarna chmura.

Wjechaliśmy na drogę, pośród pól. Wietrzyk zaleciał leciutki, i wszystkie zboża falą złotą, srebrną, lub zieloną powiały ku nam.

Powóz toczył się dalej, a ja zapominałem powoli, gdzie i po co jedziemy. Wszystkie moje nadzieje, pożądanja niedawne, myśli wszystkie ucichły naraz we mnie. Wzięły mnie w moc swoją bezbrzeżne płaszczyzny naszych pól i niby senny patrzyłem na nie, i niby senny czułem, że kołysze mnie ruchoma fala zbóż. Skręciliśmy w las i ujrzałem przed sobą chmurę, która coraz wyżej i wyżej wznosiła się ponad horyzont. Czarna, groźna szła z daleka, niosła w łonie swoim jakieś tajemnice i powoli zbliżała się ku nam. Nie mogłem oczu od niej oderwać.

— Będzie burza — rzekła matka.

— Będzie burza! — powtórzyły po chwili obie siostry.

Słowa ich zadzwoniły mi w uszach, jak gdyby wiatr przyniósł je skądś z daleka. Prawie nie rozumiałem ich znaczenia. Coś dziwnego działo

się ze mną. Chmura tymczasem zakryła już słońce. Mrok szary padł na ziemię, a w mroku tym ciemne głębie puszczy nabrały większej jeszcze tajemniczości. Wyjechaliśmy wreszcie z lasu, spojrzałem dokoła i niebo całe wydało mi się zasnuwane chmurami. W tej chwili matka powiedziała do mnie coś, czego nie zrozumiałem, bo spojrzawszy nagle przed siebie, zobaczyłem wysuwające się z lasu dziwaczne jakieś postacie o niepewnych kształtach, wielkie, mgliste, szare... Wpatrzyłem się w nie całą siłą spojrzenia i dostrzegłem, że to byli wojownicy na koniach... wielkoludy na koniach — olbrzymach... Coraz więcej wynurzało się ich z lasu i z tętentem kopyt powoli jechali naprzód. Poznałem. To byli rycerze, moi rycerze, moi, z dawno minionych dni mego dzieciństwa!

Strach mnie ogarnął niepojęty, a oni, rośli wciąż przedemną, coraz wyżsi, coraz potężniejsi... Olbrzymie widma! niby z lasu i niby z chmury tej wychodzili czarnej; z brzękiem zbroi, z szumem skrzydeł szły ku mnie zbrojne duchy przeszłości! I było mi straszno i dziwno. Szedł od nich na mnie pradziadowych dni wiew, prastarych czasów odzywały się echa i surm bojowych w powietrzu drgał dźwięk. A oni zbliżali się coraz bardziej i przerażony patrzyłem w oblicza umarłych. Sen grobowy leżał im na twarzach, na oczach przymkniętych... Naraz

podnieśli ciężkie powieki i umarłemi oczami spojrzeli mi w twarz... Krzyknąłem i nie wiem, co działo się dalej, bo ciemność zupełna ogarnęła mnie nagle. Zemdlałem podobno, a matka przestraszona, wśród błyskawic i grzmotów zawrócić kazala ku domowi.

Zaledwo rozproszyla się ciemność, co niespodzianie spadła mi na duszę, z głębin pamięci wysunęły się znowu tajemnicze widziadła, stały przedemną i przed żadnem zaklęciem ustąpić nie chciały.

Wpatrywały się we mnie tym samym wzrokiem mogilnym, a ja wilem się pod ich spojrzeniem. Czego chciały, czego chciały odemnie widziadła?! Klękałem przed nimi i modliłem się, wtedy bladły i oddalały się niby, a potem wracały znowu i topiły mi w duszy straszne, zagadkowe spojrzenie. Uciekałem, sił mi brakło, padałem i rozpaczliwym głosem wołałem o pomoc. Czasami zamykałem oczy, ale i z zamkniętymi oczami widziałem ich przed sobą. To znowu chwilami nikły rumaki, nikły postacie olbrzymie, ale to spojrzenie ich, pełne tajemnic i klątw i skarg niezrozumiałych jak ciężar czułem na sobie. Niby z mogił otwartych, rozproszonych po polach patrzyli na mnie umarli. Rzucałem się, krzyczałem głośno, pytałem, czego chcą odemnie?! Ale oni milczeli, tylko wzrok ich utkwiony we mnie mówił mi o rzeczach dzi-

wnych i nowych i strasznych... Nie wiem, jak długo szamotałem się z nimi w ten sposób, aż nareszcie jednej nocy, pod blaskiem posepnych ich spojrzeń rozdarła się zasłona kryjąca przed duszą moją nieznaną dotąd światy. Zrozumiałem, zrozumiałem ich nakoniec. I wtedy uspokajając się zacząłem, a oni bledli mi w oczach coraz bardziej przejrzyści, powietrzni, coraz niklejsi, aż rozsnułi się we mgły poranne.

Po raz pierwszy od wielu zapewne dni przytomnym wzrokiem spojrzałem dokoła, i zamiast tajemniczych, rycerskich postaci ujrzałem zwykłe otoczenie moje, pokój mój sypialny, a przy łóżku siostrę starszą, czuwającą nade mną. Zrozumiałem, że musiałem być chory. Spojrzałem na jej twarz smutną, znużoną, pobladłą i pierwszy raz poczułem się naprawdę bratem tej kobiety o tyle dojrzalszej odemnie.

— Julio — szepnąłem, gdy pochyliła się ku mnie — Julio, wiesz, baron nie zabierze już Olszowej.

Spojrzała mi w oczy swoim jasnym, rozumnym wzrokiem i jak gdyby jej wszystko wiadomem było, nie zapytała o nic, tylko zaczęła dłonią chłodną, miękką gładzić moje włosy i pieścić mnie i tulić, jak dziecko. A mnie pod tem dotknięciem szczęście jakieś, jakaś radość nieznaną wstępowała do duszy. Spokojny, po bu-

rzach i szamotaniach gorączkowych uciszony,
jak dziecko po płaczu, usnąłem.

W kilka dni byłem już zdrów zupełnie, ale
wstałem człowiekiem nowym.

Olszowa dotąd moja! Przed napaściami wie-
rzycieli, przed pożądlivością barona i przed
samym sobą potrafiłem ją obronić.

Jak dawniej kołyszą się na niej szumiące
fale zbóż, i jak dawniej przez pola jej przecią-
gają zapewne wybranym tylko oczom wi-
dzialne — duchy poległych rycerzy.

Wigilia w lesie.

Śnieg się usypał głęboki, puszysty, biały. Gałęzie świerków i sosen gięły się pod jego ciężarem, drzewa spokojnym, zimowym snem ujęte, wśród ciszy leśnej stały nieruchome. Wieczór zapadał...

Powolnym krokiem, z dubeltówką przewieszoną przez ramię stary nadleśny zmierzał ku domowi. Czapkę baranią nasunął na czoło; na siwych wąsach osiadł mu szron i smutną, surową twarz starego człowieka posepniejszym jeszcze niż zwykle przybrał wyrazem.

Drzwi domu zastał uchylone, wszedł i w sieni spotkał się z kobietą niemłodą, ale rumianą jeszcze i czerstwą, w chustce na głowie.

— A pan mój wraca! — zawołała radośnie — to i dobrze, bo ja już lecieć muszę. Dzieciska stęskniły się za matką. Przygotowałam wszystko, nakryłam, ogieniek napalilam wesoly, ciepło będzie spać. Wesolych świąt życzę panu — dodała, całując w rękę nadleśnego.

— Nawzajem, nawzajem! Idźcie z Bogiem, moja Antoniowa!

Kobieta wyszła, on za nią zarygłował drzwi i wszedł do izby. Tak, prawda, na kominku ogień płonął wesoly, izbę całą zalewając światłem, stół stał nakryty, pod obrusem leżało siano, waza z zupą dymiała, nawet opłatki białe znalazły się na talerzu; tylko do tego stołu nikt prócz niego zasiąść nie miał, tylko tym opłatkiem nie było się z kim rozlamać!

Machinalnie zdjął dubeltówkę, postawił ją w kącie i usiadł za stołem. Ale nie brał się do jedzenia. Szklisty, wółprzytomny wzrok utkwil w buchającym na kominku ogniu i pozostawał tak chwilę; myśli jego wędrowały widać gdzieś, daleko. W końcu wziął do ręki chleb, ulamał kawałek i chciał podnieść do ust, ale chleb wypadł mu z ręki, a z siwych, surowych oczu gradem pociekły łzy i szybko stoczyły się po zmarszczonych, ogorzałych policzkach.

Wstał, rozpaczliwym ruchem zacisnął ręce, aż mu zatrzęszczały stawy, jakby w bólu niezmiernym od jęku usiłował się powstrzymać i gwałtownie chodzić zaczął po pokoju.

Ha, inaczej, inaczej bywało tu kiedyś! I on miał swoje skarby i on miał dzieci swoje!

Chłopaka Bóg mu dał, jak iskra żywego, a szczerego, a serdecznego, jak złoto. W czarnych oczach tlały mu wiecznie ognie wesolości,

a usta śmiały się takim radosnym, dziecinnym prawie śmiechem. Młodą głowę nosił hardo do góry i ojciec nie gniewał się o to, bo jemu tak pięknie było z tą dumą młodzieńczą, nieugiętą, z tym ruchem wyzywającym, śmiałym, którym odrzucał w tył bujne, czarne kędziory.

I dziewczynę miał jasnowłosa. Chodziła ze spuszczonej warkoczami i kiedy się śmiała, to przez łzy, a kiedy płakała, to jej uśmiech anielski wykwił na ustach.

I te jego skarby, te jego kwiaty leśne poniszczili mu ludzie.

Hardego chłopaka gnać chcieli, jak trzcinę, aż im się złamał, a dziewczęciu zabrali wszystkie uśmiechy. Zostawili biednej tylko łzy. Serduszko młode zabrał jej pan bogaty i podeptał, a dziewczę nikło coraz smutniejsze i cichsze, aż ucichło na zawsze.

I te dwa kwiatki jego uwiedły mu równocześnie prawie.

I widział dumną głowę swojego chłopca spuszczoną posepnie na piersi, i oczy, co tak śmiało patrzyły przed siebie, zamknięte na wieki. I widział dziewczyny swojej warkocz potargany i twarzyczkę bladą, na którą po śmierci dopiero wystąpił spokój tajemniczy.

A teraz nie zobaczy ich już nigdy, nigdy! Dzieci swoich nie zobaczy już więcej!

Padł na krzesło i zaniósł się płaczem szalo-

nym. Jak dziecku lzy mu leciały gorące i lkanie rozpaczne szarpało piersi starą.

Późno było, kiedy się uspokoił, uciszył narzeczcie. Siwa głowa opadła mu na piersi, przymknęły się powieki i sen pocieszyciel ogarnął duszę zbolalą... Las przed nim, wśród lasu droga, gałęzie drzew szron pokrył srebrzysty. On idzie dalej i dalej, ale mu coraz dziwniej, on swojej puszczy każdy zakątek zna, a tego miejsca nigdy podobno nie widział. To jakiś las obcy, tajemniczy... Inaczej chyla się tu drzewa, inaczej miesiąc świeci. Nad drogą rośnie brzoza płacząca i wiotkie gałązki żalownie schyla ku ziemi, naprzeciw niej dąbek młody wzbija się ku górze. Starzec idzie... a wciąż mu się zdaje, że te dwa drzewka spoglądają na niego, że o nim między sobą cichym gwarem gwarzą. Stał pod niemi zadumany i uczył, że go brzożka pieśczośliwie gałązkami swojemi trąca i szumi nad nim, ludzką mową szumi: «Ojcie mój — powiada — to ja, twoja dziewczyna. O nie płacz ty nademną! Mnie tu dobrze mój ojcie, tak dobrze, tak cicho! Wietrzyk po gałązkach moich piosenki przeróżne gra, mgły mnie otulają, miesiąc blaskiem stroi i jeslim płacząca, to dlatego tylko, że mi ciebie, stary ojcie, żal! O nie płacz nade mną! Tu nic nie zabol, tu nie ukrzywdzi nikt. Jednego ranku on jechał przez las. On... ty wiesz ojcie, kto? Zatrzęsłam listkami i kro-

ple rosy, któremi okryły mnie mgły poranne, spadły mu na czoło. Pojechał dalej i rosy kropelki, jak niegdyś lzy moje, poniósł na sobie. Tu dobrze ojeze, tu cicho, tu błogo...

A dąbek młody tak szumiał nad starcem: «Mój ojeze, mój ojeze, nie żałuj ty mnie! Ty jeden wiesz, jak mi ciężko, jak trudno było żyć na świecie. Plaszczyc się trzeba było i podlić i karku uginać, a tyś mnie tego nie nauczył sam, więc nie umiałem i złamał mnie los. A teraz widzisz dębem dumnym i twardym wyrósłem; w górę śmiało wybiegłem mój ojeze! A kiedy wichry i burze nadejdą, to mną też zatrząsą i złamią mnie może, ale mi czoła hardego nie ugną! Nie żałuj ty mnie, nie żałuj!»

I gałązkami trąciły się drzewa i obadwa zgodnie zaszumiały: Nie płacz, nie płacz ty za nami! My tu nie same, my tu w tym lesie pomiędzy swoimi! słuchaj, my tobie szumem tajemnicę lasu wyśpiewamy: Kto kocha za mocno, kto czuje za wiele, temu młodo umierać trzeba, temu lepiej w ciemnej puszczy drzewem prostem, zielonem wystrzelić, niż na świecie pomiędzy ludźmi żyć! Ojeze, my tu pomiędzy swoimi. Posłuchaj tylko, posłuchaj!

I w tej chwili dwom drzewkom młodym zawtórowała szumem puszcza cała i chórem wszystkie zaśpiewały drzewa: kto kocha za mocno,

„Pamiętasz, Janku, nasz dom stary i ten

szum — szum.

kto czuje za wiele, temu młodo umierać trzeba.
O nie płacz, nie płacz ty za nami!...

Z za chmur wysunął się księżyc i na pokryte szronem wierzchołki drzew rzucił snopy blasków przeczystych. Zamigotały światłem diamentów i na tle błękitnem powietrza aureolą promienną gorzały...

Zbudził się starzec, podniósł senne powieki i żdziwionym wzrokiem powiódł dokoła. Na kominku przygasły już głównie i tylko fijołkowe płomyki biegały po bielejącym popiele. Ciemno było i cicho, a staremu w głowie wciąż jeszcze szumy grały dziwne i aureolą blasków świecił tajemniczy las...

I całkami trączył się dźwięk i obadwa ręce dnie kaszmirly; Nie płacz nie płacz ty za nami. My tu nie samo, my tu w tym lesie pomniemy swym! słuchaj my tobie szumem tajemniczym lasu wypowiedzamy. Kto Kocha za mocno, kto głuche na wiele, temu chodź umierać; trzeba trzymać lepiej w ciemnej puszczy drzewa prostym, nie łonem wytworzył; niż na świecie pomniemy ludzkiej szły. Ojciec my tu pomniemy swym! Posłuchaj tylko posłuchaj! I w tej chwili dwom drzewkom wiodły na wtorowała z umiem puszcza wala i ciotnym wazyl. kie zaspiwały drzewa; kto kocha za mocno. ty wiesz ojeze, kto? Zatrzeslam listkami i kro-

L i s t.

Razem ze żółkłymi, opadłymi liśćmi wiatr jesienny niósł go po drodze. Podniosłam ten kawałek papieru pomięty, widocznie deszczem nieraz już skropiony, smutny tem porzuceniem swoim, tem wydaniem na pastwę wichrów i szarug grudniowych.

Kartka była niewielka, ale drobnem pismem gęsto zapisana i przemówiła do mnie tak jakos smutno i dziwnie, że po latach zapomnieć jej nie mogę. Wyraz każdy utkwił mi w pamięci.

«Odleciałam od was i dobrowolnie prawie, odleciałam jak ptak młody od gniazda — pisała ręka kobieca — ale Janku ty jeden rozumiesz, żem zrobić inaczej nie mogła. Nie mogłam być tobie i matce ciężarem. Tak się już stać musiało. Nie żałuję, pamiętaj o tem, nie żałuję niczego.

»Wspomnienia dzieciństwa tłumem wielkim obległy mnie dokola.

«Pamiętasz, Janku, nasz dom stary i ten

mały, jasny pokoik na górze? Pamiętasz, jak kiedyś zastałeś mnie tam płaczącą i póty tuliłeś i pocieszałeś, aż się uspokoiłam i śmiać zaczęłam? I teraz, ile razy płakać mi się chce, to wyobrażam sobie, że ty stoisz przy mnie i pieścisz, i w oczy mi patrzysz takim pocziwym, takim serdecznym wyrazem, i już płakać nie mogę, chyba znów za tobą, bo widzisz czasem strasznie tęskno mi do was.

«A pamiętasz ten trawnik, te topole i lasek nasz, pamiętasz? W tym lesie echo powtarzało nasze śmiechy. Ja wszystko, wszystko, jakby dziś pamiętam, każdą ścieżkę w ogrodzie, każdą różę dziką i jabłonie i krzaki kaliny i gniazdka, które słowiki w nich ślały. Pamiętasz, młody słowiczek usiadł mi kiedyś na głowie, i nawet sfrunąć nie chciał. A teraz to wszystko tak daleko, daleko... i te kaliny, te róże i te pola szerokie, wszystko nie nasze. Ach, żebyś ty wiedział, jak to okropnie pomyśleć, że tego wszystkiego już się nie zobaczy nigdy!

«Braciszku mój, ty się zadziwisz: moje listy były dotąd wesole, a ten taki smutny. Tobie ciężko i źle, wiem, wiem dobrze, choć tyś mi o tem nie donosił nigdy. Nie chciałabym zasmucać ciebie, ale jedną rzecz powiedzieć ci muszę. Tylko nie myśl, że to przesada albo urojenie, nie, to prawda zupełna, szczerą: Ja żyć nie będę.

«Zapytasz, co mi jest, czym chora? Nie, mnie nie nie jest, tylko dusza wyrывa się ze mnie i leci do was i do tego domu i do tych pól szerokich. Mnie nie nie boli, sił mi tylko brak coraz bardziej. Dopóki ty byłeś ze mną, dziwną moc czerpałem z ciebie, z twego spojrzenia, z twego słowa, z twego uścisku. Nie mów, że to niedorzeczność, to tak było, Janku. I teraz zdaje mi się, że gdybym mogła ciebie i mamę uścisnąć, i u was cały płacz mój wyplakać, i ten ogród i te topole zobaczyć, to zaraz byłabym zdrowa, i żyć mogłabym jeszcze.

«Ale już zapóźno. Długo myślałam, że się przezwycięzę, że w sobie tę dziką tęsknotę zabiję. Nie i nie. Potrzeba było raz napisać wreszcie, bo potem doniósłby wam kto obcy, a to byłoby gorzej jeszcze. Trzeba było napisać i pożegnać was przecie.

«Pragnęłabym, żebyś też zawczasu przygotował mamę. Gdy ten list do was dojdzie, mnie już nie będzie. Zrób tak, Janku, żeby ona nie bardzo płakała. Powiedz jej... ha, czy ja wiem, co jej masz powiedzieć? Sam to sobie obmyślisz, mój ty najlepszy.

«Posyłam ci pieniądze — ostatnie, już nie zarobię więcej. Kup za nie dla mamy suknię ciepłą. Niech biedna nie marznie w zimie.

«A teraz, wiesz, czego mi najbardziej, najbardziej żał?

«Oto, że ciebie nie zobaczę już Janku. Ramiona moje zarzucam ci na szyję i czoło twoje czyste i oczy twoje smutne całuję.

«Już ostatni raz. Ostatni raz nawet piszę do ciebie. Braciszku mój!

«Ja ciebie tak bardzo, tak z całej duszy Kocham.

»Przebacz mi, że cię zasmucam i czasem...»

Reszta była urwana, ani podpisu, ani nazwiska, koniec na tem.

I co zrobić z tą obcą kartką papieru?

Rzuciłam ją napowrót między liście opadłe.

Porwał ją wiatr, zakręcił w powietrzu jakimś dzikim, rozpaczliwym wirem i poniósł daleko, na pola puste.

Leć mój listku, leć razem z liśćmi drzew. Niechże ten wicher nietylko nad nimi płacze, niechże on pustym polom i twoją skargą żalowaną się rozjęczy.

Echo starej sagi.

PROLOG.

W Walhali.

Walkyrya pierwsza.

Rozjaśnił czoło Walhali pan,
Spłyneły kry lodowych mórz,
Zabłysło słońce. W obłoczny tan
Lećmy siostrzyce! Wiosna już!

Walkyrya druga.

Z lodowych gór, z urwistych skal
Zrywa się orłów drapieżny ród,
Piers mu już szarpie bojowy szal,
Leci po sławę, po śmierć, po trud.

Walkyrya pierwsza.

Śmierć bohaterów miłą jest Bogu,
Srogiemu Bogu północnych ras.
Hej w dal siostrzyce! Z Walhali progę
Nasz rumak—wicher poniesie nas.

Chór walkyryi ulatujących.

W tan, po obłokach! Nad mórz wodami
Niesie nas wicher szalonym tchem...
Wyżej! Hej wyżej! Nad obłokami
Jest szlak miesięczny. Popłyniem nim.

Na morzu.

Z pluskiem wiosel, z okrzykiem gromkim,
jak grzmot wiosenny, łodzie normandzkie wy-
biegły na morze. Bez żagla pędzą — cóż po
żaglu ludziom północy? Ramion z żelaza Skan-
dynawii nie brak! Rytmicznie zginają się i pro-
stują gibkie ciała; wicher poranku chłodzi
barki olbrzymie, stalowe ramiona wojennych
meźów.

Jeszcze jeden okrzyk — dziki jak wilków
wycie.. skały Skandynawii giną we mgłach...
ponad łodziami z wrzaskiem mew lecą stada...
wód obszary dokoła.

Hej, w dal, do krajów słońca, do baśni cza-
rownych krajów! w dal, drogą łabędzi!

Słońce błysnęło z poza chmur, tysiącem
iskier ognistych padło na olbrzymy lodowe. Bły-
szczące góry kołyszą się na błękitnej fali, chmu-
rek białych tumany przelatują po niebie, wicher
zimny smaga dzikie twarze, wpołnagie piersi
wojowników.

Wyteżają się ramiona, zginają i prostują
gibkie ciała. Już olbrzymy lodowe pozostały za
nimi. W dal, w dal, na walk krwawe pola!

Wiedzie ich stary wilk, król morza, Ragnar
jednooki. Przed imieniem jego drżą białe skały
Brytanii, drżą siola Franków, drżą mdłe Sło-
wian plemiona. Sława królów morza daleko, da-
leko, krwawym leci szlakiem.

Od południowej strony, kraju jakiegoś ry-
sują się wybrzeża. Normandowie nie zбочą
tam. Już wybrzeża nikną we mgle. Dalej, hej
dalej!

Zachodzą nad nimi słońca, noce kładą się
czarnym cieniem, nowe rozpalają zorze, oni
płyną wciąż przed siebie, w dal. Coraz ciepłej-
sze wichry od lądu niosą nozdrzom ich nieznane
wonie, szafiry mórz i nieba ciemnieją coraz.
Kraj słońca już niedaleko...

Noc rozpostarła się nad oceanów przestwo-
rem, cicha, gwiazdzista, posrebrzona promieniami
miesiąca. W ciszy pluskają miarowo wiosła. Na
pierwszej łodzi Ragnar sam trzyma ster.

Mężowie u wiosel rozognionym wzrokiem pa-
trzą przed siebie. Inni w śnie pogrążeni głębo-
kim, śnią boje, krew, dym i śmierć. Dwóch czu-
wa: skald, Olaf stary i Harald jasnowłosey. Mło-
dzieniec pierwszy raz na wyprawę wyruszył
wojenną. Wzrostem jeden Ragnar mu dorówna,
siłą nie mierzyć się z nim żadnemu. Jasne

włosy spadają mu na białą szyję, na rozłożyste ramiona. W wielkich błękitnych oczach skrzy się ciekawość młodzieńcza i pragnienie walki. Piękny jest, jak młody bóg, nieustraszony, jak dziecko.

Skald ponury powieść mruczy o bogach, Harald słucha.

Nagle starzec milknie, i w ciemne szafiry nieba wpija ślepe, mgłą zasnutę oczy, jakby tam czary ujrzał i dziwy. Twarz starca żar rozpromienia, z ust jego pieśń się dobywa.

Lecą orlice — mówi skald, podnosząc ramię ku górze, a głos jego potężnieje wraz:

Lecą orlice, walkyrye lecą,
Złotym puklerzem w oczy wam świecą,
W wojenny grają róg.

Na śmierć wikingi! — orlice kracza
Śmierć bohaterów bogi obaczą!
Odyn bohaterów bóg!

Krwi bohaterskiej strumień bogaty
Wiosenne rodzi w Walhali kwiaty,
Hej, hej wikingi w bój!

W walk dzikie wrzaski, gdzie strzał poświsty,
Gdzie szczęki mieczów! W wicher ognisty!
Hej, hej wikingi w bój!

Pieśń starca szaleje w ciszy nocnej, wzbiera wściekłością, brzmi wilków północnych wyciem, lecz potężniej, straszniej szaleje w duszy mło-

dzieńca. Harald widzi, jak tam hen, na wyżynach, księżycowym szlakiem pędzi dziewic zbrojnych wojsko całe. Skrzydlate ich rumaki roztrącają białą pianę obłoków, pył gwiazdzisty z pod kopyt ich bucha. Szalonym pędem mkną dziewice Odyna.

Wtem jedna z nich odrywa się od chóru i po promieniu miesiąca spływa w dół... Złota jej dzida i tarcza złota zielonawym mienią się blaskiem.

On patrzy — oczy dziewicy płoną jak dwa słońca... coraz bliżej, coraz bliżej mknie... przysłonił oczy.

Skald położył mu rękę na ramieniu.

— Tyś wieszczek, ty powiedz, jak do niej... — rzekł glucho.

— Do niej, synu — tylko przez śmierć!

Miarowo pluskają wiosła, cisza dokoła, wiatr gorące niesie podmuchy.

W kraju słońca.

Wilków drapieżnych stado wdarło się w winnice i gaje oliwne. Człowiek północy lekką stopą przebiegał lasy pomarańczowe, góry bluszczem i różami spowite. Czasem z cyprysów cienia wyjrzała nań przecudna twarz marmurowego

boga, wystrzelił w górę białej kolumny szczątek, czasem ze złotego krzyża padło na duszę barbarzyńcy dziwne, smutne i przenikliwe wejście.

Wybrzeża były puste, bezludne. Mieszkańcy na dźwięk normandzkiego rogu rzucali chaty swoje, i kryli się w głębi kraju za mury miast warownych. Normand chciwszy krwi, niż łupu, szalał z niecierpliwości. Gorące promienie słońca paliły ciała nawykłe do chłodu, krew wprawiała w żywszy wir.

Wonie południowych krain jak wino upajały zmysły barbarzyńców. Więc rozdymały się nozdrza, płonęły oczy, mięśnie naprężyły do czynu, nerw każdy wołał: boju!

Boju potrzeba było synom północy.

Więc darli się w głąb kraju po zgłiszczach spalonych siól, po gruzach splądrowanych kościołów. Szli, jak idzie burza.

Lud tchórzliwy, słaby, ustępował przed nimi. Kto uciec nie zdołał, padał pod krótkim mieczem Normanda. Zapach krwi zaczynał nareszcie mieszać się ze słodką wonią pomarańczowego kwiecica, fijołków i róż. Gorączka boju ogarniała wojowników.

Przez otwarte niebacznie bramy miasta wdarli się niespodziewanie ze wschodem zorzy i skąpali w potokach krwi, oczy blasków spragnione nasycili widokiem bogactw, złota i barw.

Ale to nie był bój. Mężowie południa marli, jak niewiasty, w ucieczce, nie stawiając oporu.

Więc przy biesiadzie zasiadłszy i słodkim płynem winnej jagody wznosząc puhar na cześć Odyna, widzieli Wikingi, że żaden z pośród nich nie ubył, że żadnego cień z kałuży krwi własnej i wroga nie powstał, i nie pospieszył do Walhali jasnych bram.

Czemuż więc na śmierć wołały ich zbrojne dziewice puklerza?

Po uczcie sen zdjął wojowników. Cichym szumem kołysał ich gaj oliwny; powiew łagodny, miękki, wonny muskał uznojone czoła.

Haralda dłonie silnym męskim uściskiem ujęła we śnie walkyrya, ramionami ogarnęła postać jego, i niosła przed oblicze Odyna.

Nie walkyryi był to uścisk.

W cieniach nocy, jak gady przypelzli ludzie południa. Nad każdym z pogrążonych w śnie kamiennym mężów pochyliło się kilka drżących z bojaźni postaci, i odebrawszy mu miecz i tarczę, na ręce jego i nogi nałożyło żelazne okowy. Wilków złapano w żelaza.

Rankiem w całym kraju zahuczały dzwony na radość oliwnym gajom, Wikingom na śmierć.

W ogrodach donny Katarzyny, o zachodzie słońca tłum zebrał się mnogi, by strasznych królów morza oglądać. Wywiedziono ich z lochów, i prowadzono na łańcuchach przed tron

księżnej. Hardo, wesoło, szli mężowie północy, z pogardą patrząc na znikczemniały tłum, a gdy stanęli przed donny Katarzyny obliczem, powitali ją okrzykiem, od którego zadrżały ukryte w zwojach bluszczu marmurowe szczątki posągów, a ludziom krew ścięła się w żyłach, bo zdało im się, że te lwy ryczące za chwilę zerwą kajdany. Donna Katarzyna siedziała niewzruszona, ponury płomień palił się w jej czarnej źrenicy. Już podniosła rękę, by skinąć na kata, który z gołym mieczem stał obok jej tronu, gdy nagle spojrzenie jej padło na Haralda. Jasnowłosy olbrzym tuż przy niej, z uśmiechem dziecka patrzył na błyszczące żelazo mistrza Tolomeo.

Łuna przebiegła po obliczu księżnej, dreszcz zimny przeszedł ją od stóp do głów. Siłą płomiennego spojrzenia zmusiła go, by zwrócił na nią wzrok. Oczy Wikinga miały zimny, stalowy blask. Ten chłód ją podrażnił, południowa krew zawrzała burzą!

«Śmierć na jutro odłożyć» — szepnęła i Normandów wyprowadzono, pomimo, że lud widoku krwi nieprzyjacielskiej chciwy, sarkał i burzył się.

Słodki, nigdy nie słyszany dźwięk luteń zbudził w nocy Haralda. Loch jego zalewało jakieś nikle, błękitnawe światelko. Młody wojownik zapytywał już siebie, czy Walhali słyszy

pieśni, gdy uczuł, że szyję jego obejmuje pieściwie, miękkie, ciepłe ramię, że do piersi jego ciśnie się rozkoszna postać kobiety.

Przy słabem świetelku poznał dumną twarz, gorejące ogniem oczy i purpurowe usta donny Katarzyny.

Okowy nie ciążyły już na rękach jego i nogach, więc całą siłą wolnego ramienia odepchnął ją precz od siebie. Stała niepewna, jakby nieprzepartym urokiem tej młodości silnej nęcąca, wyciągnęła ręce ku niemu. «Dam ci życie, tron, miłość» szeptały piękne jej usta śpiewną mową południa, a lutnie grały wciąż pieśń miękką, odurzającą, jak czar. Haraldowi zaćmiło się w oczach. Tam na północy on widział kiedyś zbrojnych dziewic hufce powietrzne, tam czeka nań, w krainie śmierci walkyryja jego! On śmierci chce, więc po raz drugi odtrąca od siebie miękkie, białe ramiona i usta szukające ust jego. Śmierci!

Lutnie ucichły, zagasły światła.

Nazajutrz nienapróżno mistrz Tolomeo ostrzył długi swój miecz. Wikingi idą na śmierć. Harald — pierwszy. Stąpają z taką dumą i powagą, jaka przystoi tym, którzy za chwilę u stołu Odyna zasiądą. Harald stanął przed obliczem dumnej pani wesoly, śmiały, piękny — skinęła, kat zbliżył się ku niemu. On potrząsnął złotych włosów grzywą; w tył odchylił głowę

i piękną szyję młodzieńczą pod miecz kata nadstawił. Cios był mistrzowski. Strumień krwi młodej trysnął w górę, i opadł kroplami na białą szatę donny Katarzyny. Głowa Haralda stończyła się do jej stóp.

I tak samo umierali inni mężowie Skandy-nawii, ale ona patrzyła tylko na koralowy strumień krwi Haralda.

Na żalniku starym.

Von Revitzky znakomitym był gospodarzem. Eulenheim, dziedziczne dobra jego na Pomorzu, sływały porządkiem wzorowym, doskonałością uprawy, umiejętnem zastosowaniem wszelkich nowych pomysłów agronomicznych. Każda piędź ziemi, każdy skrawek jej był zużytkowany w sposób najodpowiedniejszy naturze gruntu. Nic tam nie szło na marne. Oszczędność, praca, systematyczność, niby trzy bóstwa opiekuńcze czuwały nad tym warsztatem rolnym, nie schodząc ani na chwilę ze swego stanowiska.

A jednak von Revitzky doznawał niekiedy czegoś w rodzaju wyrzutów sumienia — wstydział się przed samym sobą. Oto pod pięknym, sosnowym lasem, utrzymanym wzorowo, sterczały trzy niewielkie piaszczyste wzgórza. Z rzadka porastały one suchą trawą, gdziegdzie widać było złotą, wysmukłą dziewannę, dołem puściły się drobne, różowe kwiatuszki. To był nieużytek, piasek zwiewny, z którym wal-

czyć trudno, ale przecież pokonać go raz należy.

I pewnego jesiennego poranku pięciu robotników z lopatami w ręku stanęło przy pracy. Pod kierunkiem Haasego, rządcy, robota szła sprawnie. Dziedzic kazał wzgórze zrównać i przygotował nawozy, którymi użyźnić chciał jałowe piaski nieużytków. Tak zniknąć miała ta plama na idealnym gospodarstwie eulenheimskim, i kawałek ten ziemi miał wkrótce zacząć przynosić dochody. Bo czegoż nie osiągnie praca, wytrwałość i rozum?!

Robota postąpiła już dość daleko, gdy von Revitzky nadjechał konno.

— Za mało ludzi, panie Haase, każ pan przyjść pięciu jeszcze. Chciałbym z tem skończyć jak najprędzej.

I pogalopował dalej.

Zwiększony kontyngens robotników bódl ziemię lopatami, aż skrzypiał ostry zwir. Nagle jeden z nich przerwał pracę.

— Co tam oglądasz, Hans? — spytał rządcą.

Robotnik podał mu kawałek żelaza szczególnego kształtu — zaostrzony z jednej strony wyglądał niby grot, niby ułamek dzidy.

Haase popatrzył i obojętnie rzucił na ziemię.

Rozwalono już całą kopulę pierwszego pagórka, gdy któremuś z robotników szczęknęła glucho lopata o jakiś twardy przedmiot, ukryty

w ziemi. Uderzył silniej i skruszył go, ale robota w tem miejscu nie szła. Raz po raz trafiał na coś, co mu stawiało opór.

— Co tam jest, Franz?

— Skorupy jakieś — odparł robotnik.

I wydobył kawał wypalanej gliny.

— I tutaj coś zawadza — zawołał w tej chwili drugi.

— Kop ostrożnie, nie rozbijaj, zobaczymy, co to jest.

Po kilku minutach robotnicy wydobyli z ziemi spore naczynie, niezgrabnie ulepione z gliny. Gdy podniesiono pokrywę, ukazał się popiół mialki, białawy.

Rządca kazał odstawić na bok osobliwą tę zdobycz i nadal kopać ostrożnie. Już pięć podobnych mniejszych i większych urn stało obok tamtej, gdy na zakręcie ukazał się znów dziedzie na koniu.

Zobaczywszy wykopaliska, zeskoczył z siodła.

— Cóżście to wydobyli z tych piasków przekłetych?

— Nie wiem, garnki jakieś z popiołem — odparł rządca, który poza specjalnością swoją niewiele z rzeczy świata tego rozumiał.

Von Revitzky przypatrywał im się z uwagą.

— Chcesz pan wiedzieć, co to jest? — spytał wreszcie. — Rozkopujemy cmentarzysko stare.

Poganie przechowywali w ten sposób szczątki swoich umarłych.

Rządca zrobił minę zdziwioną.

— Poganie? — rzekł z akcentem zapytania.

— Tak, widzisz pan, całą tę krainę, od Odry po Elbę zamieszkiwali niegdyś dzicy Słowianie. To są ich groby.

— Co pan każe zrobić z tymi garnkami? — podszedł w tej chwili jeden z robotników z zapytaniem.

— Rzućcie je do licha! a popiół rozsypcie po polu, użyźni nam grunt.

Robotnicy zabierali się do spełniania rozkazu, gdy Haase zwrócił się do dziedzica:

— Ale jeśli to cmentarz, to są popioły ludzkie... — powiedział jakimś wahającym głosem.

— Ach, Haase, pan jednak jesteś śmiesznie przesądny. Ludzki, czy nie ludzki, popiół jest zawsze dobrym nawozem.

I wsiadłszy na konia, odjechał.

Robotnicy schodzili już z pola. Zmierzch zapadał jesienny, cichy, szary... Prochy Lutyków witaly powietrze ojczyście. I nie widzieli Niemcy, bo człowiek prawie nigdy nie widzi tych cudów, które dzieją się dokoła niego, jak nad tą ziemią posypaną popiołami zmarłych poczęły

powoli, niby tumany mroku tworzyć się szare, nikle cienie i wić ku górze i odrywać od ziemi, i wiejąc przejrzystych, szarych skrzydeł chmurą, ulatywać w dal...

I nie słyszeli, że od tego żalnika starego podniósł się wicher płaczu i zakolysał wierzchołkami sosen i poszedł w świat.

Von Revitzky z apetytem zjadł kolację, zapił ogromnym kuflem piwa — pogładził żonę po twarzy, i po konferencji z rządcą, znużony całodzienną pracą, rzucił się na posłanie. Ani przy wieczerzy, ani potem nie było mowy o wykopaliskach, o starych w mogilnem wzgórzu zapomnianych od wieków urnach i z popiołami jakichś ludzi, dawno, dawno pomarłych. A jednak sen przyniósł mu o nich wspomnienie z początku niejasne, potem dziwne, aż groźne prawie.

Wydawało mu się, że idzie ku tym wzgórzom, nie wiedział po co, w jakim celu, ale czuł, że musi tam iść — że inaczej być nie może. I dziwiła go ta okoliczność i pragnął wytłómaczyć ją sobie.

— Aha — myślał — idę, bo trzeba raz skończyć z tą wydumą, która szpeci wzorowe gospodarstwo Eulenheimu.

Ale potem drgnął nagle.

Obejrzał się dokoła. Wszystko nie tak, jak zazwyczaj, jak za jego czasów.

Odra nie ujęta tamami, z szumem toczy swoje wody — kołyszą się poważnie czarne puszcze — dziko dokoła... chłód wieje...

Von Revitzky zatrząsł się całym ciałem. Zrozumiał, że zaszedł w dziwne kraje, że w dalekie zaszedł czasy... Tam, po tych puszczech siedzą w drewnianych chatach dzikie jakieś ludyszcza, jakieś srogie Lutyki i Wilki drapieżne, Weletaby starych kronik...

Szumia rzeki, kołyszą się bory... w dali słychać tętent... to koń Światowida słowiańską obiega ziemię...

Zrobiło mu się tak straszno, jak kiedyś, gdy dzieckiem będąc, dotknął przypadkiem ręki trupa. Ale musiał iść dalej, aż doszedł do tego miejsca, gdzie był stary żalnik zapomniany. Pagórków nie widać — jeno uroczysko jakieś, a na niem liczny gromadzi się wiec. Wyszły z lasów ludy stare i bogi stare przyszły na radę — hej, hej, jakież to dziwo — dawny wstał świat, umarłe wstały wieki i radzą... Idzie ku nim Niemiec, ale drżą pod nim nogi — aż do białego doszedł kamienia, na którym starzec siedział długobrody. Z dębowych liści miał wieniec, laskę wysoką w rękę. Obok niego w ziemi tkwił miecz obosieczny. Wstał, olbrzymią się wyprostował postacią, że był niby smerek w boru

śmigły — i rzekł, wpiwszy źrenice błyszczące w twarz Niemca: Żyję!

Ale Revitzky oprzytomniał; już przeszła mu twoga i śmiejąc się całym sercem, rzekł szydreczo:

— A jakoż ty żyjesz, trupie! Rozsiałem popioły twoje po mojem polu, by były mierzwą dla przyszłych plonów.

Ale starzec mówił z cicha, jak gdyby na gęśli grał...

— Rozsiałeś popioły moje i wzejdą plonem na polach...

A Niemiec poczuwszy jakąś groźbę w tych wyrazach, podniósł w górę miecz i ciał nim starca przez pól. Miecz przeszedł, ale starzec stał przed nim jak wpierw w białej szacie swojej i dębowym wieńcu.

Teraz von Revitzky zląkł się znowu, strach rzucił nim o ziemię i trząśł... slyszal ciche granie gęśli i głos:

— Rozsiałeś popioły moje, a z popiołów wstały ciche ptaki, myśli i w powietrzu wirują ojczystem...

I potężnym głosem rzekł mu raz jeszcze: Żyję!

Gdy von Revitzky obudził się nad rankiem, głowę miał ciężką i sztywność w członkach

wszystkich, ale snu nie pamiętał wcale. Dopiero pod wieczór przypomniał go sobie, a przypomniawszy machnął ręką z uśmiechem.

— Za wiele piwa na noc — pomyślał. — Trzeba zmniejszyć dozę.

Ale w parę miesięcy później sen ożył w jego pamięci.

Czytał właśnie dziedzic Eulenheimu codzienny ulubiony swój dziennik, gdy wpadło mu w oczy nazwisko: Revitzky. Wczytywać jął się uważnie — i krew nabiegała mu do twarzy, a czoło marszczyło się groźnie.

Wreszcie z całych sił uderzył pięścią w stół. Na hałas ten wbiegła żona zaniepokojona.

— Co ci jest, skarbie?

— Patrz, co ten łotr wyrabia.

I podał jej gazetę.

Von Revitzky miał syna z pierwszego małżeństwa. Ożenił się był z Polką, która po roku umarła, ale z chłopcem jej nie mógł dać sobie rady. Oto i teraz uwikłany w głupi jakiś proces młodzieży polskiej — jego syn!

— Wyprę się lajdaka, wydziedziczę!

Potem pochylił głowę i przypomniały mu się owe popioły, z których wstaje życie i tajemnicze ptaki-myśli krążące w powietrzu.

W bój.

Ze wspomnień lekarza.

— Panu jednemu pokażę, ale... nie będzie się pan śmiał ze mnie?

Szczupła ręka drżała mu, gdy sięgnął po tekę i zaczął wydobywać z niej szkice. Przerzucił z nich kilkanaście, wreszcie wybrał jeden, zawahał się jeszcze, blady rumieniec wystąpił mu na twarz... po chwili podał mi karton. Spojrzałem. Co za bogactwo fantazyi? Co za dziwaactwa? W obłokach, w tumanach mgły toczy się bój... walczą jakieś istoty powietrzne z potworami o bajecznych kształtach, o ciałach lwich i ludzkich obliczach... tam tors ludzki a dziób ptasi, głowa węża, rybie luski, smocze oczy ogniem ziejące... chaos; wszystko się kłębi, szaleje, bucha złością... z drugiej strony też pęd wichury... lecą widma rozszalałe o rozwianym włosie, szatach rozwianych, o oczach roztwartych, płonących gorączką walki. Jakiś świat nieziemski, jakaś wizya szaleńcza, ogromna...

Z tych widm jedno ma jego twarz... patrzę w nią długo. Jaki dziwny wyraz i jak wiele wyrazu! Ta twarz żyje jakimś dziesięć, dwadzieścia razy spotęgowanem życiem. Ani śladu chorobliwości; przetworzyła ją, przeinaczyła namiętność i jakaś pełnia rozradowania, zachwytu.

Spojrzałem na niego; wydało mi się, że zapomniał o mojej obecności; w tej chwili miał w twarzy coś z wyrazu tamtego — zapałany był w dal — może przed oczyma majaczyły mu znowu pierwsze zarysy jakiejś wizji...

Dotknąłem ręką teki, zaciekawiony pierwszym obrazkiem. Ruch ten zbudził go z zadumy. Zrobił w pierwszej chwili gest, jakby chciał wzbronić mi wejrzenia w swoje skarby, ale potem machnął ręką i sam podsunął mi tekę.

— Widział pan już... — rzekł cichym bezdźwięcznym głosem; snać do pierwszego obrazka największą przywiązywał wagę.

Zacząłem przeglądać tekę. Wszędzie ten sam motyw: bój.

Byłoby coś maniackiego w tem, gdyby rzeczy te nie były prawdziwie pięknie i gdyby nie bogactwo pomysłów. A na każdym obrazku on — on sam. To w zbroi średniowiecznego rycerza, z podniesionym do góry mieczem olbrzymim, z oczyma rozegzaltowanemi jak w modlitwie, leci na mury Hieruzalem — to w lesie,

kędyś z bagnetem w ręku pochylony, dziki, z nienawiścią na twarzy — zęby mu błyskają — straszny! Gdzieindziej znowu — młodzieńczo-piękny, z włosom w puklach spadającym na ramiona, usta rozchylone, znać ulatuje z nich pieśń — pieśń wielka z ust wszystkich w niebo rwie...

Patrzył wraz ze mną i śledził z uwagą wrażenia odbijające się na mojej twarzy. Oglądałem właśnie jeden z najoryginalniejszych jego rysunków: bitwa na morzu, na łodziach — wpólnagie postacie... zapewne jacyś Normanowie, jacyś wymarzeni rozbójnicy morscy, o kolosalnych ciałach, spreżystych, potężnych muskulach. Wady rysunku widoczne, ale jest w tem siła. Między tymi królami morza znów on a raczej głowa jego osadzona na ciele jakiegoś przedhistorycznego Herkulesa... uśmiechnąłem się mimowoli, przypomniawszy sobie wątłą jego budowę. On ten uśmiech pochwyił, zrozumiał wiadać i zawstydzil się — biedak! upokarzały go wązkie barki, zapadła klatka piersiowa, młode, a uwiędle ciało. Sprawilo mi to przykrość. Żeby zatrzeć nieprzyjemne wrażenie, zacząłem przypatrywać się niby bardzo uważnie powietrznej postaci walkiryi, unoszącej się obok niego i podniecającej spojrzeniem i gestem do walki. Wkrótce ta postać pochłoneła rzeczywiście całą moją uwagę. Rysunek jej był dziwnie piękny, udała

mu się; a twarz! doprawdy takiej nigdy nie widziałem twarzy, ja co zwiedziłem wszystkie sławne galerye Europy. Skąd on ją wziął u licha? Przy piękności, przy wdzięku bobiecym, tyle bojowego szału, bojowego napięcia... jakaś archanielica bitew!

— Czyś widział kiedy twarz taką żywą? — spytałem i wydało mi się w tej samej chwili, że zupełnie niepotrzebnie zadałem mu to pytanie.

— Widziałem — odparł cicho, i głowa opadła mu na poręcz fotelu.

Spojrzałem nań po doktorsku już. Błady był bardzo i zagryzał wargi. Widocznie sprawiłem mu ból dotkliwy. Cóż za rolę w życiu tego dziecka odegrać mogła taka kobieta? — myślałem, a ciekawość psychologa brała już we mnie górę nad przezornością lekarza. Miałem wielką ochotę wybadać go, gdy ku zdumieniu mojemu, zaczął mówić sam.

— To moja matka. Umarła... miałem lat kilka...

Ach, więc nie myliłem się, uważając go za dziecko, którego marzeń czystych i smutnych nie zmąciła jeszcze nigdy myśl o kobiecie. Dziwna dusza! Z tych jego robót jaki powiał na mnie szczególny wiew!

Po chwili spojrzałem nań znowu: oczy miał zamknięte, na policzkach dwie czerwone plamy. Zasnął widać i może śnił... bój. Dotknąłem jego

ręki: sucha była i gorąca. Cicho przeszedłem do drugiego pokoju. Niechaj śni nędzarz. Mieć za sobą dziewiętnaście lat życia, przed sobą kilka miesięcy i ten we krwi szal!... Przeznaczenie miewa okrutne igraszki. Cóż za dziedziczność tajemnicza wiodła tak uporczywie wyobraźnię tego biednego suchotnika na pola bitew?...

Przed pół rokiem oddano go pod moją opiekę; doświadczenie, wiedza wskazywały, że dla niego niema ratunku, a jednak, stary lekarz, ludziłem się, chciałem się ludzić co do tego jedyne go wypadku. Pociągnął mnie ten chłopak ku sobie szczególnym urokiem... była w nim dziwna dziewiczność duszy; w części przynajmniej zawdzięczał ją zapewne swojej chorobie. Ona chroniła go od zetknięcia ze światem, od zanurzenia się w brudzie — ona trzymała w uspieniu jego zmysły. Dziś odsłonił się przede mną nieznanym duszy tej zakątek; jak w księdze przeczytałem w niej nową kartę zajmującą i piękną.

Osierocony, samotny, chory, rzucony między cudzoziemców, zwracał na siebie uwagę całego sanatorium, nie dlatego, że młody był i skazany na śmierć przedwczesną — takich dużo przesunęło się przed nami — ale szczególną pogodą i słodyczą usposobienia, tem marzycielstwem, które promieniało mu z oczu zgorączkowanych, z jasnego czoła.

— Co pan myśli o tem? — pytał mnie w kilka dni później, wskazując na tekę.

— Myślę, moje dziecko, że masz duży talent i że jak tylko zdrowie twoje się poprawi, powinienes zabrać się poważnie do studyów, tymczasem jednak radzę ci unikać wysiłku i tego zdenerwowania i wyczerpania, jakie daje wszelka praca twórcza. Teraz przedewszystkiem musisz starać się o zdrowie.

Gadałem mu rzeczy banalne, w które nie wierzyłem sam, i których on nie słuchał nawet. Po chwili machnął ręką tym właściwym sobie gestem.

— Eh, doktorze, ja nie o to pytam. Ja nie chcę malować, ja chciałbym tak żyć.

Oko zapłonęło mu zdrowiem, siłą. Wstał, wyprostował się.

— Tak żyć! — powtórzył. — Całą pełnią sił, całą mocą duszy i ciała! Pędzić w bój, lecieć, śpiewać, płonąć, jak rozżarzona pochodnia, światło ducha rozpaścić w sobie do najwyższego natężenia, do najwyższej mocy. Czy pojmujesz to doktorze? Dokoła huk, wrzaski, dym, pył kurzawy, a ty czujesz, jak w tobie każda arterya pulsuje, każda krwi kropla osobnem, potężnem żyje życiem — wszystko, co kocham, wszystko czego nienawidzę w tej chwili mam w sobie, mam w piersi potężne, żywe; jestem cały lawą, wybuchem, iskrą jestem, co leci i pali... nie ja

miecz podnoszę, ja sam jestem mieczem, ja jestem ostrzem bagnetu, co w pierś się wbija... ach, doktorze, takiej chwili, takiej chwili jednej!...

Ślaniał się, pobladł, oczy mu zaszły mgłą. Podbiegłem, bo zdawało mi się, że upaść może. Posadziłem go na fotelu.

— Szalony jesteś — mówiłem z gniewem — dajesz się unosić marzeniom, egzaltujesz...

I tym razem nie słuchał mnie; rękę podniósł do piersi, zakaszlał: krew buchnęła mu z ust, ta młoda, bohaterska krew, co wrzała w schorowanym ciele, i spalała je gorączkową żądzą, gorączkowymi sny.

Było z nim coraz gorzej, gorączkował, tracił na wadze — i wiedział, że umiera. Miał pod tym względem pogląd zupełnie jasny i spokojny. Nie przechodził od złudzeń i nadziei do rozpacz, jak większość chorych.

Ilekcję jednak czuł się trochę silniejszym, brał ołówek w rękę i rysował — rysował zawzięcie. Nie mówił już ani ze mną, ani z nikim o swoich marzeniach, ale widać potrzebował dla nich jakiejś szaty, jakiegoś uzewnętrznienia.

Kiedys zastałem go przy pracy. Dzień był ładny — myślałem, że leży na werendzie. Nie, on schylony nad kartonem zawzięcie wykończył swój rysunek.

Spojrzałem. Koń i on, dwa widma mkną

w dal, a oczy im płoną, a rozpęd w nich
wściekły.

Położył olówek — wstał.

— Tak, doktorze, lecieć będę po śmierci...
przez puste błonia, przez smutne roztocze, tak
lecieć będę... w bój...

Uściskał moją rękę.

— No, życz mi szczęścia na tę drogę!

Spojrzałem mu w oczy; obawy zgonu w nich
nie było... ale coś dziwnego... była w tych oczach
pieśń!

— Życzę ci szczęścia, dziecko!

.

Jak on umierał! Jak on się z początku z tą
śmiercią bił, a potem ucichł i zasnął marząc...

Leży przedemną jego teka, jedyna puści-
zna duszy, co niepostrzeżona przeszła przez
świat, mignęła jak błyskawica cicha w pochmurną,
letnią noc...

Ja wierzę, że on teraz, tak jak chciał, w za-
światowe jakieś gna boje... że leci przez rozto-
cze smętne, przez szlaki samotne... że leci...

W słońcu.

Baśń.

Lecicie dziwnym ruchem złociste, jasne — niby wietrzyk was gna i na falach powietrza kołysze — niby po promieniu słonecznym to spływacie w dół, to w górę się niesiecie jak melodyi tony — coraz wyżej, wyżej i giniecie w blasku słonecznym, w żarów otchłani, w jasności złotej morzu. I znów jawicie się, znów wykwitacie, lilie słoneczne, nad błyszczącą srebrem i szafirem tonią jeziora — i bujacie w blaskach, same blaskiem będąc i skupieniem promieni... Ciała wasze, płatki bladej róży prześwietlone słońcem, oczy wasze — dyamenty, bukiety iskier rzucające wokół, włosy wasze — roztopione złoto, skrzydła — zielonawe nadwodnej ważki skrzydła... Duchy baśni słonecznej, objawwszy się ramionami, jak kochanków dwoje płasacie w morzu światłości... ptaki przejasnych powietrznych mórz, kwiaty słonecznych pól — i skądże wam to nad ziemią czarną rytmicznym kołysać

się tańcem?... W sam południowy spływacie żar — w najśnieczniejszy z słonecznych lata dni, i blaskiem szczęścia, co z czoł waszych się promieni, razicie źrenice moje... was przecie nie ziemia matka smutna zrodziła — dzieci cudu i światłości... Kto wy?

Trzcina wodna szemrze jakieś słowa, kwiaty mówią o nich swoją mową — wonią, wietrzyk powieść ich rozwiewa i płacze... ucichła toń wodna, umilkły ptaszyny i ciekawie nadstawiają główki, wietrzyk swawolnik złożył pióra swoje — i cicho — a kwiaty prawią o tych latawcach złotych baśń... i dusza słucha... a baśń jak powieść piastunki się snuje, niby słyszana niegdyś... niesłyszana...

Był król stary i zły, miał zamek wieżami strzelający w niebo, zamek kamienny, wzniesiony na skale — pod zamkiem były lochy, w których jęczeli skazańcy, a dokoła zamku, na stokach góry ciągnęły się wspaniałe ogrody, pełne kwiatów cudownych i cienistych ustroni. Po ścieżynach ogrodu przechadzała się królowa młodziutka, jak dziecko, jak kwiat cudny. Za królową chodził młodzięczyk, paż złotowłosy i nosił jej wachlarz z piór i lutnię, po której lubiła błądzić palcami, gdy oczy jej zadumane biegły w dal. Paż siadał wtedy zdala, u jej stóp,

i patrzył w przecudną twarz królowej. Oboje byli jasnowłosi i mieli oczy, jak gwiazdy, oboje drobni, dzieci jeszcze — dzieci słońca, jak o nich mówiono na dworze. I powiadały panny i panie dworskie, że królowa znienawidziła starego małżonka, odkąd razu pewnego z gniewem odrzucił jej prośbę. Przeprowadzono do zamku dziewczynę oskarżoną o czary. Kat miał ją wziąć na straszne próby. Żal się zrobiło królowej jej młodości i twarzy jej bladej, i choć ze strachem śmiertelnym w duszy padła do nóg okrutnego władcy, błagając o zmilowanie. Tarzała w prochu cudne złote włosy swoje — łzami jak perlami oblewała jego stopy. Ale on odtrącił ją nogą, a czarownicę srożej jeszcze doświadczać kazał. Od tej chwili na widok jego twarz królowej oblewała bladość śmiertelna i różane jej ciało wstrząsał dreszcz wstrętu. Widział to małżonek stary i z pod krzaczystych brwi coraz baczniejszem spojrzeniem śledził postać młodziutkiej żony.

I dojrzał raz, jak w ogrodzie pękiem zroszonych irysów musnęła twarz złotowłosego paza. W tej chwili, w okrutnej duszy jego zapadł wyrok na nich oboje. Zdjęto z nich drogocenne szaty, odziano w gruby ubiór więzienny i sprowadzono do lochów. Przy słabem świetle kagańca ujrzeli pobladłe swoje twarze... ostatni raz. Prowadzono ich długim korytarzem w coraz głębsze, coraz straszniejsze podziemia... na-

raz rozdzieliły się ich drogi. Po dwóch stronach i korytarza leżały dwie czarne sale, dwie wilgotne jaskinie. Królowę poprowadzono na lewo, pazią na prawo i silnymi łańcuchami przykuto ich do ściany. Oprawcy postawili przy każdym dzban wody i położyli chleba suchego kawałek. Potem oddalili się zwolna. Zwolna konały na ścianach podziemia ostatnie promyki światła — o skazanych otoczyły ciemności. I nie wiedzieli odtąd, kiedy zachodziła noc, kiedy wstawała jutro trzenka dzienna — nie mogli widzieć się nawzajem, ale słyszeć mogli jęki swoje, które rozlegały się glucho, długo, przeciągle po skalistych ścianach ciemnicy. Zostali sami w przerażeniu i nocy wieczystej. Raz na dobę ukazywało się blade światło kaganka — to strażnik przynosił im chleb i wodę. A potem było znów milczenie i czarność nocy — i męka. Raz wśród ciemności gluchej dobiegły królowę, niby szept oddalony, niby jęku fala najslabsza, ostatnia — słowa żalodne:

— O pani moja, ty żalujesz winy naszej, żalujesz miłości naszej nienazwanej, żalujesz ko-

chania, co było jak morze szumiące zdala, ale okiem niedojrzane jeszcze...

W odpowiedzi zabrzmiał głos jej cudny.

— Nie, paziu mój miły, muzyka tych mórz bez końca cudną była, jak dzieciństwa sny...

Paziu mój miły, słońca mi tylko żal i irysów błyszczących rosą.

Na to głucho tylko jęknął młodzieniec i szarpnął wściekle łańcuchem, ale łańcuch wpił mu się w ciało i przytrzymał przy ścianie. I nie rozmawiali już odtąd, ale myśli ich szły ku sobie poprzez ciemności, a dusze ich połączyły się silniej i bliższe były sobie, niż tam, na słonecznym świetle.

I raz po wielu, wielu godzinach ciszy rzekł paż radośnie:

— Widzę... widzę cudną twarz twoją!...

A ona odpowiedziała:

— Chciałam, byś mnie widział.

W tej chwili blada twarz królowej rozplynęła się w ciemnościach, ale cudne widzenie upoiło zboląłą duszę młodzieńca, padło na nią kroplą balsamu.

Powoli przestawali czuć zbolące ciała swoje, i ściany podziemia jakoby rozstępowały się przed wzrokiem ich dusz. Widzieli przestrzeń powietrzną, góry i lasy i morza szumiące w dali.

Raz stary król, wyszedłszy na krużganek zamkowy, czerwoną, orlą podniósł powiekę i zapatrzył się w słońca tarczę złotą. I ujrzał, że z pod niebios stropu spływają dwie postacie promienne... ciała ich — płatki bladej róży przeświecone słońcem, oczy — dyamenty, bukiety iskier rzucające wokół, włosy — roztopione

złoto, skrzydła — zielonawe nadwodnej ważki skrzydła...

I zadrzał w sobie król stary, bo przepiękne oblicza tych duchów słonecznych przypomniały mu dwie znajome dobrze twarze.

Więc ślał ludzi swoich w podziemia, by przekonali się, czy żyją jeszcze skazańcy. Oprawcy, którzy weszli do lochu, zastali ciała obojga jakby zeszytniałe i martwe, ale przecież były w nich ślady życia. Ocucono ich i powiedziano królowi, że żyją. Na tę wieść gniew wściekłą falą wezbrał w jego duszy... ale fala ta o brzegi rozbiła się bezsilna.

Oto skazał ich na życie od śmierci straszniejsze — przykuł łańcuchami, a oni... po falach powietrza płasają w świetle słonecznym, rytmicznym kołyszą się tańcem...

I ryczał król z wściekłości bezsilnej trzy dni i trzy noce, ze starej głowy rwał włos siwy i rzucił na wiatr, i straszne szeptał przekleństwa. Zabić, zamordować! — wykrzyknął wreszcie.

I poszli siepacze spełnić wolę królewską, ale znaleźli już ich ciała, jako kwiaty uwiędłe... Dusze zerwały więzy ostatnie i poniosły się w bezmiar, w krainę słońce i mórz, pieśnią wieczystą szumiących...

W krainie Elfów.

Baśń.

Wieńcem, dokoła polany stoją nagie, bezlistne brzozy, buki, dęby; w cichem powietrzu gałązki ich drżą lekkim, ledwo dostrzegalnym ruchem. Światło księżycowe bieli samotne drożyny leśne — na świetlistych szlakach cienie gałęzi układają się w fantastyczne kształty. Brzozy zwieszają ku ziemi cienkie, szronem brylantowym strojne gałązki, leciutki wietrzyk przebiega po nich, niby po harfy strunach, i śpiewak lasu gra jakąś, z najcichszych szmerów i szelestów złożoną, symfonię.

Świetlistemi ścieżynami z głębin lasu wybiegl na polanę tłum elfów maleńkich, i korowodem tanecznym, błyszczącym, tęczowym sunął po śnieżnych wzgórzach i dolinach.

Wietrzyk na gałązkach brzozy z cicha grał.

Po chwili maleńkie duchy przerwały fantastyczne płasy swoje, i rozbiegły się, by zbierać

szrony na brylantową koronę dla starego króla swego.

Tylko jeden z nich, syn królewski, nie płakał, nie biegał, lecz kołysał się smutny na gałązce płaczącej brzozy. Po jego cudnem, bladym obliczu przebiegały zadumy i uśmiechy smutne.

— O czym marzysz królewiczu? — pytały elfy, przebiegając obok niego.

— Marzę o wiosnie — odpowiedział królewicz.

— O wiosnie? Co to jest wiosna? — pytały elfy.

— Wczoraj, tam, pod krzakiem jałowcu spotkałem czarnoksiężnika z białą brodą... mówił mi, że kiedyś, kiedyś była wiosna na świecie...

Królewicz opuścił głowę pod ciężarem niedoświadczonych snów.

— Opowiedz nam o wiosnie — prosiły elfy, zbudzone do życia w posępnych dniach jesieni.

— Wiosna, to wróżka piękna, która kwiaty sypie na ziemię.

— Co to są kwiaty? — pytały dzieci jesieni.

— Nie było kwiatów za dni twoich — mówił mi czarnoksiężnik — jakże opowiem wam o nich, bracia? Widzieliście boginek liliowe twarze? — są kwiaty bielsze, niż boginek lica! widzieliście, jak w kryształach szronu światło księżycowe na barwy się łamie? — wiosna niesie kwiaty

wszystkich barw, zielonymi liśćmi okrywa nagie gałęzie drzew, w powietrzu tchnie wonie rozkoszne, niesie piękno, miłość, życie... — tak mówił mi czarnoksiężnik... ach, chciałbym pić wiosny powietrze wonne, chciałbym... i chylił królewicz oblicze blade, tęskne.

Posmutniały elfy figlarne.

— Czy wiosny nigdy już nie będzie, królewiczu? czy my nigdy nie zobaczymy wiosny? Czy kwiaty nie zakwitną nigdy?

Wskazał dłonią na śniegi i szrony.

— Kto je otrząśnie, kto ciepłym tchnieniem stopi śniegi białe? Nikt, nikt tego uczynić nie zdoła!

Rozmarzyły się duchy, rozteskniły za wiosną, za nieznaną, rozteskniły tak, jak tylko duchy tęsknić umieją.

— Wiosny, wiosny chcemy, miłości, słońca, piękna chcemy, my zbudzone do życia wśród zimy, my blade od bladych promieni miesiąca... chcemy wiosny! — wołały.

Królewicz ze smutnym uśmiechem wskazywał śniegi i lody.

Więc podniósł się elfów dziwny, rzewny płacz:

— Wiosny nigdy, już nigdy nie będzie na świecie!

I zarosłami leśnymi leciał melodyjny płacz elfów. Posłyszały go wszystkie duchy leśne,

i zbiegły się z dalekich stron. Obok królewicza, na gałązce brzozy siadła maleńka boginka w dyademie z gwiazdki śniegowej nad czołem i pyta:

— Czemu elfy płaczą, królewiczu? czy umarł ojciec twój, król?

— Król elfów żyje.

— Czy umarła matka twoja, królowa?

— Królowa elfów żyje. Elfy tęsknią za wiosną, elfy marzą i płaczą...

— A ty, królewiczu mój blady?

I boginki zielonawe oczy ciekawe, a figlarne, patrzyły w jego oczy.

— Boginko, daj mi radę!

— Tyś zakochany, elfie mój miły...

— Nasz byt krótki, wy boginki dłużej mieszkacie na ziemi... czy widziałaś wiosnę?

— Widziałam wonną, widziałam śpiewną, widziałam rozkwieconą...

— Czy piękna?

— Jak najpiękniejsze marzenie.

— A czy powróci jeszcze? Czy doczekam wiosny?

— Czemu pytasz, królewiczu?

— Odpowiesz?

— Odpowiem.

— Kocham, boginko, konwalię małą, tę z pod dębu... wiesz...

— Tę szarą, nędzną, ukrytą w ziemi?

Srebrzysty śmiech boginki leciał w dal.

— Kocham ją, piękność jej przeczuwam, oczekuje...

— Co rzekł ci ojciec jej?

— Ojciec jej, bór, obiecał, że da mi ją za żonę, gdy rozkwitnie, na wiosnę... Boginko nie patrz na mnie oczyma, jak czar! Wiem, że król jedną z was przeznacza mi za żonę... kocham konwalię szarą, nędzną, ukrytą w ziemi... czekam wiosny...

— A kto zdola tchnieniem gorącym stopić lody i śniegi, kto wiosnę sprowadzi? Śmieję się królewiczu, śmieję!... Twoja konwalia nie podniesie się nigdy od ziemi, bo wiosna nie przyjdzie już nigdy, teraz panowanie zimy... do widzenia, marzycielu błądy...

I rozwinąwszy zielonawe, przejrzyste skrzydelka, boginka złośliwa odleciała w błękitne przestworza.

Więc podniósł się znowu żalony długi, beznadziejny płacz, i uciekając przed tęsknotą własną, mknęły elfy świetlistymi szlaki w głąb lasu, a echa roznosiły po puszczy dalej ich płacz:

— Kto tchnieniem gorącym stopi lody i śniegi? Kto?

Wierzchołkami drzew huk przeleciał głuchy... potem drugi... trzeci... Szum się niósł potężny po puszczy dalej, a w szumie brzmiał głos: Ja!

I przyszła cicha, przyszła wonna, rozspiewana, promienna, ciepłem tchnieniem stopiła powłoki lodowe, rozkuła pęta srebrzystej siklawy, ożywiła martwe, rozbudziła śpiące, ziemię obsypała kwieciem...

W cichą, ciepłą noc wiosenną, stał młody król elfów obok konwalii rozkwitłej, i brał w siebie upajającą jej woń. Dzwoneczki konwalii drżały i srebrnym głosikiem dzwoniły pieśń miłości...

— A kto zdobył tchnieniem gorącym stopić lodki śniegi, kto wiosną wprowadził śmieć się królewiczu śmieci!... Twoja konwalia nie podnie się się nigdy od ziemi, bo wiosna nie przyjdzie już nigdy, teną panowanie śmieć do widzenia, miazgoleń bludy, wy, która tyb znan —
I rozwinął się szlonek, przetrzywał ślony, dołka, bogata, bliskość, w odleciała, w obłektne przestworza...

Wieżę podniósł się znów ślady byłgi, bez nadziejny płacz i niekajęci przed tęsknotą wisań, młody, był, światłości, szlaki w głąb lasu, a echo roznosily po puszczy całej ich pławia — Kto tchnieniem gorącym stopi lody i śniegi?

— Kto? —
Wierzchołkami drzew huk pękających głuchych...
potem dręta, strzał, śnieg się niesł, potędy po puszczy całej, a w szumie przyniał kłosał, śmieć w m: rku, szum, przez ty —

nieśiesz w przeczuciu iście wesoła, zamyślona
 w ton światła wiecznego, by wrócić jasna i silna.
 Tyż nieśiesz w dym osłaniając się ogniem i światłem
 kochaj, strudzonym nieśiesz odpozywny i smutny
 byś się wspaniałym i zapanowaniem zapanowaniem
 «Jest»
 Bądź pozdrowiona o nocy!

Tak mgieł, co nocą cię po łakach się
 kładą, prosz się duszyć. **N o c.** I mgieł wstają

Obrazy fantastyczne.

Tajemnicza, ciszy pełna i przerażeń, pozdro-
 wienie ci, o nocy!

Spoczynek nieśiesz ciałom, ale duszy czyn-
 ności tajemnicze odbywają się w twym cieniu.

Matko snów i widziadeł, bliższa zaświatów,
 niż brat twój, dzień słoneczny, z cichych głę-
 bin twoich płyną dźwięki wieczności. Twoje
 szmery i szepty są echami innego dalekiego
 świata.

Pani fantazyi, sierp księżycy i gwiazd kwiaty
 złote błyszczą na czarnej szacie twojej, skrzą
 się czarne brylanty rosy, i mgieł smugi srebrne
 się wiją.

Po morzu ciemności twoich żeglują ciężkie
 ptaki nocy, i błądzą krwawe ślepia zwierząt
 drapieżnych. Świętojański robaczek — twym klej-
 notem, błędny ogień — paziem twoim.

O miłosierdzia, ty płaszczem ciemnym na-
 krywasz zapłakane oczy sieroty, a duszę jej

niesiesz w przeczuwane kraje wesela, zanurzasz
w toń światła wiecznego, by wróciła jasna i silna.
Ty cieniem swoim osłaniasz zgrozę czynów ludz-
kich, strudzonym niesiesz odpoczynek, smutnym,
bolejącym, zhańbionym — zapomnienie.

Bądź pozdrowiona o nocy!

I.

Świetlista noc, błękitna noc! Świetlista — od
promieni księżyca, błękitna — bo niebo nie po-
stradało jeszcze barwy dziennej, pociemniał tylko
jej lazur.

Maj... w powietrzu woń, na niebie wążki sierp
miesiąca... Wszak znacie noce takie?

Cisza... ale wsluchajcie się dobrze! Nocami
takiemi płynie w powietrzu melodia dziwna,
słodka, wonna, upajająca. Skąd się bierze?

Czy po księżycowych promieniach niby po
strunach harfy wygrywa ją niewidzialna jakaś
dłoń? Czy może to anioł wiosny przelatywał
tędy, a ona jest szelestem złotych skrzydeł jego?
Któż wie?

Mówią tylko, że na dźwięk jej chyła się ku
sobie kwiaty i dusze ludzkie lecą ku sobie.

Ona jest pieśnią miłości przyrody.

II.

«Białe moje mgły, dobre mgły białe, duszyczka sierota was o odzienie proszę! Sukienki z ciała mi zabrakło, odziejcież wy mnie, mgły białe!»

Tak mgieł, co nocką cichą po łąkach się kładą, prosi się duszyczka-sierota. I mgły wstają i owijają ją długim, chłodnym płaszczem.

«I dzieciątku mojemu, dzieciątku dajcie też giezleczo białe!»

Więc i dzieciątko otulają mgły dobre, a duszyczka uradowana leci wysoko, wysoko, do miesięczka srebrnego.

«Miesięczku — ojcze! nijakiego nie mam ja przystrojenia, toż promieni miesięcznych dajcie mi na włosy! Ni mnie warkocza zapleść, ni korali zawiązać na szyi, to u was blasku srebrnego się proszę!»

I dał jej miesiąc promieni srebrzystych, że każdy włos jej świecił niby nitka srebrna i dał jej blasków tyle; że biała jej sukienka jaśniała niby perlami usiana.

Pod oknem kochanka stanęła i stoi...

A za oknem pan w łożu miękkim sobie śpi.

A skoro w łożu miękkim, to czemu przewraca się, i wzdycha, i jęczy we śnie?

Już mu nie doleżeć dłużej!

Wstał... okienkiem sobie na nockę cichą wygląda...

Za oknem stoi topielica z dzieciątkiem...

III.

Przez dzień cały puszczyk spał cicho w wypróchniałej dziupli starego wiazu.

Zmrok... i nagle drgnienie jakiegoś przebiega ciała śpiącego ptaka. Kto go budzi?

Czyja ręka wyciąga się nad nim w ciemności? Głos jakiś, bez słów, mówi doń: wstań!

I między głosem tym a nieuświadomioną duszą ptaka walka toczyć się zaczyna.

«Ptaku zlej wróżby — mówi głos — już czas, już czas!»

«O niechaj śpię! Czemu mi w dusze inne przerażenie lać?!»

«Przeznaczenie twoje! Idź, pełń!»

I mściwym chichotem śmieje się głos.

Więc puszczyk budzi się powoli, i zrywa, i bijąc ciężkimi skrzydłami przelatuje z drzewa na drzewo. Coraz bardziej do okien pałacu się zbliża.

Tam, w pałacu człowiek stary, srogi, na spoczynek się udaje.

— Pójdź, pójdź!» puszczyk zawył ponuro.

Po zawiedłej twarzy okrutnika skurcz prze-

biegł, suche ręce zatrząsły się... Z głębin duszy jego, olbrzymie, nieublagane, wstrząsające istota całą, podniosło się przeczucie śmierci.

IV.

Szumia fale rzeki, i trzciny szumia nadbrzeżne, ale on nie słyszy; w nim cisza jakaś bez wyrazu; jego dusza nie tutaj. W zaroślach nad-rzecznych przypadł do ziemi, i wpil oczy w brzeg przeciwny. Noc czarna, a on patrzy — w ciemnicę tę patrzy wzrokiem wyteżonym, pełnym żaru. Nim dzień zaświta, odejdzie stąd, i brzegu tamtego nie ujrzy już, choć to tamten jego brzeg.

Tam on się urodził i tamtych przestrzeni powietrze pił, aż mu pierś młoda urosła, spotężniała. I po stepach tam latał, niby ptak, a teraz odejść ma na zawsze!

Tam miłość i ból, tam duszę zostawił; cóż weźmie ze sobą?!

Patrzy w ciemność... Każde światełko z tych, co tam błyszcza, zna; każde ognisko z tych, które wihrem tam rozdmuchuje, i gasi, jego bywało ogniskiem.

Zaszumiały trzciny — usłyszał.

Trzciny mówią: u matki się kołysales... pa-miętasz... w domu twoim, w rodzonym domu.

Burza cię niosła po stepie, po stepie twoim rodzonym. Szczęśliwy byłeś.. pamiętasz?

I szemrały tak trzciny długo, a jemu się zdawało, że płaczą nad nim.

Rzeka zahuczała: Lecę w dal. Od brzegów tych odleczę jak ty, i jak ty nie wrócę.

Pójdiesz za morza, pójdiesz za góry, po świecie pójdiesz dalekim, ale nie wrócisz już!

On patrzy w ciemność, w dal i wietrzyki stepów swoich woła do siebie, i wonie kwiatów swoich przyzywa.

Przyleciał wietrzyk.

«Synu mój, odetchnij mną... ostatni raz!»

Wonie kwiatów otoczyły go:

«Pożegnaj nas! — pachniałyśmy w kochanki twojej warkoczach».

On jeszcze patrzył w ciemność, w dal.

I naraz, choć noc była czarna, stanęła przed nim ziemia jego cała, szeroka ukochana.

I głos od niej płynął, łagodny, miękki.

«No dziecko, przypatrz mi się, przypatrz... ostatni raz!»

v.

O nocy wichrów i burzy, nocy piorunowa,
ogień błyskawic rozdzierał ciemności twoje,
w czerwieni łun jawiły się widzenia...

Czy rzeczywistością byłaś, czy snem, nie wiem już dzisiaj.

Stałam na wzgórzu, pod niebem chmurnem i straszmem. Dokoła mnie ciągnęły się przestrzenie bez końca, a na nich mogiła obok mogiły...

I cisza otaczała mnie groźna.

Naraz ze wszystkich stron zawyły wichry, grzmot głuchy przyleciał z oddali, i ziemia zadrzała.

O-nocy!

Widziałam, jak w owej chwili otworzyły się grobowce, i umarli wychodzić z nich zaczęli.

Powstały postacie dumne, i z podniesionemi głowami, z rękami wspaniętymi na karkach, w korowodzie smętnym szły dokoła wzgórza.

Widzę je dotąd, widzę twarze orle i czerwienią szat, i krzyż nad głowami ich, zakonnika ręką trzymany. Pysznym rytmem starego tańca sunęły się cicho, aż wzgórze okrążywszy dokoła, poszły położyć się napowrót w łoża mogilne. Zawarły się groby nad nimi i cisza i ciemność... tylko powietrzem poszedł jęk ogromny, skarga olbrzymów, i cichł i konał powoli...

W tem, błyskawica jaskrawem światłem zalała połowę widnokregu, i w lunie tej chór dzieciątek krwawych trzepocąc w powietrzu skrzydelkami białemi, podleciał aż ku mnie. Błagalnemi oczkami spojrzały mi w twarz, i wróciły w wyciągnięte ku nim ramiona matek. Raz je-

szcze błyskawica, siermiąg białych ujrzałam
rząd i ciemno...

Aż dźwięk w powietrzu rozległ się radosny,
a na dźwięk ten poruszać się zaczęły gdzieś
po krańcach świata jedna od drugiej daleko
rozproszone mogiły. Z jednej, żółtym piaskiem
pustyń egipskich przysypany, wstał młodzian
o obliczu anielskim. Miecz miał w dłoni, a uśmiech
miłości na ustach, myśl braterstwa na czole.
I wszyscy oni, dalekich grobów mieszkańce szli
ku sobie, a złączywszy się, popędzili konni, bly-
szczący, niewstrzymani. Ziemia drżała, tętent
głuchy szedł po niej. Przelecieli koło mnie i roz-
wiali się gdzieś, w tumanie złotym.

O nocy! Nie wypowiedzieć mi dzisiaj, ile
widm stańło tam wtedy przede mną, nie wy-
powiedzieć mi, jakimi płakałam ja tam łzami!

Widziałam matek starych wyplakane oczy,
i ludzi ponurych, brodatych wygorzale żrenice.

Widowisk strasznych, ofiar Abrahamowych
byłam świadkiem. Dymy całopalne szły ku
niebu, i anielice przelatywały smętne. Podnosiły
się z grobów głowy w aureolach złotych
i larwy wstrętne, napoły ludzkie, napoły zwie-
rzęce. A wszystkie wołały na mnie: mów o nas!

O nocy! Czy tajemnice twoje wypowiem kiedy?..

Dwaj niewolnicy.

Powieść ze starych pergaminów odpisana.

«Tyberyusz Rufus z wyprawy przeciw Partom powracał. Fortuna sprzyjała orężowi jego. Łupów nabral bogatych i niewolników mnóstwo, i z tryumfem, a w wieńcu laurowym na czole do Rzymu wchodził, jako zwycięzcom wchodzić przystoi. Lud wyległ na ulicę, i podziwowi a okrzykom końca nie było. Bogactwa bo nieprzebrane prowadził Rufus ze sobą.

Tuż za wozem tryumfatora szło dwóch młodzieńców. Ręce i nogi krępowały im łańcuchy, na ramiona spadał włos długi. Nie jeden okrzyk zachwytu wydarł się z ust zgromadzonych na ich widok, nie jedno spojrzenie niewieścich oczu z lubością zatrzymało się na nich; tak bo nadzwyczajnie pięknymi byli ci dwaj młodzi niewolnicy. Ciała ich były wysmukłe, gibkie, niby w każdej chwili gotowe do skoku, mięśnie zdawały się z żelaza.

Choć podobni do siebie z twarzy i postaci

jak bracia rodzeni, odmienni zdali się być duchem.

Młodszy, i wzrostem niższy szedł z głową spuszczoną ku ziemi, a w spojrzaniach, które rzucił czasami na witający wodza swego lud rzymski, malowała się pokora i uległość.

Oczy drugiego krwią nabiegłe skrami gniewu sypały dokoła. Głowę niósł hardo odrzuconą, zwyciężony, na ciekawy tłoczący się tłum zwycięzców spoglądał z góry.

Przed wzrokiem jego pełnym żaru, przed groźbą, która leżała mu na czole, lud cofał się. Niewolnik ten patrzył, jak patrzy zwierzę pustyni w żelaza zdradzieckie schwyty.

Gdy Rufus stanął przed obliczem Cezara, władca okazał mu oblicze łaskawością promienne.

— Żądaj odemnie, czego chcesz — rzekł mu. — Odmawiać dziś nie umiem.

— Imperatorze — odparł wódz — pochwały twojej i wieńca laurowego byłoby mi dość, ale ponieważ żądać każesz, więc niechaj w gromadzie jeńców, którą przyprowadziłem, wybór uczynię. Pozwól boski Cezarze, by dwaj niewolnicy, których własną ująłem ręką, gdy pogrążeni we śnie od bogów zesłanym spoczywali na skraju puszczy, moją zostali własnością.

I wskazał ręką na dwóch pięknych młodzieńców.

— Twoimi są — odrzekł imperator, a Tyberysz Rufus polecił wieść ich za sobą.

Gdy stanęli w domu pana swego, wódz przywołać kazał ulubionego sługę, który był przełożonym nad niewolnikami.

— Lucyuszu — rzekł, — lwięta poruczam pieczy twojej, bacz by zbyły się drapieżności, a nie postradały piękności i siły. Barbarzyńskich imiom ich nie pamiętam, nazwiesz jednego Kajus, drugiego Flawiusz.

— Pokłońcie się panu naszemu i chodźcie za mną.

Młodszy przypadł do nóg Rufusa, i obejmując je, w niezrozumiałej mowie słowa jakiegoś bełkotał.

Starszy nie pochylił się, i milczał.

— Żyw go chlebem i wodą — rzekł spokojnie Rufus, — spokornieje, gdy osłabnie.

Lucyusz wyszedł, prowadząc za sobą młodzieńców.

Niedługo cieszył się Tyberysz ogniskiem domowem. Za wolą Cezara w bory Germanii powiódł znów legie swoje.

Pod nieobecność pana, Lucyusz nad niewolnikami władzę nieograniczoną sprawujący, usiłował oblaskawić młodych barbarzyńców.

Młodszy z nich od pierwszej chwili, uległy, baczny na każde skinienie, posłuszny, stał się wkrótce prawą ręką, okiem i uchem Lucyusza.

Kajus za to za dwóch sprawiał utrapienie wienemu sludze. Rozkazów nie pełnił, prac niewolniczych jać się nie chciał, kar nie lękał, swobody, albo śmierci szukał. Daremnie Lucyusz to srogości, to łagodności podstępnej sposobem, starał się dziką naturę ujarzmić.

Złamać go mógł, zgiąć nie umiał. Niewolnik ten krnąbrny, stawał się gorszącym dla innych przykładem. Płomień, który tryskał z jego oczu, zapalał chwilami isierki i w innych przygasłych od dawna źrenicach. Więc kazał go Lucyusz do najgłębszego spuścić lochu i łańcuchem przykuć do ściany. Noc ogarnęła go, noc nieustająca, bez nadziei świtu. I nie wiedział, jak długo już na oczach jego w słońcu rozkochanych kładła się ciemność wstrętna, gdy raz przecie promyk światła wpadł do lochu, a z nim wśliznął się Flawiusz.

— O bracie — rzekł mu — czemuż bogowie karzą cię utratą rozumu?! Dobrowolnie znosisz mękę, gdy mógłbyś być szczęśliwym. Ucałuj nogi pana naszego, a wyjdiesz z lochu na światło. Pełń ulegle jego rozkazy, a będzie ci się dobrze działo, jak mnie. Otom piękny i silny, jak byłem, a ciebie nie poznałaby matka rodzona. W niewoli żyć można, mój bracie... ale twoim pokarmem od roku chleb i woda...

Chciał mówić jeszcze, gdy brzęknęły łańcuchy, i dał się słyszeć głos, podobniejszy do

wściekłego pomruku zwierzęcia, niż do mowy ludzkiej.

Flawiusz szybko uskoczył na bok przed gniewem brata-niewolnika.

I Lucyusz schodził kilka razy do lochu i zapytywał przykutego, czy teraz posłusznym już będzie? Ale Kajus nie przerwał milczenia, do którego przywykł w ciszy i ciemnościach lochu.

Zawitał wreszcie i Tyberyusz w progi domowe, i jednego dnia obudwu braci wezwał przed siebie.

— Dlaczego nie pełnisz rozkazów sługi mojego, któremu zdałem władzę nad wami? — zapytał skutego w żelaza.

— Bom człowiek wolny! Z królów, nie niewolników idę rodu! Ojciec mój był panem ziem bez końca, matka była z córek pustyni..

— Niewolnicy! — krzyknął Tyberyusz, — czy nie wiecie, że w jednym mojem słowie śmierć wasza?!

Flawiusz leżał już u nóg jego, i w prochu tarzając czoło, jęczał:

— O panie, tyś światłością dni moich! miłość dla ciebie wypełnia serce moje. Pozwól mi żyć, bym mógł za podnózek służyć stopie twojej..

Ale pan kopnął go nogą.

— Ochłostać to bydlę tchórzliwe! — rozkazał i zwrócił się do Kajusa.

— Co uczyniłbyś, gdybym kazał zdjąć ci okowy?

— Zabiłbym cię! — była odpowiedź niewolnika.

Tyberyusz chodził długo po komnacie, znać ważył w sobie dziwne, sprzeczne myśli.

— Przynieść miecz! — zawołał wreszcie.

Miecz przyniesiono. On go podał niewolnikowi.

— A teraz rozkuć mu pęta! Walcz ze mną! — rzekł.

Radości szal wystąpił na twarz niewolnika. Porwał miecz, i zaczęła się walka. Bogowie Olimpu z rozkoszą przypatrywali się tym zapasom.

To jeden, to drugi z przeciwników brał górę, zwycięstwo długo chwiała się na szali. Aż naraz miecz Rzymianina dosięgnął piersi młodzieńca.

Niewolnik padł, krwi strumień wybuchnął mu z rany, i sączył się do stóp Rufusa, a wraz z nim płynęły ciche słowa konającego:

— Dzięki ci, najszlachetniejszy z ludzi... umieram wolny...»

* * *

» W podróżach moich po Wschodzie zatrzymałem się czas dłuższy w klasztorze na górze Synai. W bibliotece tamtejszej znalazłem pergaminowy szczątek nieznanego jakiegoś dzieła. Urywek ten zawierał powieść niniejszą. Dobrzy ojcowie klasztorni zapewniali mnie, że karty te cudownym sposobem ocalały z pożaru ksiąźnicy aleksandryjskiej, spalonej ongi przez Kalifa Omara. Posyłam je Pani, może użytkować je zechcesz».

Na zawsze.

I.

Zmęczona i smutna dojeżdżałam do cichej, kędyś za światem leżącej miściny, wyznaczonej mi przez los na miejsce kilkoletniego pobytu.

Chłodny dzień jesienny chylił się ku końcowi; po drodze piaszczystej wicher niósł liście przydrożnych drzew. Od tych opadających, pożółkłych liści, od chmur szarych, leniwie wlokących się po niebie, od pól dalekich, nagich, ogołoconych z traw i zbóż szły na mnie dziwne melancholie jakieś, i burzyły duszne głębiny, poruszając w nich na nowo wiry uspokojonych już prawie żalów, uciszonych bólów i rozczerowań.

Wolno toczył się mój wózek po piaszczystej drodze; woźnica w czapce rogatej, na bok przekreśnionej kiwał się przedemną wpółseny.

Noga za nogą wjeżdżaliśmy na wzgórek, jeden z długiego łańcucha, wieńczących miasto, niby

stary wał ochronny. Wtem z boku rozległ się nad nami skrzyp jakiś, czy jęk przeciągły. Koń nie zastrzygły uszami i ruszyły prędeej. Woźnica mój ocknął się, spojrzal za siebie wyleknionym wzrokiem, przeżegnał się, poprawił czapkę i świ-snął biczem nad końmi.

— Co wam? Co się stało? — pytałam zdziwiona, wyrwana z zadumy.

— A, co ta językiem mleć po próżnicy! Jeszcze pod tę ciemną noc! Boże uchwaj! Niech się panienka lepiej przeżegna, i jedźmy! Wio! Wio!

Raz jeszcze obejrzał się za siebie z zabo-bonną trwogą.

— A to mówią, co w tem drzewie zle sie-dzi — mruknął.

Spojrzalam. Na szczycie najwyższego i naj-bliżej gościńca leżącego pagórka stała olbrzy-mia sosna, ostatnia zapewne strażnica rozle-głych dawniej obszarów leśnych.

Drzewo to miało w liniach swoich istotnie coś dziwnego, coś tragicznego niemal. Rozdarte konarami w dwie przeciwległe strony, samotne na wielkim, pustym rozłogu słało w powietrze tajemnicze jakieś szepty, szumiało niezrozumiałą skargą. Jedno z dolnych ramion, uschłe, nagie, trup gałęzi, od innych, okrytych ciemną ziele-nią igiel odcinało się wyraziście ponurym smut-kiem martwoty.

To ona, ta gałęź umarła, ozwała się widać nad nami takim żalonym lamentem, który duszę prostego człowieka strwożył, grozą przejął.

Szybko zjeżdżaliśmy z góry. W dolinie zabłysły światelka. Miasteczko leżało przed nami, jak na dłoni. Byłam u celu.

Za mną w mrokach nocy pozostała sosna-pokutnica.

II.

— Póglówek, mości dobrodzieju, i basta! Sam się zatracił... śmierć haniebna... matkę wpędził do grobu, pannę... jak zgubił, bo mówią o niej, że tam tego... niedobrze — tu pan Ignacy znacząco stuknął kilka razy palcem w czoło.

— Oblakana? — spytałam.

— At, waryatka niby nie, ale tak nawpół, piątej klepki brak! A patrz pani, szkoda, piękna była dziewczyna, ho, ho, pamiętam! Teraz to tam już po wszystkim, ale dawniej było na co popatrzeć, mości dobrodzieju, o było! Tak, moja pani, młodość — grunt, a i uroda — a jakże! No co, nieprawdę mówię?

I pan Ignacy śmiał się głośno, filuternie patrząc to na mnie, to na sąsiadkę swą z drugiej strony, hoże dziewczę, uśmiechnięte bezmyślnie.

Wkrótce zajął się nią wyłącznie, gdyż ja straciłam nagle ochotę do rozmowy.

Uwagę moją pociągnęła ku sobie siedząca przy drugim końcu stołu kobieta, o bardzo blajej i szczególnie pięknej, choć zwiędłej twarzy.

Właśnie przed chwilą, w swój sposób rubaszno-jowialny pan Ignacy opowiedział mi jej dzieje.

O przymusy towarzyskie, objawy śmieszności, względy drobne, małe, jakże wielką jest wasza potęga! Miałam w tej chwili ochotę płakać głośno, miałam ochotę pójść do niej, może ukleknąć przed nią, czy przed ołtarzem wszechbólu, na którym była jedną z ofiar całopalnych, miałam w duszy krzyki jakieś i słowa ogniste.. a siedziałam wciąż spokojna, milcząca, obok p. Ignacego, który w dalszym ciągu uprawiał flirt z młodziutką sąsiadką.

I ta, w którą wpatrywałam się tak uparcie od chwil kilku, milczała również. Powieki miała spuszczone, i od niezmiernie długich, ciemnych, jedwabistych rzęs cień padał na jej bladą, delikatną, niby w marmurze wyrzeźbioną twarz.

Czy do świadomości jej dochodziły prowadzone dokola rozmowy, czy słyszała klótnię doktora z aptekarzem o ostatnią partyę prefersansa, czy mogłaby powtórzyć, co opowiadał proboszcz o wczorajszym odpuszcie? Sądzę, że nie.

Wyglądała na zamyśloną głęboko, zdawała się przebywać w innych jakichś światach, nie mających nic wspólnego z tem, co ją otaczało tutaj. Był na jej twarzy spokój dziwny, straszny.

Czy tak skamieniała z bólu?

Czy naprawdę brakło jej piątej klepki?, jak mówił pan Ignacy. Uczuła snać wreszcie utkwione w nią spojrzenie moje, bo podniosła powieki i z pewnem zadziwieniem spojrzała na mnie. Och, nie był to wzrok oblakanej. Są oczy, z których zdaje się wyzierać słońce, tyle blasków, tyle promieni ślą ich źrenice.

I ona musiała mieć niegdyś takie oczy.

Przesłoniły je potem chmury, przesłoniły mgły, a mimo to dziś jeszcze poprzez te wszystkie zasłony przedzierało się światło. Snać płomień boski życia gorzał tam wewnątrz z większą, niż u innych mocą.

Przez długą chwilę patrzyłyśmy na siebie w milczeniu, a dusze nasze przez ten czas zawierały związek braterstwa.

Poznałam to po dziwnie błogiem uczuciu, które opanowało mnie nagle. Już nie czułam się samotną, jak ptak przyniesiony burzą na obce wybrzeża, już nie wydawało mi się, że jestem ziarnem, rzuconem na jałową rolę małomiej-skiego żywota, na której tylko chwasty plotek i pioluny drobnych zawiści rosły, i rozwijały się bujnie.

Dokuczyło mi życie, jakie wiodłam tu od kilku miesięcy, dokuczyło nieznośnie!

Ludzie tu byli tacy mali, a tak wrogo usposobieni względem wszystkiego, co nad poziom wydobyc się pragnęło, tacy niemądry, a z tak zabawnym lekceważeniem traktujący wszelkie zdobycze ducha ludzkiego, tacy płytki, próżni i źli w dodatku; ciężko było mi wśród nich, czułam, że w tej atmosferze duch mój zasypia, albo goryczą i gniewem wzbiera nad miarę.

Szukałam samotności, uciekałam w pola, błądziłam wśród pagórków, otaczających miasto, w ciszy starałam się odnaleźć samą siebie. Ku sośnie samotnej, która u wstępu do nowego życia przywitała mnie pierwsza jękiem i skargą, zwracałam się najczęściej.

I nieraz rozdrażniona zadawałam sobie pytanie, dlaczego ci ludzie znoszą ją tutaj? Ponad pustym, nagim, bezpłodnym, jak to życie ich, rozłogiem stała przecież wyniosła, wybiegająca ku niebu, w banalne gwary ich rzucała tragiczny jęk swój, szmerami swymi zdawała się najwyraźniej mówić o tem, o czem oni słuchać nie chcieli...

A może ona do mnie tylko przemawiała w ten sposób? Oj na pewno jej języka, jej pieśni... oni nie rozumieją!

Dziś po raz pierwszy opuściło mnie to uczu-

cie strasznego osamotnienia. Wszak ona tu była, wszak patrzyła na mnie tym wzrokiem swoim miękkim, świetlistym, łzawym, wszak niedaleko odemnie biło serce gorące i czyste, żyła dusza bratnia, żyła wśród męki wspomnień.

Przestałam patrzeć na nią. Wystarczało mi, że obecność jej czuję w pobliżu.

— Z widzenia i z opowiadań ludzi znam panią oddawna — zabrzmiał przy mnie głos stłumiony, w którym pomimo to drżały serdeczne dźwięki — czy pozwoli mi pani na bliższą z sobą znajomość?

To ona mówiła. Sama, opierwsza zwracała się do mnie.

Musiałam wydać jej się dziwną przy tem pierwszym zetknięciu.

Świeżo pod wrażeniem tragicznej historii, którą opowiedziano mi o niej, nie byłam w stanie zdobyć się na zwykły ton rozmowy. Z początku milczałam onieśmielona, czując, że znajduję się wobec wielkiego bólu, wielkiej klęski, wobec wspomnień strasznych, niezatartych.

Potem ujęta jej prostotą i dziwną ciszą, która zdała się promieniować od niej, zaczęłam mówić. Podniecona byłam szczególnie. Zdawało mi się, że powinnam odkryć przed nią najgłębsze tajniki mej duszy, wypowiedać się przed nią ze swych żalów i smutków, pragnień i zamiarów.

I skryta zazwyczaj, lękająca się szyderstwa ludzi, przed nią raz pierwszy widziana, otworzyłam duszę. Mówiłam długo, rozwijałam przed nią tkaninę z szaleństwa marzeń i serdecznych pragnień ideału usnutą.

Sluchała mnie z pewnem zadziwieniem w początku, potem uśmiech blady, smutny zaczął przewijać się po jej ustach.

— Dźwięki dawno niesłyszane, melodye, które ucichły przed laty! — szepnęła wreszcie, jakby do siebie. Przypomniałaś mi tyle, tyle — mówiła, gorąco ściskając mnie za ręce — woń młodości mojej powraca, gdy słucham ciebie, ale dziecko, takie sny kończą się źle — dodała z niespodziewaną gwałtownością — i w tej chwili nagły spazm wykrzywił jej piękną, spokojną twarz, a w oczach zaświtało istotnie coś, jakby obłęd...

Z przerażeniem spoglądałam na nią. Po paru minutach przyszła jednak do siebie.

— Nie lękaj się — powiedziała — oczy moje patrzyły niegdyś...

Nie rozmawiałyśmy już dłużej tego wieczora. Uścisnęła mnie za rękę i wyszła.

— A co proszę pani, nie waryatka? — tryumfująco pytał p. Ignacy.

— Waryatka! — odrzuciłam takim tonem, że w swojej naiwności zapewne i mnie o nie-normalny stan umysłu posądził.

III.

Zbliżyłam się do Maryi, i do jej rodziny, i nie-
raz w najbliższem jej otoczeniu spotkać mi się
zdarzyło z tym samym sądem, który owego
wieczoru wypowiedział o niej p. Ignacy.

— Pani kochana — skarżyła się przedemną
jej matka, ja nie wiem, za jakie grzechy zesłał
Pan Bóg na mnie taką karę?! Taką córkę mieć
i żeby na zmarnowanie poszła! Przeklęta go-
dzina, w której poznała tego... szaleńca, tego
nieszczęśnika. Na sądzie bożym odpowie za nią!
Już trafiała jej się niejedna partya; bardzo po-
rządny obywatel, powiadam pani mojej, ginął
z miłości dla niej, i urzędnik z magistratu chciał
się żenić, ona nie i nie! Do ludzi nie gada, sie-
dzi, jak skamieniała, myślałam już sama, że jej
się rozum pomieszał. Nic, tylko co wieczór tam,
pod tę sosnę lata, a nocami całemi chodzi po
domu, i to gada do siebie, to ręce łamie, to się
modli.

Tak było długo, a potem to prawie zanie-
mówiła; do mnie się ani odezwie, przed ludźmi
ucieka; teraz to nowość dla nas, że z panią roz-
mawiać zaczyna. Może pani jej w głowie od-
wróci choć trochę... jeszcze mogłaby wyjść za
pocztmistrza.

Szaleniec... Ile razy z którymś z ludzi tutej-
szych zaczęłam rozmowę o mojej nowej przy-

jaciółce, i o tym, który leżał tam w polu, pod sosną samotną, tyle razy, jako jedyną charakterystykę jego, słyszałam słowo: «szaleniec».

Tak szaleńcem był; sięgał «tam, gdzie wzrok nie sięga», siły na zamiary mierzył. Szaleńcem był, bo wierzył, że ideały ściągnąć można na ziemię, wierzył w braterstwo ludzi, w miłości cud, piał się uparcie na wyżyny ducha.

Skończył też, jak zwykli kończyć szaleńcy. I nad nim to szumiała owa sosna, w której wedle wiary ludu, zły duch siedział zaklęty.

A mnie odtąd dobrze już było wśród nich. Nie sympatyj, która zawiązała się owego wieczoru pomiędzy mną, a smutną bohaterką miejscowej tragedyi, zmieniła się szybko w przyjaźń gorącą i trwałą, w potrzebę wzajemnego oddziaływania na siebie. Ja budziłam omdlałe jej siły, przywoływałam do życia; ona gorycze moje, wybuchy oburzenia, gniewy zaświatową pogodą koila.

Stosunek, który wytworzył się między nami, stawał się dla dusz naszych źródłem coraz nowych zadowoleń. Szłyśmy już teraz razem dłoń w dłoń, rzucałyśmy ziarna tam, gdzie dotąd jałowe leżały role, w otaczające nas mroki siałyśmy drobne promyczki światła. Ludzie przestali uważać ją za waryatkę. Zato obiedwie byłyśmy dla nich przynajmniej wpólszalone.

Zamieszkałam z nią razem i nie miałyśmy

dla siebie skrytych myśli i uczuć. Tylko o mogile na rozłogu nie mówiłam z nią nigdy. Nie śmiałam dotykać tej rany.

Pewnego wieczora, wracając z jakiejś niedalekiej wycieczki zamiejskiej, spotkałyśmy bosą dziewczynkę schodzącą z pagórka, nad którym sosna rozpościerała konary swoje. Dziecko niosło w ręku pęk kwiatów polnych. Nim zdążyłam pomyśleć, że zerwało je z owej mogily, z jego mogily, Marya skoczyła ku dziewczynie.

— Oddaj mi te kwiaty, oddaj! — zawołała tak rozdzierającym głosem, że dziecko przestraszone, upuściwszy wiązanek na ziemię, uciekać zaczęło co siły.

Podniosła kwiaty, zebrała je i nie oglądając się już na mnie, jakby zapomniała o mojem istnieniu, pobiegła spiesznie ku miastu.

Wieczorem ujrzałam kwiaty, stojące na oknie, w naszym pokoju.

Od chwili, gdy widziałam ją przyciskającą je do piersi, broniącą niby skarbu swojego, kwiatki te nabrały dla mnie jakiegoś szczególnego, tajemniczego znaczenia. Usypiałam, mając oczy wciąż w tę mogilną wiązanek utkwione. I przyśnił mi się pagórek, sosną uwieniczony.

I zdawało mi się, że z mogily wstał cień i po zboczach wzgórza snuł się cicho. Kwiatki wyciągały ku niemu główki, a on pieścił je mówiąc: Żeście dziećmi mogily mojej — nie żal

mi! Nie żał mi was o rozchodniki — tulacze, pieśni moje gorące, którem rozrzucił po świecie, i was goździki jaskrawe, czerwone krople krwi mojej — nie żał, nie żał mi! I was puchy mleczne, marzenia złudne, które wichur rozniósł po ziemi, i was konwalie białe, przeczyste jej lzy, nie żał mi nawet i was! Potem widmo pomknęło ku szczytowi, mówiąc: szumna piastunko ty moja, śpiewałaś ty nademną, a kołysałaś mnie szeptami swoimi, gdym dzieckiem biegał na wzgórek do ciebie. Kochałaś mnie stara sosno-samotnico, a teraz płaczesz, teraz jęczysz po mnie. Ale i ciebie nie żał mi, płaczko stara!

I przesunął się cień dokoła pnia, drzewo stare miłosnym obejmując uściskiem, a sosna zaskrzypiała żałośnie, głośno, przeciągle, jakby się w płaczu uspokoić nie mogła. A on mówił: com dał mogile, żem dał, nie żałuję! Ale w tej chwili wyciągnął ku niemu główkę drobny, czerwony kwiateczek; i pochylił się nad nimi cień, i nad braćmi jego, które rosły dokoła i zawołał: was mi tylko, krwawe lzy matki mojej, was mi jednych żał!

I przypadło widmo do ziemi, bólem ciężkim złamane, i przypadło z jękiem do owych kwiateczków czerwonych...

W tej chwili rozwiął się mój sen, znikł pagórek, znikło widmo i kwiaty.

Otworzyłam oczy. Przy oknie, w świetle mie-

siąca klęczała Marya, i załamane ręce wyciągała ku polom dalekim, kędy sosna nad mogiłą samotną szumiała. Błada twarz jej tonęła we łzach.

Ach te kobiety! One wiernie, duszą całą, na zawsze kochać umieją tylko szaleńców.

* * *

Dziś i ona już w grobie, ale z mogił ich płynie ku mnie szept cichy: nie żałuj, niczego nie żałuj!...

I przesuwał się ciszą bokami drzewo stare młodej dziewczynie — dźwiękiem i rozbrzmieniem — jakby się w płaczu uspokoił nie mogła. A on mówił: com dał mogiłę, zem dał nie żałuj! Ale w tej chwili wystrzelił ku niemu głowę drobny, czarny kwiatostanek i pochylił się nad nią cienki i nad brami jego, które rosły bokami i zawołał: was mi tylko, kwiato, tak miękki mój, was mi jedynych żali!

I przypało widmo do ziemi, doleci cicho i złamane i przypało i jednem do owych kwiatostanów czarnych.

W tej chwili rozwił się mój sen, znikł golek znikło widmo i kwiaty.

Otworzyłam oczy. Przy oknie w świetle mie-

W poranek majowy.

Zielonem sklepieniem zawisła nad nim gałęź
lipy odwiecznej.

Przez gęstwinę młodych liści przesiewa słońce
złote promienie swoje, i padają świetlistymi plam-
kami dokoła. A gdy wiatr zlekka listkami po-
ruszy, ruchliwe blaski te ślizgają mu się po
włosach, po twarzy, niby pieszcząc łagodnie
i miękko. Przed nim w pełni słonecznego świa-
tła, szkarłatem i złotem barwią się kielichy tu-
lipanów; blade narcyzy z krwawą w pośrodku
obrączką występują z pośród traw zielonych.
Niżej, przy ziemi stokrocie różowe i fijołki się
ścielą.

Po dwóch stronach jego, niby dwa, przez
olbrzymów złożone bukiety, stoją rozkwitłe wspa-
niale krzewy bzu, i zwracają ku słońcu kiście
rozwonionego kwiecia. Rój pszczół brzęczących,
rój motyli barwnych kręci się dokoła i z lilio-
wych kwiateczków słodycz rozkoszną wysysa.
Gdzieś w dali słyhać słowika śpiew; wtórują

mu innych, przeróżnych ptasząt głosy. Świat cały rozśpiewany, pelen woni, skąpany w blaskach, rosą błyszczący.... Ciepło, wonno, świetlisto dokoła.

A wśród tych woni, tych blasków, promieni i barw, w ten ciepły poranek majowy on cichy jest i tęskniący, jak zawsze. W szerokim krzesle, o poręcz oparty, spoczywa. Twarz ma bladą, bladą bardzo, postać nikłą... młodzieniec, dziecko raczej.

Przed nim na wielkiem morzu zieleności, purpurą i złotem płoną się kielichy tulipanów, dokoła świat cały wiosenną okrył się pogodą, a on tęskni...

Chory — mówią ludzie, i rozmaicie chorobę jego nazywają, a on wie, że jej jedno tylko — tęsknota.

Tęsknota? Za czem? — on nie wie, ale czuje, że gdyby mu ją odjęto, oddychałby swobodnie i radośnie nektar życia pił, a tak umierać musi przed czasem.

Na świat ten przyniósł ją ze sobą poznał przy pierwszym spojrzeniu na błękit niebios, na dalekie widnokregi za borem, za rzeką... Żyła w nim kosztem jego życia — upiór niewidzialny, nienazwany ssala pierś dziecka; rosła z nim razem.

Duszę jego odrywała od ciała i niosła w za-

światy. Ból rozstań tych czuł w każdej życia chwili, a nie zlorzeczył jej.

Ganiono mu, że smutny był. Cóż on winien? Co winien, że nad wszystko, co ludzie nazwali pięknością, on pragnął więcej i więcej przeczuwał; że dla niego najszlachetniejszy czyn, najsilniejsze słowo, najwnikliwszy ton, najsmuklejsza linia, najcudniejsza barwa, niedosyc smukle, niedosyc cudne, niedosyc silne były?

I im więcej piękna chłonał w siebie, tem większą tęsknotą wzbierała mu dusza, tem silniej rwał się...

Do czego? Gdzie?

Alboż wiedział!

Im bogatszym czarem jaśniało matki-przyrody oblicze, im cudniejszemi zwrotki kołysała go pieśń, im więcej piękna dawało życie, tem bardziej tęsknił.

Tęsknota - kochanka! Ona splywała doń po zielonawych promieniach miesiąca, po srebrzystych falach rzek; z niebotycznych gór szczytów zstępowała ku niemu, z oceanów bezmiernej szła głębi.

W modrych oczach dziewczyny, w śnieżystych listkach narcyzów, w błedniejących coraz barwach zórz zaklęta, ona mówiła mu, że od białosci śnieżnych narcyzów jest białosc czystsza, że od mórz ogromnych są ogromniejsze morza, że od ukochanych przezeń pieśni, są gdzieś pieśni

cudniejsze, bardziej ukochane. Ona mówiła mu, że od najsilniejszego dźwięku jest gdzieś dźwięk silniejszy, że od najjaśniejszego promienia jest jaśniejszy promień, od najwyższej piękności — piękność wyższa.

I tęsknił.

Dusza - marzycielka rzucała ciało omdlałe, bezwładne i szła tęsknotą wiedziona po tajemnych gdzieś szlakach. Wędrowka niedługa! Wracała dusza, wracała do ciała zwiedniałego i bez sił. Do pogardzonego towarzysza swego wracać musiała, ale nie uległa nie pokorna. Dusza buntownica, tęsknicielka wieczysta! Ona wiedziała, że poza barw tysiącem są inne jeszcze barwy, poza milionem dźwięków, są dźwięków miliony, poza marzeń tłumem jest nieskończoność marzenia.

I w nieskończoność ciągnęły ją znowu wieczyste, przepotężne tęsknice...

Takim było życie jego od kolebki do chwili tej.

I dziś dusza jego się wyrывa...

Świat taki piękny, wiosenny taki! Ale on innej, jeszcze piękniejszej, wonniejszej jeszcze chce wiosny! Ból straszny szarpie mu pierś...

Ach lecieć gdzieś! ach w dal!

Tęsknicy poryw przeogromny go zdejmuje.. jeszcze chwila, a wyrwie się, uleci na zawsze..

Ciszy chwila... ból przestał szarpać mu piersi. Już leci... z motylem razem nad kielichami tu-

lipanów się waży, nad bzu krzewy przelata...
czarnej jaskółki skrzydelko musnął w przelocie...
Marzenie — dziw... nigdy jeszcze snem takim
nie marzył... na poręczy krzesła widzi zwisłą
głowę swoją i twarz bladą, bladą bardzo...

Lekko mu, dobrze i jasno... W powietrza toni
światlistej się chwieje, nad kielichami kwiatów
unoszą... Coraz większej światłości zalewa go fala,
coraz więcej barw przybywa dokoła, nigdy nie-
słyszanych dźwięków leją się kaskady... Raz
jeszcze porywa go tęsknoty szal... on chce wię-
cej, wciąż więcej jeszcze! Przed nim bezgrani-
czne przestwory... przed nim marzeń nieskoń-
czona kraina... On poleci, siłą pragnienia poleci...
I wyrывa się raz jeszcze, raz ostatni... Już ule-
ciał... i po falach nowego bytu płynie... płynie
w dal...

Powieści prządek.

Przy świetle luczywa wyciągały długą nić lnianą, a z ust ich to pieśni stare, to dziwne płynęły powieści.

Wszystkie miały włosy jasne i marzące czola. Jam powieści ich słuchała i jako umiem, powtórzę.

Najmłodsza z nich, najbledsza, najwątlesza z prządek, głosem niby szmer strumyka cichym, zaczęła opowiadanie o dziejach Izy:

I.

Lza.

«Gdy zwrócony w stronę kraju swego stał poblądły, wypłynęła mu z pod powieki bólem i gorączką spalonej, i jasna, czysta, kryształna, toczyła się po licach pomarszczonych, wyschłych, aż spadła na ziemię. Wypiła ją chciwie, niby

złożoną sobie ofiarę ziemia obca, spiekła od podzwrotnikowych żarów, ta ziemia nienawistna mu.

W jednej chwili wyszło ją z niej słońce i lza tulacza, rozpylona na drobniutkie cząsteczki pary, uleciała w powietrze.

Uleciała... i cichym powiewem wiatru niesiona, szła, szła, ponad głębinami mórz, ponad puszczy podzwrotnikowych zielenią, ponad lodowemi iglicami górzystych łańcuchów, szła na północ wciąż, w biegunowe dążyła gdzieś kraje. Pochwyił ją wicher krain polarnych i tchnieniem mroźnem w kryształowe igielki ściał.

...Hej, huczy wicher, co wyrwał się kędyś z pod bieguna, z loskotem, a szumem gna... Miliony gwiazdeczek śniegowych niesie na skrzydłach, miota niemi na wsze strony, ku obłokom wznosi i kurzawą białą rzuca o ziemię, on, za-wiei król.

Hej, w dal, hej w dal! Z poświstem i rykiem leci wściekły tuman biały.

Przed wszystkiemi, najpierwsza leci gwiazdeczka, jaśniej od innych błyszcząca. Nie wicher to niesie ją; prędzej ona bieży, niż wichry polarne, niż zawieruchy zimowe; silniejszy niesie ją pęd. Napróżno wichrów król nagiąć chce nieposłuszną, napróżno porywa ją rozszałaly, zwiewa wstecz, po ziemi pędzi... napróżno!

Bo ona przed siebie, ona do matki leci... Więc zawył wicher z wściekłości i z trwogi, za-

wył przeciągle... obok siebie inną, większą poczuł moc...

Hej, czarno, czarno dokoła.

...Poprzez ciemności tuman śnieżny rwie. I przeleciał ze świstem dzikim ponad niskim pochyłym domem, w konary lip starych uderzył, echa drżemiące w ciemnościach pobudził. I poszedł dalej na bory, na lasy.

Tylko ona została, gwiazdka kryształna. Na gałązkę topoli opadła, jak ptaszę na gniazdo rodzinne przypada.

Pognały burze, chmury pognały, księżyc wypłynął na lazury, i w ciemność nocną promieni srebrzystych rzucił snop. Jeden z nich załamał się w drobnej gwiazdeczce śniegu. I zapłonęła przezczystym zielonawym blaskiem, i na wierzchołku topoli migotała niby klejnot z czarodziejskiego skarbcza.

Z okien starego dworu dostrzegły ją źrenice kobiety. Wpatrzyła się w migotliwe światełko u wierzchołka topoli błyszczące i dziwne myśli snuć się jej zaczęły po głowie: «Czemu tak smutno, taką tęsknotą wymowną błyszczy ku mnie ta gwiazdeczka szronu? O czemu? Ach, mogłabym pomyśleć, że to łza kochających oczu!»

I serce zaczęło w niej cichym wewnętrznym płaczem łkać za oddalonym, za zapomnianym, za tym, co nie wróci już!

Przyszło słońce wiosenne, z kropelki lzy
zdjęło kryształne zakłęcie, i z gałęzi topoli ja-
sna, czysta, zimna spadła znowu na ziemię.

A kiedy roześmiał się dzionek wiosenny, gdy
zawoniały fijołki i rozśpiewały się ptaki, z miej-
sca, na które upadła łezka tułacza, podniósł się
kwiat jakiś osobliwy i na łany, na obszary da-
lekie ślał woń, od której ludziom na płacz, lub
na śpiew smutny się zbierało.

I nikt nie wie, ja jedna wiem, że ten kwiat
wyrosł na ziemi, lżą oddalonego zroszonej».

II.

Na wyżynę.

«W głębokim, zielonym jarze, zdala od świata,
mieli chatkę bluszczami obrosłą, Do okien ich
zaglądały bzy kwitnące, i w ciche noce słowi-
ków miłosny, słodki dolatywał śpiew. Po sto-
kach jaru spływały powoje, środkiem jego kry-
ształny wił się strumień.

Byli młodzi i piękni, i jar zielony rajem im
był, niebem był ich miłości.

Rankiem, gdy bluszcze i powoje dozlóciło
słońce, szli, trzymając się za ręce, nad brzeg
krynicy. Ona rączką białą czerpała krople kry-

sztalu, i niosła je do ust różanych, on patrzył na nią i mówił: «Lilio moja!»

— Ukochany mój! — odpowiadała szeptem.

Potem rozplatała warkocze, a poranne promienie słońca padały z pieśczętą tajemną na fale tę jasną, zapalając w niej złote, migotliwe połyski. On siedział u jej stóp i wzrokiem rozkochanym patrzył na jej twarz liliową, na włosów jej płaszcz długi, złocisty.

I brali się znowu za ręce, i na łąki szli kwietne, pod niebo błękitne, w powietrze jasne i wonne. Wietrzyk muskał ich twarze, i z ust jednych do drugich niósł wyrazy pieśczęoty.

A gdy słońca zaczynał wzmagać się żar, szukali chłodu leśnego i krynicy czystej.

Wśród konwalii i dzwonek, na kobiercu z mchów ona drzew słuchała szumu, pieśni lasu słuchała rozmarzona, on zbierał dla niej jagody i kwiaty.

Była w lesie polanka, która najsilniej nęciła ich ku sobie. Czy woda tam najdźwięczniej szmerła, czy najmiłośniej śpiewały tam ptaki, czy rosło tam ziele-czar, nie wiem, dość że usta tam same chyliły się do ust. Pocałunków ogarniał ich szal. I nie widzieli już błękitów nieba nad sobą, ni mchów, ni kwiatów dokoła, pieśni lasu nie słyszeli szumnej... Miłości płomieniem gorzeli oboje. Dwie pochodnie a jeden płomień!

Upojeń, zapomnień chwile spływają w wie-

czność tak szybko, tak chyżo! «Lilio moja» «Ukochany mój!» A las przykładem ich porwany gra nad nimi miłości czarodziejską pieśń.

Naraz, w pieśń tęskny jakiś wpada ton. Czy Lilii tak się wydaje, czy naprawdę w ogromnym hymnie puszczy słycać jakby płacz. Zawsze, o zawsze z upojenia snu budzi ją ta nuta dziwna, i wtedy rozplata ramiona, i serce jej żalności fala opływa, fala tęsknoty, pragnień niezrozumiałych, nieziemskich.

Czasami, gdy ukochany całuje jej usta, ona w przestrzeń pogląda daleką, i znów tęsknotą wzbiera jej lono.

Wtedy nie palą jej pocałunki jego. Wtedy ona od niego daleka. A on dziwi się i pyta:

— Co ci jest, Lilio?

— O ukochany, smutek jakiś padł mi nagle na duszę. Za wiele szczęścia, miły mój, za wiele! Radości naszej zazdrości jakiś niewidzialny duch, i gdy w ramionach twoich spoczywam, kwiatami tęsknoty obsypuje mi skronie.

— Najpiękniejsza! miłości takiej jak nasza niema na świecie, szczęśliwszych od nas nie było i nie będzie, ale nie mów słów smutnych. Pocałunkami wypalę je na ustach, na ustach twoich, kwiecie mój biały!

— O ukochany, gdy wieńcem z róż stroiłeś mi skronie, na czoło moje spadły dwie lzy. Ty

miałeś uśmiech na twarzy, ale ktoś płakał koło nas...

— To krople rosy były, o luba!

— Gdy o zachodzie słońca, przy wtórze lutni pieśń nucileś miłosną, jęł jakiś przeleciał w powietrzu.

— To puszczyk był pewno, o mila.

— Gdym zasypiała, marzeniem rozkosznem kołysana, ucichły naraz głosy słowicze, i z od dali odezwały się krakania orłów i kruków. Spojrzałam w okno. Wysoko, wysoko stado orłów leciało; one pewno od mogił leciały, mój miły!

— To sen był tylko, o dziecię!

Tak uspokajał ją, a ona patrząc w oczy jego czarne, ogniste, promienie wesela rzucające do koła, zapominała o tęsknotach swoich i o tych głosach żalności, co ze stron przeróżnych szły do niej.

Aż jednej nocy obudziła ją światłość, która niespodziewanie po całej chacie się rozlała. Czy to promienie miesiąca wpadły oknem i białą tak ściany, czy może świt bładny zagląda już!

Jużciż miesiąca to promień, ale po nim spływa do chaty postać jakaś świetlana, przepiękna, i dłoń ku niej wyciąga, i głosem podobnym do dalekiego szmeru harf ją wola: «Pójdź za mną! Jam to mówił do ciebie szumem puszczy i orłów krakaniem, skrzydłem mojem trącałem twą du-

sze i tyś odpowiadała mi drzeniem tęsknoty. Z wyżyn splywam ku tobie, by na wyżyny cię po-
ciągnąć. Ja ci pokażę słońce krwawe nad mogi-
łami zachody, ja ci usłyszeć dam wszystkie la-
sów płacze, wycia i jęki podziemne... chodź za
mną! W dyamentach lez się przejrzyysz, mgły
ukochasz i nici pajęczce. Po promieniach miesię-
cznych isć będziesz za mną ku górze, ku temu,
co niepojęte, nieogarnione. Porzucisz tego, któ-
regos ukochała na ziemi, i z harfą płaczącą za
mną isć będziesz!

A ona odrzekła:

— O Panie, poznaję cię. Tyś jest tym, za
którym dusza moja tęskniła nieświadoma. Głos
twój — poznaję — słyszałam w szumach le-
śnych i szmerach strumieni, w krakaniu orłów
i słowików śpiewie. Tyś jest pięknością i świa-
tłem, tyś... ideałem! Ale jakoż porzucić mi tego,
któregom ukochała. O pozwól i jemu pójść za
sobą.

— Jako ciebie, trącałem go skrzydłem mojem
złotem, ale ze snów ziemi nie powstał.

— Więc ja go zbudzę, pozwól mi!

— Promieni moich złotych garść sypię na
włosy twoje. Budź tego, któregos ukochała.

I odszedł duch świetlany.

— Lilio moja, jakżeś piękną dzisiaj — wo-
łał nazajutrz młodzieniec. — Jasność idzie od
ciebie!

I zdziwionym wzrokiem spoglądał na nią, i nie śmiał dziś, jak co rano, ust jej pocałunkiem powitać.

Jakaś inną, jakąś dalszą wydała mu się tego ranka.

— O ukochany mój, czemuś się nie zbudził? Piękny duch nawiedził nas dzisiaj. Pójdźmy za nim, w krainę światłości!

A widząc, że nie rozumie jej słów, i że żalem spogląda na nią, jęła opowiadać mu długo o postaci świetlistej, którą w nocy ujrzała nad sobą.

— O Lilio! Nie żal ci chaty i jaru, bluszczów zielonych i słowików? Miłości naszej nie żal ci, szalona!

— Ukochany! Są blaski silniejsze niż te, które dzień pogodny po łąkach kwiecistych sieje. Jest piękność wyższa od tych, które znaleźliśmy dotąd, są pieśni cudniejsze od tych, które ty mi śpiewałeś! Jest miłość świętsza od tej, którą serca nasze się kochały. O pójdźmy w kraj piękna i światła, w ideału kraj!

Ale on smutnie pochylił głowę i miękkiem, kuszącym głosem powtarzał: «Kocham ciebie! Kocham ciebie i miłości mojej kraj! Kocham usta twoje i oczy, młodość i piękność twoją! Nie opuszczaj mnie!

Oczy jej z tęsknotą i zachwytem podniosły krakaniem, skrzydłem mojem trącałem trącając

się ku górze, skąd ku niej splywała postać skrzydłata, promienna, przepiękna...

— Ukochany mój, za nim, lećmy razem!

Zjawiskiem nadziemskim olśniony, z przerażeniem na twarzy cofał się wstecz.

— Ukochany, rękę mi daj! Uściskiem złączeni popłyniemy w dal, ku gwiazdom.

Głowę pochylił ku ziemi, niby znużony i senny.

— Nie opuszczaj mnie! — prosił jeszcze pobladłymi ustami.

Ale ona już ze skrzydłami złotymi u ramion, za aniołem świetlistym w krainę gwiazd i słońc ulatywała.

III.

Orły.

«Hej, siostry moje, dorzućcie lucywa, niech ogień bucha!

W duszy mam powieść ognistą, a smętną, jak zachodzącego słońca blask ostatni. Dajcie wpatrzeć się w złote fale płomienia, a powieść sama z duszy jak lawa z wulkanu się wyleje». Tak mówiła czarnooka prządka o brwiach sokolich i smutnym zagadkowym uśmiechu.

Buchnęły płomienie luną krwawą, a ona prawi:

«Na szczycie góry siedziałam sama. U stóp mych były przepaście i urwiska, u stóp mych oddalony leżał świat. Iglicę skalną objęłam ramieniem, dookoła głowy mej płynęły chmury. I cisza była na szczytach. Aż z oddali głosy usłyszałam potężne. Orłów krakanie płynęło przez chmury. Zawolałam na nie... bo choć ja między wami prządka cicha, ale tam na szczytach ja orłów królowa... I zniżyły loty swoje, i jeden po drugim spadały na iglice skalne. A ja gładziłam pióra ich poszarpane w długiej powietrzem podróży i o przygody wędrowki dalekiej pytałam. Krwawe były dzioby drapieżników; w dzikich źrenicach płomień gorzał ponury. Więc poznałam, że z pobojuwiska wracają. Spojrzałam w stronę, z której przyleciały. Tam, za mgłami gdzieś, het, pole widać usłane trupami leżało, dla orłów i kruków zastawiony stół. Więc o biesiadę pytałam je krwawą.

Z zadowoleniem wycierały dzioby o skały: obfity był żer. Całem stadem krążyły nad głową moją, wszystkie razem kracząc urywaną powieść swą. Jeden, młody, wspaniały ptak kilka razy zajrzał mi w oczy, kilka razy musnął mnie piórami skrzydel. Więc wyciągnęłam rękę by usiadł na niej i pytałam:

— Orle moje, a byłyż tam w tych trupach, bohaterów serca?

Roześmiał się głośno dzikim śmiechem ptaków drapieżnych: Nie było! Nie było!

— Orłę moje, a byłyż tam serca, co kochały?

— Nie było! Nie było!

— Jam dostał na łup tchórza serce i każde pióro drży dzisiaj na mnie — krakał siwy sęp, stare, ponure ptaszysko.

— A ja serce tak suche, że w niem kropli krwi żywej nie było.

— A jam napróżno kuł dziobem w pierś pustą. Serca nie było w niej wcale.

— A ty, ptaku młodzieńczy, jakaż ty ucztę dziś miałeś?

— Okrutnika serce pożarłem. Napilem się krwi. Nie jego była! Krew czarna, ze słabych, bezbronnych wyssana!

I zawstydzilam się za mój ród ludzki, głowę zwiesilam na piersi, a orły widziały wstyd mój, i ucichły.

Wtem, w powietrzu jedne jeszcze zaszumiały skrzydła. Od strony pobojuwiska przez chmur tumany orlica leciała młoda. Gwałtownie bila powietrze czarnemi skrzydłami, i krakała zdala głosem podobnym do krzyku: «O biada mi! Biada!»

Wyciągnęłam rękę, by uspokoić ją, i dać jej wypoczynku chwilę. Usiadła i ludzkim jakby, bo żalnym wzrokiem, spoglądała w oczy moje.

— Co ci, ptaszyno?

Ptasią mową swoją skarżyć się zaczęła:

— Z braćmi razem poleciałam na żer. Trupami zasłana była niwa. Starsi rzucili się najpierwsi. Mnie dostał się ostatni w szeregu. Nie trup to był. Żył jeszcze, i takimi spojrzal na mnie oczami, że zawahał się okrutny orli szpon. Jego oczy mówiły: «Kocham was, wy pola, wy dalekie! W ostatniej godzinie kocham was». Potem ku niebu się zwrócili: «Żegnam cię, ty mojej!» A potem ku słońcu: «Do ciebie dawno, dawno rwała się dusza, a teraz uleci do ciebie...» I zamknął oczy błękitne. Szpony wpilał mu w nie gniewna, i wydrapałam te oczy łzawe... Potem pierś rozdarłam, i do serca dobrałam się dziobem. Krew z niego buchnęła gorąca, jasna. Ha, jad był w tej krwi serdecznej! Już ja teraz nie orlica, nie siostra wasza, bracia! Szaleńca serce pożarłam, i opętał mnie szal, miłości i tęsknoty szal.

Za nim, za nim na słońce polecę! Za nim! bracia bywajcie zdrowi!

I rozwinęła skrzydła poszarpane; przez mgieł i chmur tumany się przedarła, i prosto w górę, ku słońcu poszła złotemu».

* * *
Skończyła opowiadanie swe czarnooka, jaśnowłosa, i cisza trwała chwilę długą. Może

marzyły prządki o onej orlicy, co jadem — wys-
sanym z serca szaleńca, poety, czy bohatera —
pijana, na drogi poleciała słoneczna. Przygasł
ogień, szelesty wrzecion ucichły, i wicher tylko
zimowy grał swoje muzyki dzikie. Aż sennym,
powolnym głosem mówić zaczęła dziewica, któ-
rej źrenice były barwy mórza — zielonawe i jak
mórza głębokie:

IV.

361.

«Siostry moje, cóż opowiem wam? Odlaty-
wała dusza moja w przestworza dalekie, Ze
światłem księżycy schodziła w jeziora głębie,
przed jutrenki wschodem, zielonawym szlakiem
powietrza płynęła, w płomień zórz zapuszczała
się nieustraszona, nocami cichemi do gwiazd le-
ciała, pragnieniem i tęsknotą drżąca. I duchy
przeróżne na drogach tych spotykała, światy
dziwne widywała i nieznane.

I były one duchy jasne, inne jako cienie
olbrzymie przesuwaly się nad nią, inne jako
obłoki na niebie przerzucały się z kształtów je-
dnych do drugich, raz kwiatu kielichem strze-
lając w górę, to rzeki wstęgą fantastyczną wi-
jąc się po przestworzach nieskończoności, ruch-
liwe, zmienne, nieujęte.

Raz stanął przedemną duch, który jednej chwili zdał mi się młodzieńcem pięknym, drugiej — słupem ognia czerwonym. Wionął ku mnie żarem, i ognistymi biczami siekł duszę moją.

— Kto jesteś? — pytałam.

Odpowiedział mi: «Ból». A ja podeszłam ku niemu, i choć cierpienia siła nateżała się z każdą chwilą, padłam w otwarte ramiona jego.

Odtąd on zawsze jest ze mną. Wy go nie widzicie, ale ja czuję obecność jego. Uściskiem ognistym oplata mą duszę, topi ją w ognia swego żarach.

Nie odwracajcie się, nie trwóźcie! Kochanek mój potężny jest i mądry.

On duszy mojej dał siłę, której nie miała. On ją ostalił i hartowną uczynił. O siostry, komu ból był kochankiem, ten nie ułęknie się śmierci, i piekła nie ułęknie się nawet! On nauczycielem moim. On mi dał poznać prawdy, ukryte dotąd przed duszą moją. On mi pokazał piękno nietylko na szlakach podniebnych, ale i na nizinach ziemi. Przez niego pojęłam wymowę płaczu i jęku piersi żywej. Przez niego stała mi się jasną tęskliwa pieśń lasów i pól, wichrami szumiących. O nie lękajcie się! On dobry jest. W ogniu jego oczyściła się dusza moja i bielsza stała się i szlachetniejsza.

Więc ukorzcie się przed kochankiem moim,
i mówcie:

Pochwalony niech będzie B ó l, który daje
siłę! Pochwalony niech będzie B ó l, który nauczał!
Pochwalony niech będzie B ó l, który oczyszcza!

V.

Siew.

«Był ogródek malutki, zielony, a leżał wśród
pól piaszczystych, wśród ugorów wyjałowionych,
nagich i smutnych, na których tylko drobne,
nizkie, zaledwo od ziemi odstające ukazywały
się listeczki, lub gdzieniegdzie z pośród kamieni
zielska wyrastały szkodliwe, obłudne szaleje,
osty kolczaste, trujące bielunie, lub grzybów ja-
dowitych plenił się ród.

Nad stepem tym wisiało niebo mgliste, senne,
blade, i wichur czasem przeciągał zimny. A gdy
leciał polami temi bez życia, to poświst jego
gwałtowny zginał ku ziemi osty, i szaleje, i był
jedynym pustki tej głosem, jedynym jękiem tej
ziemi, i był jakby dzikim płaczem jej. A niósł
ze sobą tumany pyłów brudnych, szarych, i za-
sypywał nimi rodzącą się gdzieniegdzie zieleni
ogniska. I niósł ze sobą klątwę zniszczenia,
choć może życia chciał być wskrzesicielem, bo

lecać, był głucho, tęskno i rozpacznie. Gdy do-
latywał do ogródka, powiew jego łagodniał. Po-
szemrał pieszczotliwie w liściach drzew, wziął
ze sobą coś z woni bzów, lip i konwalii... i gnał
dalej a dalej.

Strażniczką ogródka było dziewczę białe, ci-
che, smutne. Ona to sadziła kwiaty i czystymi
polewała je łzami. Ona rzucała ziarna i wła-
snem, gorącym ożywiała je tchnieniem. I o zo-
rzy rannej, i o zmroku wieczornym można było
widzieć tę białą snującą się pośród kwietników.
A czasem wychodziła na pole puste, zamglone,
i ręce w krzyż złożywszy na piersiach, pa-
trzyła w siną dal.

— O pola, pola! — szeptały jej usta — czy
nad wami kiedy zbóż złocistych zakolysze się
fala?... O pola pustynne, czy na waszem łonie
nigdy nie rozpleni się życie? Czy wam już
zawsze rodzić tylko szaleje i trucizny?

— Pustynio, pustynio! — mówiły tęskne jej
oczy — o okryj się ty płaszczem zieleni wio-
sennej, zbóż szumnych zadzwoń muzyką, o bądź
ty znowu matką dającą życie!

I wołała dębów, których nasiona leżały w tej
ziemi, i sosen wołała szumnych, i jaworów zie-
lonych, by wstały i pieśń życia wniosły w mil-
czenie i ciszę śmiertelną tej pustki. A gdy stała
tak na wzgórzu, z rękami wyciągniętymi przed
siebie, prosta, wyniosła, surowa, zdawała się być

sama jodłą wysmukłą, mieszkanką jedyną tej ziemi zamarłej. Oczy jej płonęły, bo dusza jej pełna była ognia.

Dziewczyna z bohaterów szła rodu. Ale choć drżała cała wskrzeszeń pragnieniem, dokoła niej cicho było i glucho, i wiatr tylko przeciągał zimny.

Więc smutna bląkała się po tych bloniach jałowych. Aż raz zaszła na wzgórze, które było mogiłą bohaterów jej rodu. I ziemi tej wzięwszy szczypt kilka, zniosła je do ogródka swego i zmieszała z rolą swoich zagonów, a potem nie kwiaty jeła sadzić na nich, ale żołądz dębową i ziół leczniczych, i zbóż szumnych ziarna. Tak pracowała od świtu do zmroku, i błogosławiła siewowi swemu modlitwą, biciem serca i łzą.

Ale gdy nazajutrz dzionek zaświtał, biała dziewczyna leżała w ogródku swoim martwa.

I ucieszyły się duchy złośliwe, które tę błoń pustynną państwem swoim mieć pragnęły, ucieszyły się, że ogrodniczki upartej zabrakło...

Siostry moje, czy to koniec powieści?

Nie! Oto wracam z tej bloni pustynnej, i z ogródka wracam cichego. I mówię wam, na ziemi mogilnej pleni się siew. Wybująły zboża, i pod ziarn chylą się ciężarem, a gdy dojrzeją porwie je wichler, i na pola pustyni poniesie, i po stepie martwym je rozsiewe. Wybujal dą-

bek, a gdy dorosnie, rzuci żołędzie na puste ugory, i ziemia smutna lasem dębów się pokryje. Ogrodniczkę praca nie pójdzie na marne, o siostry moje! Pustynia zakolysze się zbożem, muzyką lasów rozbrzmieje. Pustynia żyć będzie!

I gdy tak mówiła, oczy jej promienne, jak dwie gwiazdy w przyszłość patrzyły tajemniczą.

długiej satyrze i nie, swoich znakomitych
 różowa polska. Tam nigdy młoda
 i sila, kochona, piasnki, tancilla, się na puasty
 kobiece traw. Głowa jej dotyka przewidywanego
 strumienia, a rękę prawa nieśie, do ust różo-
 wych, zaczerpnięte w koryciem, śródle, krople
 kłyształu. Jest swięta, jak dziecko,

Dwa laury.

Byłam w pracowni mistrza... nazwiska wam
 nie powiem, co wam po nazwisku?... Malarz był
 nieobecny; na artystycznej wycieczce odpoczy-
 wał po twórczej pracy, i zbierał materiały do
 nowych arcydzieł, które mu stosami złota i da-
 leko brzmiącą sławą opłacić miano.

Przyjaciel jego, wierne stare fac-totum, miał
 pozwolenie blizkich znajomych swoich wprowa-
 dzać przez ten czas do zakłętęgo przybytku,
 w którym mistrz sam rzadko bardzo i niechę-
 tnie natrętnych ciekawskich przyjmował. Wpu-
 szczono mnie samą.

Otoczył mnie świat szkiców, niedokończo-
 nych portretów, podmalowanych płócien olbry-
 mięgo rozmiaru; chaos, ale chaos imponujący.

Tutaj wychyla się do mnie twarz kobiety
 w balowym stroju, o cudnych, białych ramionach.
 Piękność jej nie ma w sobie nic świętego,
 ale jest pięknnością żywą, upajającą aż do
 szaleństwa. Powiadają, że ona to umiała naj-

dłużej zatrzymać u nóg swoich znakomitego artystę.

Tam nimfa młoda, o wiosennym wdzięku i sile, znużona płasami rzuciła się na puszysty kobierzec traw. Głowa jej dotyka przejrzystego strumienia, a ręka prawa niesie do ust różowych zaczerpnięte w krynicznej źródle krople kryształu. Jest swawolna, rozigrana jak dziecko, a piękna! Ba! Poznają w niej pannę X. z baletu... przedmiot uwielbienia złotej młodzieży stolicy i chwilowego, jak zwykle, upodobania genialnego kapryśnika. Ach piękne tu jest wszystko! Piękny jest ten biskup w fioletach, z tą charakterystyczną, mądrą twarzą swoją, piękny jest ten dżokej dobiegający do mety, piękne te dziewczęta uciekające tak niezręcznie przed chłopcem, który je goni... a przecież, przecież, czegoś ni by brak mi tu jeszcze, rozglądam się, szukam, niby coś więcej znaleźć tu miałam nadzieję... Ciekawie zbliżyłam się do stalug. Na rozpiętym płótnie, ostatnia, świeżo widać rozpoczęta praca artysty znęciła mnie ku sobie. Płótno całe było jeszcze białe, tylko w połowie jego dwie zupełnie wykończone główki dziecinne, dyabelka i aniolka patrzyły wzajem na siebie.

Mistrzu, co za dziwaczna fantazyja?! Czarny demonek, prawdziwie z piekła rodem, uśmiechał się słodko, niewinnie. Złotowłose cherubinek zło-

ścił się szkaradnie, aż mu się krzywiły śliczne, różowe policzki.

A, niechże cię Bóg kocha artysto! Choćbym wieki stała przed twoim obrazem, nie zrozumiałem, co przezeń powiedzieć chciałeś! Pendzel twój w szalonej ironii maczany szydzi z piekła i nieba zarazem. Dziwny obraz! Do śmiechu mnie pobudził z początku, a teraz, gdy wpatruję się w niego, z każdą chwilą mi smutniej i smutniej...

Eh, dajmy pokój temu! To brzydki i głupi obrazek. Ale czemu przyglądać się tu dalej? Wszystko mi jakoś sposepniało i zbrzydło w tej przepysznej, arcydzielami zapełnionej pracowni, a tamte dwie niedorzeczne twarzyczki wędrują za mną i kładą mi się na każdym płótnie, na balowej sukni damy i na pięknym biuście nimfy leśnej i na piusce światowego, o dyplomatycznym uśmiechu biskupa. Muchy uprzykrzone! Czyż się wam opędzić nie zdołam?!

Zniechęcona, zdenerwowana, niezadowolonym wzrokiem wodziłam po ścianach. Już miałam wyjść, gdy drzwi czerwoną portyera przysłonięte zwróciły moją uwagę. Jakaś niepojęta ciekawość przykuła zwrok mój do tej kotary. Czy to dalszy ciąg pracowni, czy też prywatne mieszkanie, do którego wchodzić nie wypada i nie należy? Dyabełek i aniołek z obrazu odrysowały mi się znowu wyraźnie na tle czerwonej

portyery. Niedyskretną ręką uchylilam zaslonę i nie zawiodłam się. Tam także były obrazy. Najpierw portret mężczyzny w stojącej postawie, naturalnej wielkości rzucił mi się w oczy. Zbliżyłam się żywo. Był to własnoręczny portret artysty. Jakże wam go opisać? Przedemną stał piękny mężczyzna w wykwintnym nowożytnym stroju; postać szczupła, drobna nawet, ale kształty tak szlachetne, harmonijne, tak estetyczne, że z przyjemnością patrzyłam na nią czas jakiś, nim oczy na twarz podniosłam. Błady, z puklami ciemnych włosów spływających na ramiona, pochylał lekko piękną głowę i z niewymownym sceptycyzmem spoglądał na zieloną gałązkę lauru, trzymaną w białej, artystycznej dłoni. Ach, jakiż zimny, ostry, obrażający był uśmiech tych ust skrzywionych! Z czego on śmieje się tak okropnie? Ale w miarę jak podnosiłam wzrok, szyderstwo nikło z tego oblicza, zastępowała je miękość niewieścia prawie i melancholia jakaś dziwna, niezrozumiała, a oczy choć ciemnymi powiekami nakryte, mówiły o rozpaczliwym, beznadziejnym bólu. Kontrast tych oczu smutnych z temi szalonymi ustami był przejmujący. Nad czarnymi brwiami — trzecia niespodzianka — wznosiło się dumne, spokojne czoło myśliciela. A jednak zapominało się o oczach i czole, aby wrócić znów do tych ust wyrafinowaną ironią napiętnowanych.

Cóż tam dalej? Kilka drobnych obrazków, a na końcu znów płótno większego rozmiaru. Oglądajmy po kolei:

Na wzgórkcu krzyż. Na jednym ramieniu chrystusowego drzewa usiadła ptaszyna i trwożnie spogląda dokoła. Pod krzyżem klęczy kobieta, a przy niej dzieci drobnych troje. Chmura straszna, czarna idzie ku nim jak kłątwa, jak zniszczenie, klębi się ponuremi falami i grozi gniewnie: pochłonę was!

Chłopcze czarnooki, smukły, wątły czemuż ty już dzieckiem z namiętną ciekawością ofiary wpatrujesz się w tę, co niesie śmierć i zagładę?! Czemu niby dumą, niby pogardą strzela twój wzrok?! A ty drugie, jasnowłose dziecko? Kto ci powiedział, że pioruny i gromy wyzywać można bezkarnie! Czemuś taki wesoly, taki nieustraszony, mój mały?! Czy w burzy żyć ci i umierać, tobie piękny, niebieskooki aniolku?!

Trwóż się dziewczeczko, trwóż się i tul do matki! Ty boisz się błyskawic i grzmotów, tobie dobry Bóg dać powinien niebios pogodę i ci-szę szczęścia.

A matka? Szczęśliwa! Ona nie widzi chmur, i nie widzi oczu swych dzieci. Wzrok i duszę utopiła w wizerunku Umęczonego. Cóż ją burze świata obchodzi mogą?! W sferach jej ducha błękit wieczysty.

Mistrzu, czy i ty miałeś taką matkę?

Przypominam sobie. Powiadano, że ty w domu podrzutków urosłeś.

Posępny był pierwszy obrazek, za to na ten hojną dłonią rzucił mistrz barw i blasków tyśiące. Pomarańcz, palm, granatów gaje, włoskiego nieba szafiry, włoskiego słońca jasny blask wszystko wydobyl z palety, i pod tem niebem południa przechadzać się kazal dwojgu cudownym dzieciom ziemi. Hej mistrzu, ten młodzian piękny jak starożytny bóg, to twój chłopiec jasnowłosy, z pod krzyża, to dziewczę to siostra jego! Oj, nie siostra! Nie z tym żarem w źrenicach patrzyłby on na siostry postać kochaną! Pod spojrzeniem brata nie różowilaby się tak blada, liliowa twarzyczka. Jeszcze chwila, a usta ich łączą się w namiętnym uścisku. Ach, wstrzymajcie się! Jest ktoś, co smutnym, żalonym wzrokiem wodzi za wami. Dzieciak czarnooki z pierwszego obrazka w posępnego wyrósł młodzieńca. Zazdrości, ni gniewu niema w jego sercu, tylko uśmiech bolesny osiadł mu na licach.

Nie dla niego ten profil czysty a bohater-ski, nie dla niego ta postać dziewczęca, uroczą!... W dzieciństwie była im może siostrą, ale gdy dni dzieciństwa minęły, dziewczyna wzięła im dusze. Co życie z tą miłością uczyni?

Obraz trzeci:

Do ataku! Leca. Słońce przegląda się w do-
bytych pałaszach, wichry całują im rozognione
twarze. Poznają cię chłopcze jasnowlosy! Z pie-
śnią, z uśmiechem szczęścia na ustach, zu-
chwaly, hardy, jak zawsze, pędzisz... W tan!
W tan! Bóg z tobą chłopcze! Od szczęśliwej twarzy
pierzcha wróg. Twój brat za tobą. Wielkim,
świętym ogniem natchnienia płoną mu czarne
żrenice. On nie jak na gody, on jak kapłan idzie
do boju. Ha lećcie, lećcie anioły bitw, skrzy-
dlate duchy burz!...

Ostatnim wysiłkiem, ostatnim gniewu pory-
wem biją się. Już tylko kilku ich zostało. Trupy
bratnie dokola i wrogów zastępy... Piękny chłop-
cze, gdzie twoja pieśń zapału?! Tyś brata wła-
sną, młodzieńczą pierśią zaslonił, a wróg ją
przeszył bagnetem i teraz zwisłeś w jego ramio-
nach jak kwiat podcięty. Jeszcze pogoda nie
ustąpiła ci z czoła, jeszcze się na niem marzą
ukochanej pieśni wyrazy... A ta, co twego po-
wrotu tam czeka? Pomyślałżeś o niej w chwili
śmierci, bohaterze młody!

Klęska! Klęska! Szczęśliwi ci, co tam na pobo-
jowisku zostali! Niezapominajki im łożyskiem,

świeży wicher polny pieszczotą! Tyś tam nie został. W lochu ciemnym cię zamknięto.

Kropli krwi nie masz w twarzy, nieprzeleczonych dni więziennych ślady wyrwały ci się na czole woskowej barwy, na ustach gorączką spalonych, w oczach, jak dwie gromnice gasnące, ostatnim blaskiem błyszczących.

Do czego tak rękę z upragnieniem wyciągasz? Ach, tam za kratą na korytarzu postać wysmukłą, cudnego smutku i żałoby pełna, postać ukochanej twego brata. Widzisz, przyszła do ciebie! Przyniosła ci na bóle i męki twoje lekarstwo. Nóż ostry, błyszczący ci podaje. Strażnik więzienny odwraca głowę, udaje, że nie widzi. Pożegnaj ją i weź nóż! O dziewczę! Któregoż ty z tych dwóch kochałaś?! Tamtemu dałaś pierwszy twój dziewiczy pocałunek, temu niesiesz sztylet, który zmęczone ciało od męki i hańby ocali, który wolną jego duszę czystą, nieskalaną przed tron Boga zanieśli!

Któregoż ty z tych dwóch kochałaś?

Gorejące oczy wznosił do góry. Na twarz już trupia wystąpiła bledź; te oczy jedne żyją, żyją całą siłą nagromadzonego w nich wyrazu! Jest tam i blask nieziemski, ale jest i żal, jest i ból, ależ bo on na tej ziemi czcił i kochał tak wiele, a wszystkie swoje wiary i miłości

zabiera ze sobą i odchodzi wrzący, jak był za życia.

Ręka szczupła, wychudła wciska w piersi mordercze żelazo. Krew strugą czerwoną wypływa mu z rany. Płyn krwi męczeńska! W proch padam przed tobą! Boże, zabierz duszę tę! Czy ci nie dosyć piękna, czy ci nie dosyć święta?!

Już po wszystkim! Już tylko mogiła! Leżą w niej obadwaj, a ty matko przyszłaś dzieciom swoim wieniec położyć! Przyszłaś i ty siostrzyczko ich smutna! Jak lilia złamana tak chylisz się na ich mogile. Łamiesz ręce i warkocze twoje złote pieczęzą ich grób zielony. Wszystko, prawda, wszystko twoje tam pod tą mogiłą? I ten młodzieńczy, jasnowłosy brat twego dzieciństwa i tamten święty zakonnik boży! Obadwaj dziewczyno!

A matka? Ta rąk nie łamie i lez nie leje. Wawrzyn przyniosła im na grób! Kto w zakonie bożym umiera, lez mu nie trzeba. Laur i palma!

Jak w gorączce biegłam wzrokiem od obrazu do obrazu, pochłaniając duszą myśl każdego, aż nagle na tej mogile urwało mi się wszystko.

Teraz ten większy, ostatni. Cóż ja tam znajdę jeszcze? Buduar kobiety, czy gabinet eleganckiego mężczyzny? Czerwone portyery przyćmiewają światła blask zbyt jaskrawy, miękie dywany gluszą szelest kroków. Co za półcień drażniący, rozkoszny, jak w nim nikną wszystkie ostrzejsze kontury, jak zlewają się i łączą ze sobą! Ten pokój, to rozkosz dla zmysłów, mieszkanie sybaryty dziewiętnastego wieku. Wyobrażam go sobie, jak w gorące popołudnie wpólnie tu spoczywa... lekki szmer u drzwi, to portyera się uchyla, to szelest sukni, on sły-szy, ale nie otwiera oczu — to oczekiwanie jest rozkoszne — szelest się zbliża... i... ale nie ma-lujemy na własną rękę! Ten sybaryta, co tu usiadł w rogu miękiej kanapki, nie czeka na nikogo. Pochylił głowę i ukrył twarz w rękach, a w tej postawie schylonej taka jest boleść widoma, iż przysiągłbyś, że łkanie rozpa-czy pierś mężką mu rozrywa.

Ktoś ty? Te pukle włosów... te dłonie białe?... Poeto-malarzu! Gdyby ten bólem złamany opu-ścił ręce, czy nie twoje blade, szyderskie obli-cze wyjrzałoby z po za nich? I czemuś je za-krył artysto? Czemuś je zakrył w chwili, gdy najpiękniejszem być musiało, gdy strumień łez żywych zmył jad sztucznego sarkazmu z sub-telnych wążkich warg twoich?! Ty płaczesz człowieku! Płaczesz za tem, co — wiesz do-

brze — nigdy ci się inaczej jak w marzeniu
sennem nie zjawi! Nie dla ciebie bohaterów lot,
ni męczennika ekstaza, nie dla ciebie nawet
młodej miłości czar! Wina w tem twoja i nie
twoja. Duch czasu winowajcą. Śmiej się, śmiej
z lauru, który włożono ci na skronie.

Noc bezsenna.

«No, nareszcie robota skończona, numer gotów pod prasę, ale też i sen uciekł tymczasem od powiek! Dwie godziny temu walczyłem z nim rozpaczliwie, teraz nie usnę, mimo największych wysiłków nie usnę! Ach, jakże ja jestem strasznie fizycznie i umysłowo znużony! W pół do czwartej, świt błysnie niedługo, a z nowym dniem nowa praca czeka. Ach, gdyby choć godzina cichego, spokojnego snu! Ha, zabawne żądanie! Cichy sen nie dla takich wyrobników, jak ja. To zbytek, na który tylko szczęśliwi pozwolili sobie mogą. No, dajmy temu pokój! Przejrzę jeszcze raz ten numer... litery skaczą mi przed oczami... nie, nie mogę. A z resztą, po co? Przecież ja go i tak cały prawie umiem na pamięć. Wiem, że wszystko w nim bezbarwne, liche, jałowe, jak dusza moja w tej chwili. Ten wiersz n. p.! Kiedym go pisał, zdawało mi się, że jest tam sporo miejscowego kolorytu, jest trochę uczucia. To były widać tylko

zwykle urojenia miłości własnej. Teraz patrzę trzeźwo i dziwię się, jak mogłem coś podobnego całem nazwiskiem podpisać. Ano ma jedną zaletę: jest na czasie. «Wiosna» setki takich wyrobów od marca do czerwca zapelniają szpalty naszych pism. Boże! Boże! Jakież to wszystko zużyte! A ten artykuł! Niby to potrąca o kwestye t. z. żywotne, ale napisany ciężko, niejasno. No cóż robić, ja na nic więcej zdobyć się nie mogłem. A z resztą, na coby to się przydało?! Kto go weźmie do ręki, kto przeczyta do końca, a nawet przeczytawszy, kto zrozumie? Jest tam kilka myśli... ot zatrzymywać się nad tem nie warto. Za parę godzin trzeba będzie rozpocząć na nowo i znowu toczyć pod górę ten kamień... obrzydliwa robota! A te korekty, ta administracyjna strona wydawnictwa! Nie, nie, stanowczo za wiele tego wszystkiego! To nad moje siły!

Za wiele? A cóż byloby, gdyby było mniej? Od samego przypuszczenia zimno mi się zrobiło. Piskląt moich głodnych usłyszałem kwilenie. Dajmy i temu pokój!

Kto czyta, kto czyta to wszystko, co z taką męką mózgu ludzkiego powstaje? Publiczność ta, dla której tyle wysiłków się ponosi, stoi przed nami z twarzą sfinksa. Wzrok mój padł mimowoli na spis prenumeratorów i wykaz stacyj pocztowych. Szeroko, szeroko rozchodzi się to

biedne piśmko nasze. Pojedyncze numera gdzieś aż pod biegun i pod równik wędrują. Czytają je ludzie u nas pod zielonemi lipami, czytają pod palącym promieniem południowego słońca i przy blasku, co od śnieżnych równin przez zamarznięte szyby do pokoju im wpada. Czytają, a z jaką myślą czytają? W cieniu palmy na przykład, takiej palmy, jak ta moja pod oknem, tylko nie suchotniczej, marniejącej w zimnym klimacie jak ona, ale takiej wysmukłej, pod niezmacony błękit wybiegającej gałązkami?... dziwna rzecz, jak ta palma rośnie mi w oczach!... i blaski takie koło niej, jak tam, pod niebem południa... Miraż jakiś!... Szalenie muszę być zdenerwowany. Za moją palmą cały las innych, błękit nad niemi... dalej piaski żółte... i wstęga Nilu...

Ja tego wszystkiego nie wyobrażam sobie, ja to wszystko widzę, widzę faktycznie! Mózg mój szopkę jakąś organizuje dla mnie. Tem lepiej! Kilka męczących godzin znośniej może upływać. Obrazy moje zaczynają zaludniać się. Pod temi palmami widzę dwoje młodych. Suknie ich pół-europejskie, pół-wschodnie, typy słowiańskie. Ja, zwłaszcza ja, gdzie ja ja widziałem?! Znajome mi te oczy ciemne, z ciemną lekko namarszczoną brwią, przy jasnych, lnianych prawie włosach. Cudowna dziewczyna! Porywa mnie moje Fata Morgana. Co oni czytają, chodząc pod

rękę? Dalibóg, mój wiersz! Moje własne słowa płyną ku mnie... słyszę je... przyciszone, bo z południowej płyną oddali, ale wyraźne. Jak one w tych usteczkach koralowych brzmią!

— Wiosna! — zakończyła szeptem i rzuciła się młodemu człowiekowi na szyję.

— Henryku, pamiętasz, taka wiosna była na świecie, gdyśmy się pierwszy raz widzieli, takie wody rozpuszczone szumiały, taka była woń fijołków w powietrzu, a serce tak tajemniczo, tak radośnie biło w piersi! Czy ty to pamiętasz? Tu brzydko mój drogi! Tu niema wiosny, takiej wiosny Henryku, jak ta pierwsza naszego poznania! Po co w te skwary ponieśliśmy miłość naszą? Ona tu uwiędnie, zobaczysz. Henryku, ja wiosny, tamtej wiosny chcę! Rozumiesz?

— Czy ja rozumiem? Ależ dziecko, jutro wracamy do domu! Tylko pierwej usta twoje do pocałunku mi daj!

I utonęli w uścisku wzajemnym, tak gorącym, jak to powietrze południa, w którego rozpalonych, świetlistych falach coraz mi jaśnieli... bledli... i znikli. Ładna była wizya. Teraz mi ciemno przed oczami i głowa boli okropnie... Powoli ból przechodzi, coś nowego zacznie się widać. Czy ja oszalałem? Ha, niech i tak będzie. Patrzmy!... Co to jest? Stodola? Doprawdy stodola! Czterech urwisów rozłożonych na słomie w sąsiedku czyta... i czyta co? Mój dziennik!

A w moim dzienniku — mój artykuł! Najstarszy, lepiej trochę od innych ubrany, wziął na siebie urząd lektora. Temu chłopakowi dobrze z oczu patrzy. Dwóch jasnowłosych w chlopskich swiatach, opalonych, jak cygany, słucha go, szeroko otwierając usta. Czwarty ręce podłożył pod głowę i rozmarzonymi błękitnymi oczami, przez dziury w poszyciu goni obłoki przelatujące po niebie. Czytający przerywa sobie i komentuje miejsca ciemniejsze. Komentuje po swojemu, ale nieźle, tylko że dalej, dużo dalej idzie, niż ja. Przypisuje mi myśli, których — przyznaję — nie miałem wcale. Szelma chłopak! Zdaje mi się, że on dobrze wie, czego ja chcę, ale sam chce czegoś innego jeszcze i pod słowa moje własne myśli podkłada. Powoli wszystkim im rozpalają się źrenice, leżącemu poecie tylko mgłą rozmarzenia zachodzą. Czytający zrywa się i zaczyna perorować, tamci znów szeroko otwierają usta. — No, zrozumieliście? Zrozumieli wszyscy, zapewne znowu każdy po swojemu. O sto mil zostałem po za nimi z moim artykułem. Młodości, młodości! W twojem ręku suche źdźbło na kwiat się przemienia!

— Lubię tego autora — powiada, składając dziennik, piętnastoletni przewodnik zgromadzenia.

— Wiesz, to musi być szlachetnego charakteru człowiek — odzywa się po raz pierwszy rozciągnięty na słomie marzyciel.

Mają przytem miny tak poważne, że śmiać mi się chce z nich serdecznie, a raczej nie, ja pragnąłbym ich wszystkich do piersi mojej przycisnąć... ale już szybko, szybko oddalają się ode mnie... maleją... ogniste źrenice najstarszego chłopca najdłużej świeciły jeszcze i te już zgasły. Jak mi lekko i dobrze! Woń lip zalatuje ku mnie...

Skąd ta woń? Ach, lipa przedemną rozłożystą, złotawym kwiatem obsypaną, roje pszczoł brzęczą dokola. Pod drzewem stół, przy nim cała rodzina zebrana. Jest i starzec siwowłosy, jest dwóch mężczyzn w średnim wieku, kobieta blada, niemłoda, dziewczę szesnastoletnie i chłopiec wyrostek. Jeden z mężczyzn czyta głośno przyniesioną z poczty gazetę, inni słuchają. Rozmowa, gwar... każda nowina ze świata ich zajmuje, każdy telegram wstrząsa i do najrozmaitszych przypuszczeń otwiera pole. Szczęśliwi ludzie! Oni jeszcze wierzą gazetom! Tylko mój wiersz jakoś nie zwrócił jeszcze niczyjej uwagi, niema tu widać zwolenników poezyi. To ludzie pracy i do pracy też rozbiegli się wkrótce, pozostał tylko siwy starzec i jeszcze raz drżącą ręką ujął mój dziennik. Założył okulary i czyta... Wiosnę... Eh, połóżcie to lepiej, panie. Nie dla zmarszczek i siwych włosów to pisane. Ale, co ci to staruszkę? Czyś ty w tym wierszyku wspomnień jakich odgrzebał czar? Po ciemnem, pomarszczonem licu cicho splywa łza. I tobie

widać kiedyś na wiosnę grały fujarki pastusze... i ciebie do życia prąd wiosenny rwał!... Staruszkę, dzięki ci za te lzy!

Odwróciłem na chwilę oczy i już go niema...

Ach, jaka smutna kobieta! Od zamarznionych szyb białość dziwna pada jej na twarz, a czarne rzęsy jak krepa żałobna ją stroją. Przy niej dziewczynka mała, ośmioletnia, oczy ma w matkę utkwione i cała zasluchana, bo z ust tej smutnej płynie znowu moja rymowana Wiosna, a słowa jej od mroźnych kwiatów na szybach odbijają się i lecą głuche... gdzieś... w próżnię.

— Ach, mamusiu, jaka to śliczna ta wiosna. I kwiatki są, mamó, i ptaszki i łąki całe zielone?!

— Tak, moja dziecińko, i kwiatki i ptaszki i łąki całe zielone — mówiła, obejmując współsmutnem spojrzeniem rozradowaną twarzyczkę dziewczynki.

— I tam już teraz tak ładnie, mamó? A tutaj, mateczko, czy prędko będzie wiosna?

Kobieta smutnie pokiwała głową.

— Mamó, czy tu nigdy nie będzie wiosny? — z niepokojem pytało dziecko, szeroko otwierając niebieskie oczęta.

— Będzie, będzie! Uspokój się Zosiu!

— Ach, jak to dobrze! I kwiatki takie będą, mamó?

— Nie! Takich kwiatków tu nigdy nie będzie! — zawołała glucho, jakby własnym myśлом nie dziecku dawała odpowiedź. Podniosła się żywo, wzruszona podeszła ku oknu i na tle tych białych, zamarzniętych szyb wysoka, smukła jej postać rozplynęła mi się jakoś. Już jej nie widziałem potem...

Przychodzę do siebie. Lampa czerwonym płomieniem pali się na stole, światło dnia wpada do pokoju. Mary pierzchły. Fantasmagorya skończona! Otworzyłem okno; wschód czerwieni się na niebie. Chłodne powietrze poranku ożywczo wpada mi do płuc. Czy ja spałem? Nie wiem. Siłę dziwną czuję w sobie. Ani śladu znużenia! Lepiej mi, niż gdybym dobę całą odpoczywał. Teraz do pracy!»

Błądny ogień.

Przyszła mi raz ochota odwiedzić dawną przyjaciółkę, towarzyszkę lat dziecinnych, współniczkę najpierwszych marzeń i snów szalonych. Dusza to była moja siostrzana, a los ją odniósł daleko, jak prąd fale rzeczne od źródła odnosi. W dziwnej mieszkała okolicy. W miarę jak zbliżałam się do jej ustroni, coraz wyższe piętrzyły się tam góry, coraz gęściejsze rosły na nich lasy, coraz bardziej gwar świata przycichał. Domek jej stał na górze, ścianą jedną przyparty do skały, jak gniazdo dzikiego ptaka. Z okien jego widać było wielką, zieloną dolinę, za nią ciągnęły się góry i lasy, a nad niemi wisiał szmat błękitu, albo czasem z hukiem przelatowały wichry i burze. Dziwnie rozległe i widno i powietrznie było dokoła. Dusza do śmielszych zrywała się tam lotów, myśl nizinami życia wzgardziwszy, biegła ku szczytom.

— Ramiona wyciągam ku tym górom twoim, na wszystkich wierzchołkach chciałabym być

jednocześnie, pić pełną piersią aromat tych lasów, tych wichrów czuć potęgę — mówiłam do towarzyszki lat dziecinnych. Ale ona uśmiechała się trochę smutno i nie chciała dzielić uniesień moich.

— Milszą mi woń wspomnień dzieciństwa, którą przynosisz ze sobą — mówiła — potężniejsze były naszych serc porywy. O nie odchodź, nie odchodź ode mnie! Pamiętasz...

I roztaczała przedemną zapomniane już w części obrazy i sceny, potraçała o zamilkłe od dość dawna struny, a przeszłość jakby na zaklęcie jej wstawiała żywa, świeża, jak wiosna, pełna wiary dziecinnej, pełna kwiatów nadziei, miłości. I dobrze nam było razem. Zapomniałam przy niej o tych widnokręgach szerokich, co z taką siłą ciągnęły mnie ku sobie. Wieczór nadszedł. Przez otwarte okno woń kwiatów górskich płynęła do pokoju, cienie zaległy góry i lasy, z za chmur od czasu do czasu błyskały promienie księżyca. Stałyśmy przy oknie, wciągając w piersi oddech tej nocy cieplej, cichej, wonnej i żadna z nas nie miała ochoty przerywać panującego milczenia.

— Co to za zwaliska? — rzekłam wreszcie — dziwna rzecz, w dzień nie zauważyłam ich wcale — teraz dopiero, gdy padło na nie światło księżyca, zabielały pośród ciemni lasów.

— Ruiny. Niegdyś zamek warowny stał tu podobno.

— Ach cudnież tu u was! Krajobraz cały w tym mroku nocnym wygląda jak tło do legendy. Powiedz mi jaką...

Zwróciłam na nią oczy, ale zdawało mi się, że nie słyszała ostatnich słów moich, bo wzrok utkwiała w jeden punkt doliny, wpatrując się w niego z wyrazem niepokoju i wzruszenia na twarzy.

Tam, po łące, wśród bagien i trzęsawisk przechadzało się nagle, migające światełko. To stało w miejscu, wznosząc się ku górze wąską, świetlaną smugą, to jakby rozpaczą obłąkane, jakby szalejące z bólu, jakby szukające czegoś, czy kogoś, latało po całej dolinie, zataczało dziwaczne kręgi, wracało i uciekało znowu. Potem tajemniczy płomyk jakby zniechęcony tą długą wędrówką po dolinie, podleciał i usiadł na jednym skrzydle starego, zniszczonego zameczku i cichy, a świetlisty przechadzał się zwolna po zrujnowanych basztach, po poszarpanych gzem-sach, po strzelnicach patrzących pustymi oczami. Zmieniał wciąż barwy, z fioletu przechodził w purpurę, z purpury w zieleń, albo w smutne światło opalowe, i blaskiem własnym stroił miłośnie stare zwaliska. Na chwilę zdawały się ożywiać, przybierały dawne kształty wspaniałe, ale gdy odleciał, zapadały w poprzednią mar-

twotę i nędzę starości. Więc smutny zleciał płomyk w dolinę i znowu przelatował z miejsca na miejsce i przygasał i rozpalał się znowu — tulacz błędny.

Spojrzałam na moją przyjaciółkę.

— Kto on?

— Posłuchaj — rzekła. — Niegdyś na tem miejscu wielkie ognie gorzały, tu plonęły dusze żarem pragnień, żarem ofiary i bohaterskich poświęceń. Po tem polu przechadzał się płomień walki i palił i dusze ofiarne do śmiertelnej białości rozgrzewał. Na tem polu ścierało się życie ze śmiercią, a potem wszystko ucichło, przygasło, wypaliły się dusze i z wielkich, krwawych płomieni ten jeden blady, błędny ognik pozostał.

Spojrzałyśmy sobie w oczy.

— Czy myślisz, że wielkim płomieniem nie rozpali się już nigdy?

Smutnie opuściła głowę.

— Powiadają, że świeci, ale nie grzeje.

— Nie wierz temu! — zawołałam. — Jeśli on resztką tych ogni, co gorzały tu niegdyś, to rozpali się znowu, i słupem ognistym, ofiarnym wybuchnie ku niebu.

— A jeśli zgaśnie pierwej? Jeśli luczywa na stos ofiarny nie stanie?

— O serce małej wiary! Ten ognik błędny ma w sobie siłę nieśmiertelną. Nie zgaśnie on, i luczywa na stos ofiarny ci nie zbraknie! Przy-

śla ci lasy swoich dębów konary, przyśła ci góry kosodrzewiny gałązki, snopy pól przyjdą i na stos ofiarny się położą!...

I długo, długo w noc mówiliśmy jeszcze o ogniach, co płonęły niegdyś i o tych, które dopiero rozpalic się maja, a gdy sen ogarnął mnie w końcu, to śniłam, że z błędnego ognika płomień rozgorzał olbrzymi i w pomrokę nocną słał promienie światła i ciepła!...

Sen artysty.

— «Słuchaj, przestań ty już raz rzepolić! Co za człowiek! Od godziny wygrywa ci tę jakąś dziadowską sonatę...

— Spytajcie go, na jakim odpuszcie on się tego nauczył?

— Mistrzu, przez szacunek dla twojej przyszłej sławy!...

— Przez szacunek dla sztuki!...

— Dajcie mu pić, już ja go znam...

Tak, tak! Dajcie mu pić! Na tę artystyczną naturę nic nie wpływa tak kojąco, jak trunek.

Obskoczyli mię dokola z kieliszkami w rękach i przemocą oderwali od fortepianu. Mam zwyczaj nie oponować nigdy tak energicznie wyrażającej się woli większości. Brałem więc po kolei, z rąk każdego z nich wyciągnięty ku mnie kieliszek, i spełniałem do dna. A gdy ten akt pokory i uległości z mej strony spełniony został, weszli moi towarzysze, ujęli mię pod ręce, i poprowadzili do stołu, przy którym uro-

czystymi obrzędami, w ściśle zamkniętem kole święcić mieliśmy dwudziestą rocznicę mojego przyścia na świat. W symbolice obrzędu najważniejszą rolę grały, rozumie się, kieliszki i butelki — puhary i amfory, jak wyrażał się jeden z obecnych, chorujący zresztą na manię pisarską.

— Bierz puhar, przyjacielu! — mówił do mnie. — Spelniamy toast za twoją pomyślność. Obyś grał zawsze, tylko nie wtedy, gdy przyjaciele chcą pić z tobą!

Hałaśliwe toasty sypnęły się jeden po drugim.

— Czy nie mógłbyś powiedzieć mi, czyjego natchnienia płodem był ten potwór, ta okropność muzyczna, którą torturowałeś nas przed chwilą?

— To było moje.

— Aha! Koledzy, złóżmy mu naszą zbiorową kondolencję!

— Daj mi pokój! Czy ty się na tem znasz!

— Ja się nie znam, ale inni powiedzą ci to samo. Pytaj!

— Nie przypominajcie mu lepiej! Patrzcie, jakie ma oczy zamglone, jak zwykle, gdy go muzyka opęta. Gotów znowu zacząć grać.

— Ciebie jednego pytam. Czy i tobie nie podoba się ten kawalek?

— A. przyznam ci się, że nie słuchałem. Władek tyle plótl tymczasem... Z tego jednak, co

mi dolatywało do uszu, zdaje mi się, że to dziwactwo jakieś, coś dzikiego... Gdzieś to pochwylił?

— Widzisz, to było w Bretanii..

— W Bretanii! — ozwał się cały chór. — Dosyć! Nie chcemy słyszeć nic więcej. Zdrowie twoje!

I znowu zahuczały toasty, podniosły się śmiechy, okrzyki, wrzawa.

— Widzisz, nie wsłuchałeś się dobrze — usiłowałem tymczasem przekonać jedynego w towarzystwie znawcę. — Opowiem ci, jak to powstało?

Nad morzem...

— Daj pokój! lepiej trąćmy puhary!

— Ale posłuchaj, przecież ty poetą jesteś podobno — mówiłem błagalnym głosem, bo spełniane jeden za drugim kielichy nastroiły mnie na dziwnie miękki, melancholijny ton — powinienś to odczuć, zrozumieć...

— Pij bracie! — odpowiedział mi na to. — Pij i nie mów nic! Muzykus każdy źle robi, kiedy zaczyna gadać.

— A jeszcze gorzej, gdy zaczyna grać.

Ha, więc palem, a raczej piliśmy. Amfory wypróżniały się jedna za drugą. Poeta nasz wpadł w liryzm i całując nas wszystkich, zapewniał ze łzami, że co do niego, on nie ma najmniejszego talentu, lecz za to ja, ja jestem duszą wielką, twórczą, artystyczną, jak tego

dowodzi choćby ten prześliczny urywek grany przeze mnie przed chwilą.

— Klękam przed tobą — mówił, usiłując napróżno zamienić słowo w czyn.

Wszystkim nam potężnie szumiało w głowach. Ktoś zanucił jedną ze znanych powszechnie piosenek. Pochwycili ją intni i zerwała się burza młodzieńczych głosów, silna, nieokreślona... Jedną po drugiej przypominano sobie najrozmaitsze melodey, śpiew płynął i w ciszy nocnej rozchodził się daleko. Mnie tylko między śpiewającymi nie było. Mnie w uszach grała jeszcze wciąż tamta wzgardzona, obca, sieroca piosenka. Taka była dzika, taka smutna i z taką, jak mi się wydawało niezmiernej doli czasów szła ku mnie.

Powoli słaby głosy i milki śpiew. Wreszcie rozeszli się wszyscy.

Pozostały po nich tylko jakby echa poplątanych słów, śmiechów, okrzyków. Byłem znów sam, sam z moją pieśnią.

Usłyszałem ją pierwszy raz w Bretanii, w Bretanii mglistej, melancholijnej, cichej. Codziennie przed wieczorem wychodziłem nad brzeg morza, i patrzyłem, jak fala jego rozbija się o białe przybrzeżne skały. Aż jednego razu, gdym tak stał pod tchnieniem wichru morskiego, wydało mi się, że słyszę jakąś smętną dziwaczną melodey. Zaczynały ją niby żalonym krzykiem

mewy, których stada skrzydlate wirowały nad skalami, potem tym mewom białym porykiem fal, głuchym, głębokim porykiem odpowiadało morze, potem nagle wicher zaśpiewał jakąś straszłą, przeciągłą skargę, jakby jakieś wołanie o pomoc, któremu fale oceanu odpowiedziały z dala: oto idziemy. I powtarzało się to kilka razy. Wicher wyl, szamotał się, zrywał, a fala basowym tonem huczała groźna. Od czasu do czasu odzywał się żalosny płacz białoskrzydłych mew. I była w tem wszystkim jakaś melodia ogromna, dzika, urywana, taka żalosna, jakiej nie słyszałam nigdy.

Od tego wieczora spędzonego nad brzegiem morza chodziła za mną ta pieśń dziwaczna dzień cały, dźwięczała mi w uszach i prosiła się: weź mnie!

Więc wziąłem ją. Jak inni odłamek skały, lub kwiatek, tak ja ją zabrałem sobie na pamiętkę.

Ile razy potem zagrałem ją, przed oczyma wstawały mi zaraz białe skały nadbrzeżne i mewy skrzydlate, daleki przestwór oceanu i smutne barwy jesiennego wieczoru Bretanii. Dziś po raz pierwszy pozwoliłem jej zadźwięczeć przy ludziach, i ludzie obrzucili ją urągówiskiem, słuchać nie chcieli.

Kto ty jesteś, piosenko-sieroto? Kładę ręce na fortepianie; melodia twoja, melodia mój,

wichrów jesiennych i mew plynie mi z pod palców.

Oto znowu, jak wtedy, płaczem zanoszą się mewy, basowym tonem odpowiada fala, wicher zrywa się i wyje przeciągle... To już nie ja gram, to przyroda Bretanii gra sama. W powietrzu tak szaro, tak mglisto... a pieśń dźwięczy i dziwnym, wojowniczym rytmem się lamie... jak tu mglisto, jak dziwnie... widma jakieś wstają dokola... to pieśń ta stara zamarzy jakiś świat wywołała z mogiły. Co za postacie?

Tuż przede mną człowiek, czy cień? Olbrzym-wojownik stoi, skórą zwierzęcą okryty, nagiem ramieniem o maczugę drewnianą się opiera i słucha pieśni... oczy żarem mu płoną, pierś się podnosi... potrząsa głową, której włos długi, płowy spada na ramiona... za nim cieniów podobnych wstają zastępy... Co za perspektywa daleka otwiera się przed moim wzrokiem? Błonie, mgłami zasłane, a na niem wojowników dzikich gromady, za nimi kobiety ich w długich, białych osłonach, niby mew morskich stada. Pieśń rytm wojenny przybiera, wojownicy podnoszą maczugi, ogień tryska im z oczu, pieśń przyspiesza tempo... ruszyli pędem i zniknęli w szarych mgłach. Teraz tylko morze huczy zdala, kobiet białe postacie słaniają się po polu i słyhać długi, przeciągły lament mew.

Cisza... nic już nie dźwięczy i niema pola

zasłanego mgłami, i wojowników tych, ni niewiast ich niema. Siedzę na tem samym miejscu, gdzie zostawili mnie przyjaciele, odchodząc. Nie grałem wcale. To sen był tylko. Sen... ale teraz już wiem, czem jesteś piosenko-sieroto!

Byłaś kiedyś hymnem wojennym i płaczką pobojowisk jakiegoś dawno umarłego plemienia, jakimś ludziom pierwotnym przyspieszałaś uderzenia serca, zwiększałaś siłę ich ramion, krew pędziłaś do głowy. A teraz ty jesteś pieśń-duch i nie wywoływać mi ciebie z twojej mogiły! Nowym ludziom nowych pieśni potrzeba.

Hej dużo smutku natrząśł mi ten sen na duszę. I my pomrzemy, a pieśni naszych zapomną ludzie, którzy przyjdą po nas. I pieśni nasze pomrą. Rozplyną się tak samo we wszechświecie dźwięków, rozłamią na tony pojedyncze. Jednym tonem szumieć będzie wichur po dolinach, drugim jęczeć będzie fala morska, trzecim piorun huczeć będzie w chmurach, czwartym skarżyć się będą drobnego deszczu krople, a resztę ptaszęta leśne rozbiorą pomiędzy siebie na kołysanki dla piskląt, na piosnki miłosne... I choć je kto kiedy znowu złączy razem, choć pieśń-ducha wywoła, na niczyje lica pobladle nie wystąpią od nich rumieńce zapалу, w niczyjej duszy nie rozkołyszą się ich tony niby dźwięki dzwonu wzywającego na bój!

I czemu to tak?!:

Czemu to, co dla jednych było piękna i mocy zaklęciem, dla ich synów odległych jest pustem brzmieniem bez życia. Czemu wszystko mieć musi swój koniec, czemu wszystko umrzeć musi? nawet pieśń?!»

Viola.

Urywki z pamiętnika artysty.

«...Szary świt zimowy... pierwsze zaledwie, blade, słabe promienie światła wnikają w promrokę nocną... Śnieg przypadł puszysty, głęboki, biały... w tej pościeli śniegowej ziemia zda się spać jeszcze bógim, dobrym snem. Śpią wysokie galeziste topole, snać ciepło im w tych puchach białych. Senne wrony głowy pochowały pod skrzydła; pióra ich przyprószył śnieg, ale z marzeń nocnych obudzić ich nie zdołał. Śpią ptaki, śpią drzewa, ziemia śpi. Cisza...

Takim pamiętam cię, poranku, któryś był dla mnie wschodem nowego życia, i takim teraz występujesz z pod mego pędzla, szary, mroczny, mistycznych pełen drgnień, mistycznej, niepojętej ciszy. Wspomnieniem idę ku tobie, i kładziesz mi na czoło jak wtedy głębokie, chłodne zadumy, ciszą znów mnie otaczasz, i jak wtedy słyszę głośnie bicie własnego serca i... płacz

ten slysze straszny, który gnał mnie przez śnieżne pola, gdy z chaty ojcowskiej wczesnym, szarym rankiem uciekał w świat.

Ja jeden nie spałem! Mnie przed świtaniem zbudził potężny głos życia. On szalów dziecinnych wściekłością, on głośnym wewnętrznym krzykiem oddawna wołał mnie na walki, na bój!...

Porwałem się ze snów dzieciństwa, strząsnąłem z piór śnieżne puchy uczuć dziecięcych i, orlą młode, szeroko rozwinąwszy skrzydła, młodzieńczym lotem poszybowałem w dal.

Ale kto, kto płakał tak po mnie owego ranka?! Czy matka, gdy obudziwszy się, zobaczyła puste łóżeczko moje?... czy siostrzyczka malutka, gdy nigdzie znaleźć nie mogła braciszka?...

A może był to płacz rzeczy niemych? Może to kolebka, co mnie wykolysała, może stara, uboga chata ojcowa?

Zasłoniłem oczy i pędziłem przed siebie, lecz płacz ten nie ustawał... Ha! on potem miesiące całe grał mi w głowie, i teraz jeszcze czasem slysze go w snach...

Cichy, cichy i słodki był ten ranek ostatni, co w moich oczach wstał ponad rodzinnym domem!

Chciałbym odmalować cię wiernie chato słomą kryta, święta chato moja! Tęsknoty nieznane przedtem wzbierają w mej piersi, i w płacz się zlewają głuchy... Jak ja to wszystko pamiętam,

te okienka małe, ten krzyż na rozdrożu, tę lipę spróchniałą!... Najdrobniejsze szczegóły odra-
dzają się przed mojem okiem. Wszystko, wszystko
zmartwychwstało!

Stary nasz, dając nam temat konkursowy
«Cisza», chciał mi się sprzeciwić, chciał mnie
upokorzyć. On wie, że moim żywiołem burza,
że w duchu moim niema ciszy, ale on nie wie,
że była. Była, nim zmaćił ją kuszący głos jego,
nim krew w żyłach przedwcześnie zakipiała
mi warem, nim marzeniami sławy zapłonęła mi
głowa.

Znam ciszę spojrzeń — była w łagodnych
źrenicach mojej matki; znam ciszę zórz wie-
czornych — wschodziły krwawe nad moją ko-
luską; znam ciszę wiosenną szarego świtu ró-
wniny śnieżnej — zegnały mnie owego ranka!

Stary Ruskin ani domyśla się, jaką mu ci-
szę pokażę! Ona puchem śnieżnym przysypie
mu niezbielały włos, mgłą snów położy mu się
na duszy i uspokoi, jeśli tam co wre dotąd. Je-
żeli miał kiedy serce, jeżeli miał kiedy matkę,
przyśni mu się, że dzieckiem jest w ramio-
nach jej.

Od ręki rzuciłem kontur. Nie zmienię nic,
wszystko jest tak, jak było wtedy... Mam już
i senne w mroku rannym ptaki, i ciche śpiące
topole przyprószone śniegiem; wszystko niby
żywe podnosi się z przeszłości i występuje na

plótno. Pędzel mój, czarodziej ożywił to, co dawno już umarło. Cały poemat dzieciństwa mego, wszystko, co odtrąciłem od siebie owego ranka, wszystko to dzisiaj mam... w sercu. Obraz będzie dobry. Maluję z natchnieniem, maluję, a dusza moja śpiewa i płacze.

Raz jeszcze pokażę staremu, że nie zawiele trzymam o sobie!

Eh! Czyż ja właściwie mam współzawodników?! Satanista jest zdolny, ale to nie dla niego motyw. Marek przy swoim kolorycie jaskrawym i upodobaniu do gigantyczności nie wydobędzie nastroju, jakiego tu potrzeba. Tego idioty Wolańskiego nie boję się przecież! Kociuba umie pić i grać w karty, ale nie malować! Jedna Viola! Ta dziewczyna ma w sobie tyle ciszy, że tym razem jej jednej mógłbym się obawiać. Ale Viola zrezygnowała, żeby Wolańskiemu ułatwić zwycięstwo! Waryatka! Wolański musi zdobyć nagrodę, bo zakochał się, a jego wdowa, wstępny okaz kobiety o kurzym mózgu i kocich ruchach, ma ambicję! Ona nie odda swojej tłustej ręki artyście bez talentu. Wolałbym nie mieć talentu, niż mieć tę rękę! Jej małżonek musi nosić wieniec laurowy na czole! Gęsiom chce się laurów! Koniec świata! Ach ta Viola!

Wspaniale doprawdy! Ja miałbym rzucić swój obraz, wyrzec się pierwszego promyka

slawy, wyrzec się wyjazdu do Paryża, pracy, studyów, dlatego, żeby głupi Wolański mógł wziąć sobie swoją wdowę! A niech ją bierze. Niech ich oboje... On kocha! To istotnie wzruszające! Nie wiedziałem, że tacy kochają! Nie, Viola jest nienormalna!

Przyszła do mnie, jak zwykle eicha, jasna, z pogodą w oczach, z wiązanką bratków przy czarnej sukience — śliczne zjawisko! Przyszła prosić, żebym się wycofał z konkursu, bo wtedy nasz Filister Wolański napewno weźmie nagrodę. A wierzę!

Violo, ty masz gorączkę!

Nie, nie! Ty ustąpisz, prawda? Czemu dla ciebie ta nagroda?.. Będiesz brał inne, większe. O tobie będzie wiedziała Europa, świat cały! Ludzie genialni powinni, mogą być wspaniałomyślni. Ty jesteś wielki, on — mały... orle, miej litość nad wróblem szarym! Tobie życie da sławę, uwielbienie tłumów; będziesz porywał, działał; on tej jednej kobiety pragnie; ona dla niego szczęściem, niebem, wszystkim! Nie stawaj mu na drodze!

Na drodze do wdowy? O nie! Może być spokojny. Ja takimi drogami nie chodzę.

Nie żartuj, Gustawie! Gdybyś wiedział, w jakiej on gorączce żyje! Biedny chłopak, nie ma wielkich zdolności, ale to dobre, pocziwe stworzenie. Dziś był u mnie, i wiesz, rozplakał

się, usłyszawszy, że stajesz do konkursu. Żal mi go się zrobiło, bo nie mówił nic, tylko nagle po tej jego pełnej, dobroduszej twarzy zaczęły mu płynąć grube krople łez. Doprawdy tyle tam było bólu... nie, ty śmiejesz się, Gustawie.

— Ależ Violo, fatalny z ciebie obrońca! Co ty wygadujesz, carissima! Widzę tego grubasa rozplakanego, rozłzawionego... Komizm, wspomniały komizm! a ty śpiewasz elegie.

Wiesz, że ty się stajesz sentymentalna! To są dzieciństwa! Ja mam ustępować, odkładać wyjazd, tracić czas, dlatego, żeby pulchna pani Krokoszyńska — bo ona się nazywa Krokoszyńska, prawda? — żeby taka pani mogła pochwalić się sławnym mężem przed swojemi kumoszkami. A wiesz, że to jest idea!

— Za pół roku Ruskin ogłosi znowu konkurs. Temat dla ciebie — «burza». Wtedy pokonasz nas wszystkich, i polecisz w świat. Chwilę jeszcze — krótką chwilę pozostań z nami!

— Pokonam teraz! Pokonam wbrew chęci starego, wbrew naturze mego talentu, tobie i całemu świat wbrew! Ty nie masz temperametu artystycznego, ty nie rozumiesz wcale, czem jest pragnienie sławy. Idę przed siebie i łamię wszystko, co na drodze mojej staje. Ha! jabym z niej świętości stracił, jabym może ciebie nawet złamał! Idź, Violo, idź, nie mać mi ciszy.

Odeszła smutna, ale nie zgnębiona. Ma widać

jeszcze nadzieję. To jeden ze znamiennych rysów jej charakteru. Niema dla niej spraw straconych, a właściwie ona tylko te stracone kocha, i czepia się ich z fanatycznym optymizmem. Gdyby wiara mogła wskrzeszać, Viola wskrzeszałaby umarłych.

Jeden z ciemno-fiołkowych bratków odczepił się od jej sukni. Podniosłem go, trzymam w ręku, będę teraz myślał o niej i ducha mego otulą cisze.

Przewaliśmy ją Violą, bo jej idea, jej religią raczej, jest braterstwo ludzi (sprawa dawno przegrana), bo wszystkim nam była siostrą dobrą, bo ulubionym jej kwiatem-symboliem jest bratek trójbarwny.

Nie mogę dziś malować!

Wieczór u Ruskina, jak zwykle podniecił mnie, rozognił, rozgorączkował. Wyszedłem od niego z głową palającą, z duszą pełną żaru, z gorączką twórczą. Ten człowiek zawsze jednakowo działa na mnie, jak ostroga na konia. Chwilami i imponuje mi prawie tak samo, jak wtedy, gdym dzieckiem po raz pierwszy zabrał z nim znajomość. Sam nie wiem dlaczego, stoję przed nim sploniony, jak żak. Ale w tym samym momencie budzi się we mnie duma twórcy, i spoglądam na starego niemal z pogardą. Czem on jest wobec mnie, ten suchy człowiek prze-

zwany przez nas Raskinem, on, którego dusza nigdy żadnego nie wydała kwiatu, ten uczony historyk sztuki, ten znawca, ten esteta pozbawiony siły twórczej, geniuszu, natchnienia?!

W tej chwili dusza moja staje się kuźnicą, z której żarów tryska tysiące pomysłów, skier, i rac twórczych tysiące. Chciałbym natychmiast mieć w rękę węgiel, pędzel, lub pióro, chciałbym malować, pisać, tworzyć, zanurzyć dumną głowę tego starca w natchnień młodzieńczych morzu, ukazać mu zdala czasę upojen twórczych, winem poezyi przepelnioną za brzegi, błysnąć mu przed oczyma zielonym liściem lauru! On odgaduje doskonale wszystko, co w takich chwilach dzieje się we mnie — przenikliwy jest, jak nikt z ludzi — ale jemu podoba się moja pycha, moje zuchwalstwo nawet.

Wczoraj zagadnął mnie z jakimś złośliwym troche uśmiechem, czy rozpocząłem «Ciszę»? Zmieszałem się, ale po chwili rzuciłem mu takie spojrzenie, że stary ręce jął zacierać z radości, i spoglądać na mnie po swojemu, z upodobaniem znawcy. Czuje we mnie materyał.

Wogóle stary promienieje w tych czasach.

Jest wesół, bo tym konkursem pobudził nas do walki, do współzawodnictwa. On rad, gdy w gromadce naszej panuje ruch, gdy nie zaspimy snem leniwców, filistrów tłustych snem. Cieszą go nasze roznamiętnione fizyonomie, na-

sze gniewy i niechęci, nasze tryumfy i zawody. Wczoraj on, profesor i Ateńczyk szeptali ze sobą długo, spoglądając na mnie i na Wolańskiego, i uśmiechali się widocznie zadowoleni ze swęgo pomysłu.

Profesorzysko zachwycone moją «Pieśnią życia» chciał zrobić mi przyjemność: przeczytać ją gościom Ruskina! Oburzyłem się na taką meskineryę. Wyjść nie mogłem, bo wyglądałoby to na skromność młodzieńczą, a ja nie jestem skromny. Pozostać! Ja wpadłbym w szaleństwo, gdyby kto ośmielił się poemat mój zganić, zabilbym, gdybym odezwał fałsz pochwały. Kiedyś! Kiedyś! Ja wam przeczytam sam! Ale wtedy będę pewny i siebie, i was!

Ruskin poparł mnie przeciwko profesorowi. On na nic niesmacznego nie pozwala u siebie. Nie chce zrównać zgromadzeń swoich z pospolitymi salonikami dam-literatek. Istotnie u niego panuje jakaś atmosfera starogrecka. Nic nie maći tam harmonii; niema tam dysonansów.

Przez godzinę mówił nam wczoraj o Rosettim. Była to jedna z prześwietnych jego improwizacyj. On tych pogadańek dla nas nie przygotowywa nigdy. Przekonany jestem o tem, bo wczoraj sam podałem mu temat.

Mówił z całą właściwą mu błyskotliwością stylu, rzeczy głębokie, oryginalne, świeże. Ach, jak ten człowiek umie budzić żądzę sławy, żą-

dzę odkrycia nowych dróg, nowych hasel. W piekło pójśćby można, gdyby powiedział, że dla sztuki pójść tam trzeba... Ten Rosetti, to moja chimera! miałem kiedyś o nim sen szalony. Oddawał mi swój talent poetycki i malarski. Nie przyjąłem, powiedziałem: pójde sam!

Wszystko to razem zburzyło mi spokojny, senny nastrój, w którym kołysałem się przez tydzień cały, zburzyło mi z trudem zdobytą ciszę ducha.

Chciałbym przez czas malowania tego obrazu mieć w sobie duszę Violi. Ona jedna była wczoraj tak niezmiernie cicha, taka pełna snów, tak w odległe jakieś miraży wpatrzona. O czem ta piękna, jasna dusza marzy?... Pytałem ją wczoraj, ale w odpowiedzi otrzymałem tylko uśmiech tajemniczy. Ubrana w białą, ciężką suknię — ona ubiera się tylko biało lub czarno — smukła, jak kolumna, była «w stylu», w stylu panującym u Ruskina, a pomimo to wyróżniała się wśród wszystkich tych pięknych, intelligentnych, dowcipnych, smakiem artystycznym obdarzonych kobiet, które stary zbiera u siebie. Jej tylko, i brzydkiej, pochmurnej, jak noc, S a f o, duch twórcy położył na czole nieomyślne znamiona artyzmu. One obiedwie promienieją, każda inaczej.

Na tle ciemno-zielonych bluszczów i cyprysów zdobiących salon Ruskina, pod promieniem

elektrycznego słońca stanęła Viola. Wyglądała na biały, cichy posąg grecki. Gdybym ją taką białą pochwycił, i na płótnie pokazał Ruskinowi z napisem: «Cisza», wziąłbym nagrodę. Ale wyraz, wyraz jej twarzy! To coś nieuchwytnego! Powiem, rzecz przeciwną, t. zw. zdrowemu sensowi: to coś niezależnego od rysów, od kurezów mięśni, to coś niezziemskiego. Ile razy próbowałem malować ją! Była to Viola, a nie Viola jednak, nie cicha, serdeczna dziewczynka z wiązką bratków u boku, nie wizjonerka promienna, wpatrzona w miłości dalekie, nie wschodzące jeszcze słońca... jej nie namaluję nigdy! Prędzej tę dziką, potępioną Safo!

Nie mogę pracować; pójdę do Violi! Dwa dni spędziłem w jej towarzystwie. Była to dziewczynka w świątecznej sukiencek. Jej twarz miała mały, błękitny, kwadratowy kształt.

Nie cierpię niedobitków!

Kocham zwycięstwo, tryumfów szaleńcze. Poezyi klęski nie rozumiem, nie odczuwam. Ha! może zgodziłbym się na klęskę jakąś olbrzymią, ostateczną, pogrom, po którym nie pozostałby nikt żywy, nikt rozwodzący żale i jęki. Mogiła powinna być ogromna, cicha, w pustym, bezludnym porzuconym stepie.

Tam wichry tylko gwarzyłyby nad nią, wieczorami miesiące wschodził czerwony.

W takiej mogile leżeć zgodziłbym się może,

Powoli, powoli wyrastałyby na niej drzewa warzynowe, legenda osnuwałaby ją pajęczyny złotemi...

Ale przeżyć klęskę, wśród żywych nosić zbolalą maskę upiora, być budzącym litość lachmanem przeszłości... to obrzydliwe!

Viola patrzy na te rzeczy zupełnie inaczej. Jej, jak nieboszczykowi Katonowi, tylko sprawa zwyciężonych jest miłą. To też otoczenie jej to zbiór niedobitków, upośledzonych, kalek. Jej dom to schronisko wszelkiego nieszczęścia, ułomności, brzydoty. Bo nieszczęście jest zawsze brzydkie, bo nieszczęście to choroba, to występki, to na drzewie ludzkości narodził wstręt — dla niej to... świętość.

Dzwonię do jej drzwi — otwiera mi blada dziewczynka w żałobie. Sukienki jej trzyma się mały chłopczyna, istota suchotnicza, brzydka, zgarbiona pod ciężarem jakiegoś dziedziczości, patrząca oczami pełnymi przerażeń, przekazanymi jej zapewne przez matkę wraz z życiem — nędznym okrucieństwem życia. To siostrzeńcy Violi. Ojciec ich przepadł w jakiejś burzy, huragan jakiś odniósł go daleko, matka umarła. Ten mały jest dzieckiem jej agonii. Viola hoduje te rośliny z góry na zagładę skazane! Przez otwarte drzwi widzę, snującego się w głębi mieszkania staruszka, dotkniętego łagodną melancholią. Ten nie jest żadnym krewnym Violi, ale ma prawo do

jej czci i pomocy. Jest szczątkiem przeszłości ocalałym z pogromu. Viola niemal modli się do niego.

— Cioci niema w domu — oznajmia mi mała.

Uciekam, żeby nie natknąć się na matkę Violi, osobę pełną wymagań, żalów, pretensyi i wspomnień.

Viola pracuje na nich wszystkich, i żyjąc w tym łzawo melancholijnym kwasie, ma taką jasność w oczach, taką pogodę na czole! osobliwa istota!

Muszę ją zobaczyć, muszę zobaczyć dziś jeszcze. Zmąciłem sobie ciszę i tylko przy niej zdolałam ją odzyskać.

Byłem tam wieczorem i wracam cichy... nie tylko cichy; rzewny wracam i smutny, pochylony pod ciężarem. Łzy, wielkie łzy padły mi na duszę. Ha! takim, jak dziś, nie byłem jeszcze nigdy. Co ta dziewczyna robi ze mnie!

Przyszedłem — nie było jej jeszcze. W pracowni ciemno, powietrzem płynie woń fiołków. Usiadłem w rogu kanapki; było mi tam spokojnie, dobrze — zdaje mi się, że zasnąłem na chwilę. Gdy otworzyłem oczy, pusta przestrzeń sąsiedniego pokoju zalewało światło księżycowe. Przez otwarte szeroko drzwi patrzyłem w tę

przestrzeń, drgającą srebrnym i zielonawym blaskiem. Wtem przez światłość tę przesunął się cień wysoki, wąty, i zniknął, potem przesunął znowu. Poznałem siwowłosą głowę i bladą twarz starego melancholika. Chodził prędkim, gorączkowym, ale tak cichym krokiem, że stąpań jego nie słyszałem. Nagle przystanął, i zwrócił ku mnie swoje oblicze upiora. Gorejące oczy, twarz trupio-blada, od zielonawych tonów księżycza zielonawą, wykrzywioną bólem, widmo to zwróciło na mnie. Dreszcz nie trwogi, ale grozy jakiejś wstrząsnął mną. To na tę to na ową stronę chwiał starzec osrebrzoną głową swoją i szeptał urywane jakieś wyrazy. Niektóre słowa jego przylatywały do mnie: «Kwiaty skoszone! — mówił — gołębie białe, w czerwone luny lecące... miłości moje... znikło jak sen... ognik błędny...» i t. d. Obłęd chwytal go widocznie. Nagle pochylil się naprzód, jakby ściagal w ciemności niksający mu obraz i krzyknął rozdzierająco, boleśnie: «bracie mój, patrzyłem w oczy twoje, gdyś gasł!...»

Coraz wyraźniej występowały mu na twarz znaki obłąkania. Nagle ukląkł na ziemi, ręce wyciągnął przed siebie i cichym, ale przejmującym głosem szeptał: «mogilo, mogilo matko, weź i mnie, weź!» Głos jego przechodził w jęk: «otom lachman stargany, ognisko wygasłe... mogilo-matko!...»

Nie wiem czemu, gniew mnie porwał szalony. Nie znoszę jęków, nienawidzę ludzi, którzy nie umieli umrzeć w godzinie przeznaczenia swego. Chciałem poskoczyć do tego starca, wstrząsnąć nim i krzyknąć: czemu wtedy nie położyłeś się do tej mogiły, czemu małodusznie zachowałeś życie? Ten stary jęczący wydawał mi się nędznikiem, uosobieniem klęsk życia, uosobieniem jego ohydy. Ale w tej chwili między nim a mną stanęła Viola, i siłą jakaś tajemnicza przykuła mnie do miejsca. Nerwy moje uległy dziwnemu rozprężeniu; uczulem się słabym, sennym, mdłym niemal. Potem ogarnęła mnie jakaś błogość rzewna. Dusza Violi, mgła wonna otoczyła mnie jasnym upajającym tumanem i wnikała w moją istotę. Czulem, że w tej chwili mam w sobie duszę tej dziewczyny, że na tego starca jej oczyma patrzeć muszę. Zadzwonily mi w uszach nie nowe, ale jakby słyszane kiedyś i zapomniane melodye. Ukryte w głębi serca, niewyplakane łzy napłynęły mi do oczu. Do tego pogardzonego przed chwilą, starego człowieka z męczeńską twarzą, uczulem nagle jakąś miłość, gwałtowną i żalną, taką zapewne, jaką czuła ona. Dziwnie, bardzo dziwnie było mi w owej chwili. Wrażenia z błyskawiczną szybkością

przebiegały po moich nerwach, myśli tysiące zapalało się w mózgu i gasło.

Jedno wspomnienie zapanowało nagle nad wszystkim. Przyszło mi na myśl, że za chatą moją w lesie była naga, samotna, opuszczona mogiła. Może to ta, do której on wyciągał nagię, wyschłe ramiona. Może ta sama, może taka sama... I w tej chwili usłyszałem płacz głuchy, ten płacz, który gonil za mną, gdy z ojezycznej chaty szarym, śnieżnym rankiem uciekał w świat, ale w melodii jego były jakieś tony, których nie odróżniałem przedtem. Może to mogiła ta płakała tak po mnie... Może, wszak dzieckiem śniłem o niej nieraz. Wstawali z niej umarli, i z rozkrzyżowanymi ramionami, jakby błogosławiąc ziemi, szli ku polom dalekim. Gdy stałem tak zasluchany i pełen dum, Viola wzięła mnie za rękę i łagodnie, jak dziecko, wprowadziła z pokoju.

Powiedz mi, czy to mogiła?... — pytałem nieprzytomnie.

Zdaje mi się, że odpowiedziała: «tak, to mogiła płacze...» A może to wszystko snem było tylko, doprawdy, ja nie wiem... ale płacz ten słyszę dotąd i smutny jestem, i cichy, i znowu malować mogę ubogą, śniegiem zasypałą chatę, i sosny leśne, i między sosnami rzuconą gdzieś tę mogiłę...

«Sztuka dla sztuki!» Niedolegi! Sztuka dla świata! dla sztuki świat!

Mówcie, co chcecie, obludnicy! Gdyby zbrakło tego tłumu, którym gardzicie pozornie, żaden z was nie jąłby się pędzla, czy dłuta, czy pióra!

Jam szczery, i mówię wam ludzie: chcę duszami waszemi zawładnąć, chcę, by prąd natchnień moich przeszedł po nerwach ludzkości, by pierś jej rozgorzała, poczętym w mej piersi ogniem, by serce jej w rytm mego tętna biło! Chcę być wzruszeń jej panem, władcą jej snów, jej czynów zwiastunem!

Ja z otchłannych głębin jej ducha dobędę to, co dla niej samej jeszcze tajemnica, ja mgłom jej przeczuć kształt nadam boski! Z kałuży ziemskich ją wyniosę i skrzydła jej dam!

Gdy powiem: śnij! — w upojeniu rozkoszy pochyli czoło senne, mgłami marzeń owiane.

Gdy powiem: wzleć! — rozwinie skrzydła i pył meteorów złotych miotąc po drodze, pomknie ku słońcom... a gdy rzeknę słowo: giń! — marzeniem krwi i ofiary pijana, po śmierć piękną pójdzie radosna i śmiała!

Jeszcze chwilę! Jeszcze mi sił nabrać potrzeba, a potem w bój!

Ludzkości — kochanko moja, ty oddać mi się musisz!

Miłość moja młodzieńcza i silna. Nie pięścić

cię będę, lecz i rwać za sobą na gór wyżyny,
w nieskończoność, w błękit!
«Ciszo», dziecko moje, pod sąd starców cię
oddałem! Po dziewiczym ciebie twym spojrzeniu
ich ślizgać się będą. Wystygłe ich dusze zapy-
tają się, skąd wzięłaś wdzięk swój, chłodne ich
rozumy zanalizują melancholie twoje!
Gdy myślę o tem, kłąć mi się chce i szar-
pać za włosy! Odkryłem im, dobrowolnie od-
kryłem, że w duszy mojej jest zakątek smutku
pelen i tęsknoty, że jest wonny, zielony gaj
wspomnień, błyszczący brylantami rosy. Może
to nie rosa... lzy może?...
Gdy Ruskin brał mnie pod brodę, i patrzył
w oczy, szukając w nich śladów tęsknoty za
domem, ja, dziecko, nie płakałem wtedy, patrzy-
łem nań śmiało i jasno, choć ból-zwierz szar-
pał mi piersi.
A dziś czemu, czemu pokazałem mu to, co
tailém lat tyle?
Niechby wiedział, że miałem wiosnę, że mia-
łem raj, z którego on wąż-kusiciel wywiódł mnie,
i którego wrota zamknęły się za mną na wieki,
ale niech nie wie, niech nie domyśla się, że po
tem szczęściu chwilami dusza moja płacze.
Ha! skończone już?
Chodzę po równinie szerokiej jak step, jak

step melancholijnej. Tu oddychać łatwiej; w mieście wytrzymać nie mogłem, dusiłem się. Powietrza, powietrza i przestrzeni! Niebo nademną jednostajne, szare... gdzieś tam na świecie błyszczą pewno słońce, gdzieś tam na świecie pioruny biją i huczy grom. Tu cisza, cisza i spokój... śmiertelny jakiś... Przyroda jakby czekała, i ja czekam, i słyszę uderzenia własnego serca.

W chmurach nademną wielki ptak jakiś się kołysze... kto on? gdzie pofrunie? czy w tamte strony, kędy słońce świeci, czy tam, gdzie biją pioruny?...

Świerszcze świerkają monotownie... ciepło i cicho... zdaje mi się, że gdybym teraz wyteżył wzrok, widziałbym daleko... daleko, poprzez ściany drewniane i kamienne... zdaje mi się, że gdybym ducha wyteżył, wiedziałbym wszystko. Na tym stepie stałem się widunem; potęgę jakąś jasnowidzenia czuję w sobie. Coś dziwnego zachodzi we mnie, jakby burzyły się, i wstawały ciemne, głębokie, zwykłe mileżące wody. Patrzę... nie oczami, patrzę jakąś siłą, która jest we mnie... nic jeszcze nie widzę, nic nie wiem... teraz... ha!

Wolański wziął nagrodę! Ten osiel wziął nagrodę. Głos jakiś powtarza mi uparcie, krzy-

czy mi nad uchem te nieznośne słowa: Wolański wziął nagrodę!

Wczoraj szalałem, dziś myślę. Ruskin i jego klika dali nagrodę Wolańskiemu, i postąpili słusznie. Ja przyznać muszę, że postąpili słusznie. «Cisza» Wolańskiego jest lepsza od mojej!

Skąd on to wziął, skąd on to wziął?

Nim powiedziano nam jeszcze, kto zwyciężca, stanąłem przed obrazem Wolańskiego, i skamieniałem. Tam była matka moja! Wpatrzona w blaski zachodzących zórz, siedziała na progu chaty z dzieciątkiem u łona. Rysy niezupełnie te same, wyidealizowane, ale wyraz, wyraz! Gdzie on zdobył ten wyraz ciszy i świętości, gdzie zdobyć go mógł ten... idyota? bo on jest idyotą bądź co bądź, bo ten obraz to coś niezrozumiałego, nadzwyczajnego, to nie jego pędzel, nie jego duch!

Jaka ona tam cudna, jaka czysta! To czoło jej, dum pełne prześnionych już, to czoło jak przezroczystego jeziora toń, te oczy łagodnym światłem miłości macierzyńskiej płonące, to jej oczy! To ona! Boże! Boże!..

Gdym stał przed tym obrazem, w duszy mojej zerwał się nagle płacz, ten płacz co pędził za mną przez śnieżne pola, płacz taki głośny, że głuszył wszystko, co dźwięczało dokola. Podobno mówiono do mnie — nie słyszałem,

podobno ktoś głupi zaczął mi wieszować, myśląc, że to mój obraz — nie widziałem go.

Witałem sercem spojrzenie matki mojej, witałem ciszę wieczornych zórz... śniłem, że dzieciątko na ręku tej madonny, to ja, maleńki, senny, najszczęśliwszym ze snów, dzieciństwa snem kołysany.

— Sluchajno — rzekł mi Satanista z miną ponurą — ta twoja «Cisza» dobra, bardzo dobra! Wieszuję ci!

— Żartujesz głupio. Wieszuj Wolańskiemu, nie mnie.

— Kpisz?

— Nie kpię! Miałbym cię za ostatniego filistrę, gdybyś nie odczuł, że w obrazie Wolańskiego jest więcej nastroju, więcej szczerego liryzmu, więcej tej ciszy, o którą chodziło, niż w moim — gdybyś nie poznał się wreszcie, że jest lepiej malowany, niż mój.

— Mówisz o obrazie nagrodzonym?

— Zidyociales? Czyż o inny chodzi?

— Zgadza się z tobą zupełnie — mówił powoli Satanista — ale nie wmówicie we mnie, że to Wolański malował..

— Jakto?

— Ta purchawka! Ten worek Izawy? (Satanista szczególnie nie cierpi Wolańskiego). Prędzej uwierzę, że kanonizowanym będę, niż że

on zdobył się na takie w swoim rodzaju, arcydzieło. Co za rysunek tych ust! A co za czolo! Za ciszę tego czola dalbym już nagrodę. Ale to nie on!

Przyzwyczajony jestem do fantastycznych pomysłów tego cudaka.

— Więc cóż, myślisz, że dyabeł malował za niego? — pytam.

Satanista spojrział na mnie z nieukrywanem uragowiskiem, i zamyślił się.

— Szatan? anioł prędeż... to nie szatańska robota... szatani nie lubią głupich, takim Wołańskim nie pomagają... wiesz, tej nocy miałem dziwną wizję... owad, piękny, złocisty owad, o szmaragdowych, przezroczystych skrzydłach, unosił się przede mną; patrzył na mnie czarnemi, tajemniczemi i tak niezmiernie, niezmiernie inteligentnemi oczami, i mówił mi coś o tobie, o niej, o tym obrazie, ale nie pamiętam co, zapomniałem, a może nie zapomniałem, tylko tego, co on mówił, w słowie ludzkim niema... Co to może być za duch?...

— Wizyami nie zawracaj mi głowy! Zaczynamy już po swojemu. Mówię ci: leć się! bo cię wsadzą do czubków...

Satanista wpadł w gniew; chciał łamać stolki, ale po chwili udobruchał się, i rozstaliśmy się, jak zwykle, w najlepszej zgodzie. Poszedł ma-

rzyć o swoim owadzie z niezmiernie inteligentnymi oczami.

Viola unika mnie, unika ludzi wogóle, jest jakaś smutna, przygnębiona. Pytałem ją o powody tego stanu ducha, ale odpowiedziała mi tylko, że matka jej chora. Myślałem, że spotkam ją u Ruskina; nie przyszła. Co to wszystko znaczy?

Stary rozpromieniony, bawi się teraz Wolańskim, a jeszcze lepiej podobno małym obdartusem jakimś, w którym odkrył talent rzeźbiarski. Chłopaczyna ponury jakiś, dziki, nieczesany, ale zaprawdę lepi z gliny nadzwyczajności.

Gdzieś w lesie, na polanie, przy bydle, zdybał go stary. Z ziemi wstawały wonie wiosenne, w dali porykiwało bydło, mgły podnosiły się z zielonych, wilgotnych dolin, a ten dzikus strugał sobie kozikiem, czy lepił z gliny kształty dla swoich snów.

Posłyszeć trzeba, jak to opowiada Ruskin, jaki tworzy z tego obraz świeżością, wiosną tchnący.

Porwał chłopaka od bydła, z lasu, jak nas wszystkich, od komina, od chaty, a teraz będzie go hipnotyzował promieniami gwiazdy - sławy, pozwoli mu cierpieć głód i chłód dla sztuki, będzie mu naznaczał konkursy, ostrogami krwa-

wilboki, hartować go będzie i podniecać, aż zrobi z niego opętanego farysa o płomiennem oku i spiekłych gorączką wargach, szalonego gońca ideału po jałowym stepie życia.

Poczekaj mały, zatęsknisz i ty kiedyś za polaną swoją, za dzwonkiem swojej krowy, za wiosny leśnej zapachem...

Ruskin nie wierzy także, żeby Wolański mógł być autorem tego ślicznego obrazka, ale udaje, że wierzy!

Wyrwę się od nich wszystkich raz! Wydobędę się z pod przemocy tego człowieka, który dlatego tyko, że ma nademną jakiś rodzaj władzy, jest mi nienawistnym. Pójdę sam, o własnej pójdę mocy! Dostałem zamówienie na obraz, namaluję i pójdę w świat, na zachód. Więcej nauczę się tam przez rok, niż tu przez lat tyle. Walczyć będę, łamać się będę z życiem, ale sam! Czuję się silnym, czuję się olbrzymem! Ach, jak mi łatwo oddychać, jak dobrze! Jak dobrze jest oddychać powietrzem swobody!

Wolno mi malować, co zechcę. Namaluję mu burzę, temu kupcowi, który przeczuwa, zdaje się, że na moim obrazie zrobić będzie można za lat parę dobry interes, i rzucę ich wszyst-

kich. W żywiole moim, w burzy, żyć będę rozkosznie miesiąc parę, a potem: żegnaj mi płaska twarzy Wolańskiego, korpulentna postaci milej jego małżonki, żegnajcie mi wszystkie robaki tutejsze! Zostawiam was w waszem błocie!

•Gdy dzieci gminu z płaczem w świat wchodzą,
Mnie burze życia, wichry nie szkodzą!
Jam się z nich naśmiał w chwili powiecia,
W burzy jam poznał wesele życia!•

Nie wiem gdzie i kiedy to czytałem, nie pamiętam, kto to powiedział, ale to są moje, moje, moje słowa!

Śnię burzę, śnię ją w nocy i w dzień!

Wicher wyje, do ziemi drzewa gnie; w chmur kłębach huczy grom! Na niebie zapalają się pożary, pożary ogromne; widnokrąg cały gore luną błyskawic, ale widnokrąg niezmierny, taki, jakiego nigdy nie widziałem na ziemi. Dziś w nocy przed tą burzą myśli mojej, przed tem czerwonym płomieni morzem, zadrżałem sam! Ale o dniu białym wyciągam ku niej ramiona, ochocze, młodzieńcze, wichrów i burz spragnione ramiona! O myśli moja! bogatą jesteś i silną. Przed twórczą mocą twoją czasem sam cofam się zdumiony. Dziś fantazyi płomienne kwiaty zrzucasz mi na płótno, a ju-

tro... alboż ja wiem, co narodzi się w łonie twojem?...

Radosny byłem, silny, jak wichur, który hula po pustem dalekiem przestworzu. Viola wytrąciła mnie z mojej kolei, stanęła na drodze mego lotu, stanęła smutna, blada, biała. Przyszła do mnie bez wiązanki bratków, bezsenna, żalobna jakaś w spojrzeniu i postawie. Przyszła powiedzieć mi, że matka jej ma raka w gardle, że to choroba nieuleczalna, że za parę miesięcy spodziewa się jej śmierci.

Chciałem wyprowadzić ją za miasto, w pole, miałem w sercu słowa pełne uniesień, miałem w duszy potężny, namiętny jakiś poryw. Słuchać nie chciała. Odeszła smutna, z pochyłoną głową — płacząca brzoza!

Hej smutki z drogi! Z drogi żaloby i nędze życia! Jeżeli ginąć, to w burzy potężnym uścisku!

— Jedziesz? jedziesz! — pytała mnie z jakimś w oczach oblakaniem, którego dotąd nie dostrzegłem u niej nigdy. Ból, nad którym zapłnować nie mogła, wykrzywił jej słodkie usta...

O Violo moja! patrząc na ciebie w owej chwili, zrozumiałem, odgadłem... ty kochasz mnie! tyś mnie kochała, a jam o tem nie wiedział!

Wicher wiosenny, gdy powieje, topi powłoki lodowe, w łonie ziemi budzi życie zamarłe... z pod śniegów wstają kwiaty i barwnymi płatkami rozwijają się do słońca.

Myśl o miłości jej była dla mnie wichrem wiosennym, pieśczośliwym, ciepłym wietrzykiem, który obudził serce moje. Ono spało, od dalekich dni dzieciństwa spało ciężkim, męczącym snem...

Wtedy, gdy nikt mnie nie kochał, gdy byłem sam, pożerany nieugaszonym płomieniem pragnień i marzeń, ona kochała mnie anielską, cichą miłością!...

Uczulem, że coś łamie się we mnie, kruszy, że topnieją kamienne powłoki, którymi opancerzyłem serce, i nagle... ryknąłem głośnym, gwałtownym płaczem...

Ona mnie nie pojęła, nie wiedziała, co znaczy ten wybuch! Zbielała jak lilię chwyciłem w ramiona, i całowałem jasne jej czoło, słodkie oczy i usta... a potem uciekłem nieprzytomny, oszalały...

.

Nie pojedę, nie pojedę, Violo moja!

Nie zostawię cię tutaj przy konającej matce, z sercem rozdartem, samotną, zbolalą. Nie pozwolę ci zamęczać się pracą, upadać pod cięż-

żarem nocy bezsennych, trudów i lez. Nie pozwolę ginać ci z bólu, kwiecie mój cichy...

Nieustannie mam w pamięci ten szept jej namiętny: «nie porzucaj mnie, nie odjeżdżaj, bo chyba jak pies powlokę się za tobą... nie odpędzaj mnie... bo zginę!..»

I chwytala mnie za ręce, i wyciągała ramiona, jak ten, co przepaść otwartą widzi u swoich stóp. Patrzyła pełnym bólu wzrokiem sarny zrąbanej śmiertelnie.

Kto mógł domyślać się, że w tej cichej dziewczynie tyle jest namiętności?

Nie, nie! Nie porzucę cię, słodkie, kochające dziecko! Zmęczoną główkę swoją kłaść będziesz na mojej pierś, lzy twoje pocałunkami wypiję, bijące, jak u ptaka, serce uspokoję uściskiem.

A potem, potem porwę cię za sobą w świat. Dusze nasze razem chłonać będą w siebie promienie piękna, razem walczyć i pracować dla sztuki. Natchnieniem mojem będziesz, pogodą moja, moją ciszą.

Jak dziecko radosny jestem i lekki.

.....
Každy jej uścisk niesie mi woń kwiatów wiosennych. Jej obecność, jej widok wprawia mnie w stan słodkiego, nieuchwytnego marzenia. Gdy z drugiego pokoju patrzę na jej jasną

główkę nachylającą się nad robotą, zdaje mi się, że słyszę jakąś daleką muzykę, jakby cichy brzęk harf, jakby granie duchów na niewidzialnych strunach.

Biedna moja Viola smutnieje coraz bardziej. Ta choroba matki jej idzie naprzód, jak złe niewstrzymane. Rzadziej bywam u nich. Nie mogę słuchać jęków! Pogodziłem się z dwojgiem mizernych, skrofulicznych dzieci, pogodziłem się ze starym melancholikiem, ale te jęki kobiety-wpółtrupa są wprost nie do zniesienia.

Z takimi rzeczami nie oswoję się nigdy. To odbiera ochotę do życia.

Zapytywałem lekarzy. Taka choroba wlec się może podobno lat parę. Czy to możebne, żeby Viola lat parę przykutą była do łóżka tej nieszcześliwej. A ja? Przecież nie mogę zmarnować życia, nie mogę gnić tu z nią razem! Przypatrywać się opatrunkom, operacyom, przysłuchiwać się narzekaniom, jękom, płaczom — to kłeska, to grób za życia. Ja chcę światła, słońca, woni — nie zgnilego powietrza trupiarni.

Viola nie pojedzie ze mną, nie pojedzie teraz, ani potem. A obłąkany staruszek, a dwoje mal-

ców? Cóż stałoby się z nimi. Ona ich nie rzuci, nie rzuci nawet dla mnie, wiem o tem.

Ona chciałaby zatrzymać mnie tutaj, a ja nie zostanę! Ożenić się, pracować, wieść płaski żywot filistra! Nigdy! Czy ja Wolański?

Dusžno mi — źle! Czuję, że wszystkie siły twórcze zamierają we mnie. Czuję, że ginę, że zapadam po szyję w jakieś bagno czarne, wstrętne. Powietrza, życia, radości!

A jednak!

O moja Violo! Nie patrz ty na mnie temi oczami gazelli, czekającej na śmiertelny strzał z ręki myśliwca!

Ona lęka się pozostać sama z tą umierającą. W jej zmęczonej cierpieniem duszy wyrosła podobno chorobliwa idea, że ta słaba nić trwa dopóty, dopóki ja jestem z niemi.

Czemu ona pragnie przedłużać ten żywot nieszczesny?

Od tygodnia widuję ją tylko raz na dzień przez chwilę. Ma gorączkę w oczach. Tam u nich coraz okropniej, coraz straszniej. Wolałbym, żeby nie przychodziła wcale. Jej widok przywodzi mi na pamięć wszystkie niedole bytu, zrywa najcudniejsze nici marzeń, pogrąża mnie

w jakąś apatyę, w jakąś bezsilność, zapala wreszcie gniew głuchy. Nie mogę myśleć, przestałem tworzyć; z bogactw ducha mego nic wydobyć nie mogę. Żebrakiem stałem się, dzięki jej — bezpłodnym, jałowym, marnym bazgraczem! Strach mię ogarnia. Gdzie talent mój, gdzie twórczość moja? Muszę, muszę wydobyć się stąd! Ha, ona nie powinna nawet wymagać, że bym pozostał!

Jaka w niej potęga jasnowidzeń!

Przyszedłem do niej wzburzony; huragan jakiś wyl mi pod czaszką to jedno słowo: uciekać! uciekać! Spojrzałem, była bardzo blada, i noc bez nadziei miała w oczach. Pierwsza powiedziała mi, ze straszny, martwym spokojem: — «jedziesz — wiem».

Powiedziała to tak jakoś dziwnie, że w pierwszej chwili chciałem zaprzeczyć, ale nie miałem sił, nie miałem odwagi, nie miałem woli. Słowa jej były rozkazem, czy jakąś sugestją fatalną. Wyprowadziły na jaw to, co do tej chwili jeszcze tylko jako pragnienie wrzało w mej duszy. Ona sama zamieniła to w zamiar nieodwołalny.

Wstała i zaczęła chodzić po pokoju; ruchy jej były jakieś sztywne, automatyczne. Przybliżyła się do mnie i rękę położyła mi na ramieniu:

— Nie chciałabym, żebyś unosił w duszy żal jakiś za mną. Lepiej będzie, jeżeli się dowiesz, że ja... ja nie kochałam cię nigdy, że cię skrzywdziłam ciężko, bardzo ciężko...

Głos jej łamał się, widocznie toczyła ze sobą ciężką walkę. Patrzyłem na nią ze zdumieniem.

— Ten obraz — ciągnęła dalej — ten obraz... Wolańskiego ja namalowałam... wiem, że mi tego nie przebacysz nigdy... i dlatego mówię ci, żebyś znienawidził mnie, nim odjedziesz... żebyś nigdy już nie pomyślał o mnie z miłością... z tęsknotą...

Nie płakała, nie szarpała się, a zdawało mi się, że umiera z bólu. Krzyknąłem za nią. Ona wzięła ten za krzyk oburzenia i jaśniejszy jakiś promień przemknął jej po twarzy.

Stała przy oknie z rękami opuszczonemi, bezwładnie na suknię, jak całun blada. Ująłem tę zimną jej rękę i zacząłem całować namiętnie.

— Violo, powrócę i zabiorę cię z sobą! Ty malowałaś obraz? Cóż obraz znaczy! to była drobna przykreść, o której zapomniałem już; dałaś mi chwilę głębokiej rozkoszy artystycznej — mówiłem, sam dobrze nie wiedząc, co mówię.

Ach tak, to był twój obraz, to była twoja dusza, której nie poznałem. Ach ta twarz, mojej matki twarz łagodna, kochana!

Twojej matki? — powtórzyła jak echo

Viola, i jakiś cień zdziwienia, zamyslenia przemknął jej po czole.

Nie mogłem mówić dłużej, nie mogłem pytać. Chora obudziła się z jękiem i wzywała do siebie córkę-ofiarę.

Pijany jestem ruchem, gwarem, wrzaskiem; w takt szalonego tempa, w jakim tu skacze wszystko, bije i serce moje. Ale teraz czuję, że żyję! Z chciwością chłonę nadmiar wrażeń, silny jestem, nieznużony. Tak, tak żyć chciałem dawno, dawno, jeszcze tam w lesie.

W wir paryskiego oceanu zanurzam śmiało głowę, i cuda, i potworności morskiego dna podziwiam. W tej atmosferze talent mój zolbrzymieje. Pracuję szalenie. Chłonę nowe myśli, nowe poglądy, przerabiam, przetwarzam, spotykam ziszczone to, co sam przeczuwałem, czego pragnąłem...

Tu człowiek rośnie, tu duch się rozszerza, burzy granice, zrywa ciasne powijaki, jakimi go skrepowano...

Piję nektar życia — jestem szczęśliwy.

Na dzień szumiącej czary znalazłem nieprzewidywane słodycze. Teraz pracuję dniami całymi, a wieczorami całuję purpurowe usta małej Giraldiny. Kto ona, ta Giraldina? Cygańskie

jakieś dziecko, lawę ma w żyłach nie krew,
w oczach dyabelskie płomyki.

Miłość! Miłość tam u nas, to ciepła woda,
tutaj rozgorzała lawa... Z ust jej wyciągam
ogień, którym płoną cały.

Maluję drobne, śniade jej ciało doskonalej
piękności i harmonii. Chciałbym zwyciężyć tu.
Złoty medal w salonie! Ha, jeszcze nie teraz,
ale niedługo...

Żyję w gorączy, w szale, zacznym mało-
wać, podobnie jak inni młodzi tutaj, rzeczy
szalone. Ale moje — wielkie będą w swem sza-
leństwie.

Nie mam czasu myśleć; piję życie, miłość!

No, dziś pijany jestem naprawdę, pijany szam-
panem i przedziwnemi spojrzeniami ich pięknych
oczu... spojrzenia szatańskie, śmiechy rozkoszne...
ach, jak one się śmieją! Jak one patrzą! Tu ko-
bieta mówi oczami.

Pary błyszczących oczu tańczą przedemną,
nie wiem już które do której należały twarzy.
Całuję je wszystkie... Giralдина śpiewała sre-
brnym małym głosikiem... szelma dziewczyna...

ach, jak one się śmieją! Ale czemu tutaj tak bialo dokola? daleko przedemną, tak bialo...

Eh, jam zupełnie pijany! Muszę sobie przypomnieć gdzie jestem... no, u siebie, w mojem mieszkaniu... tak, ale tu takie mgły... coś majaczy w tej bieli... to drzewa... las, ach!... świt szary... chata... mogiła... Co tu snem?!

Hallucynacye! Nie chcę hallucynacyi! Zdrow jestem...

Widma, widma, czemu wstajecie?! Upiory, klnę was! Jam tu przyszedł pić z rwącej krynicy życia!

Klnę!...

«Nie wiem, czy dobrze robię, pisząc do ciebie, właściwie nie wiem, czy cię obchodzi to, o czem pisać będę, ale mniejsza... piszę, bo chcę— piszę, bo muszę... wreszcie Ruskin powiedział, żeby pisać.

Panna Viola jest ciężko chora, mówią, że jest umierająca. Oto, co miałem ci powiedzieć, a dalej rób, jak chcesz».

Satanista.

»Ruskin powiada, że tak nie pisze się listów, że trzeba opowiedzieć ci wszystko od początku. No więc od wyjazdu twego to tak było:

Matka Violi męczyła się jeszcze ze sześć tygodni, i po wszystkich katuszach umarła nareszcie.

Widziałem Violę w parę dni po pogrzebie, ale jej nie poznałem, bo była bardzo zmieniona.

Później... no, później nie wiem co robiła, ale nie malowała. Ruskinowi powiedziała, że została siostrą miłosierdzia, chodziła podobno po różnych zaułkach i pielęgnowała ubogich chorych. W końcu zaraziła się tyfusem od jakiejś kobieciny, tej samej, która służyła jej za model do nagrodzonego obrazu.

Bo nie wiem, czy ty tam wiesz, czy nie wiesz, ale ja wiem już napewno, że ten obraz niby Wolańskiego, malowała Viola. Powinniśmy byli co prawda poznać ją odrazu. Ruskin poznał pewno, ale umyślnie nic nam nie mówił.

Ta kobieta umarła, a Viola w parę dni potem położyła się do łóżka.

Wszystko to opowiadała mi Anielka, wiesz, ta mała. Nie było tam nikogo, więc z początku pilnowaliśmy ją we dwóch, ja i ten smutny pan, który mieszkał u nich. Teraz Ruskin przysłał zakonnice.

Powiadam ci, rzuca się w gorączce, oczy jej płoną, jak u widma. W dzień i w nocy wielkim głosem wzywa ciebie. Nie mogę słuchać tego błagania, tej prośby strasznej, a daremnej... i dlatego piszę do ciebie. Ja przywłóklbym się piechotą, o żebranym chlebie, gdyby kto wołał tak na mnie, ale ty rób jak chcesz.

Przez kilka nocy byłem przy niej... straszno

bywa, gdy dusza jej obcuje z nieskończonością — gdy cały świat hallucynacyi staje przy jej łóżku, ja człowiek żywy czuję, że zawadzam im. Hallucynacya — to prawda, mój drogi. Ja widzę wszystko to samo, co ona, ale dopiero po paru chwilach. Nie powiedziałbyś, że bredzę, gdybyś tu był i słyszał wszystko, lub gdybyś widział, jak chwilami leży sztywna, bez czucia, bez ruchu... Dusza jej odlatuje wtedy... może do ciebie... czy nie czuleś jej przy sobie kiedy, rankiem, czy nie dostrzegłeś jej cienia?

Zakonnica nie mogła dziś słuchać tego, co ona mówiła o tobie, i rozplakała się głośno. Ja myślę, że nawet Ruskin zapłakałby, ale on nie przychodzi tutaj, przysyła tylko doktorów i lekarstwa...

Rób, co chcesz, mówię ci, ale do licha człowiek zlitowałby się nad nią! A zresztą, co mnie do tego!

Co za list! co za list! Viola, umierasz samotna, wielkim głosem wołasz mnie do siebie! Umierasz przeze mnie! Ja zapomniałem! Boże wielki! Ta kobieta, model do jej obrazu, to chyba... matka moja! Ty święta! ja od jęków twojej matki uciekłem, moja na twoich rękach skonała! Ten głupi pyta, czy nie czulem jej obecno-

ści? To ona przyszła, to jej dłoń odsoniła przed duszą moją krajobrazy rodzinne. Ona mnie woła, a ja w czyich objęciach, w czyich?! Wypchnąłem za drzwi tę małą. Jade! jade! Czy zdąże?..

Zapóźno! Już jej niema!

Leży marmurowo blada, czysta, cicha... już cicha na wieki. Ręce ma w krzyż złożone, od rzes spuszczonech długie cienie padają jej na lica. Na skroni, z boku sina występuje plama, rozszerza się coraz bardziej i kazi białość cudnego czoła.

O Violo moja, Violo! Czemuś ty wierzyła, że ludzie są braćmi! I oto przyszedł człowiek-brat! Ha, ha, ha! Nie brat, zwierz przyszedł dziki, srogi, w samolubstwie nieublagany, i skrzywdził cię, słodka dziewczyno!

W ciszy smutnego, mglistego poranku, wyrosłaś Violo drobna, jak ten poranek cicha i smutna. Duszę-woń słałaś ku mnie, a jam cię podeptał! O kwiecie mój! O kwiecie mój!..

Kazałem przynieść kosz cały fiołków i bratków, drobnych bratków polnych i obsypałem ją całą dokola. Głowa jej tonie w tem kwieciu, kwiaty pieszczą jej stopy!..

Duszno, cicho... w powietrzu drga woń fioł-

ków... Czy to fiołków woń, czy dusza jej, eteryczna mgła, pieści czoło moje, usta, pieści, kocha, przebacza, jak za życia, jak zawsze... O Violo, Violo, nie przebaczaj, bo zginę z bólu! Twoje usta takie łagodne, uśmiech taki słodki. Ty nie zlorzeczyłaś mi, ty nie przeklinałaś mnie w chwili skonania!... Serce twoje,—miłości krynica wezbrana, dusza twoja — płomyk jasny... O Violo, czuję, że owiewasz mnie tchnieniem słodkiem, świetlistem... słabo mi... o ukochana... czuję cię... jesteś przy mnie!

Wiem... to pożegnanie ostatnie, a teraz dusza twoja uleci... tam nad pól zielen wiosenną, nad błonia dalekie... Tyś je kochała... Wiosny dech przez okna otwarte wpływa... ty zmieszasz się z niem, ty wietrzykiem będziesz łagodnym, chłodzącym uznojone czoła... ty pieśnią będziesz skowronczą nad ziemi obszarem, a może, może bratkiem drobnym tam, na mogile... ale już nigdy, nigdy nie będziesz moją!... Nigdy!... Violo! Violo! Violo!

Wiosna	61
Wiosna	63
Wiosna	65
Wiosna	67
Wiosna	69
Wiosna	71
Wiosna	73
Wiosna	75
Wiosna	77
Wiosna	79
Wiosna	81
Wiosna	83
Wiosna	85
Wiosna	87
Wiosna	89
Wiosna	91
Wiosna	93
Wiosna	95
Wiosna	97
Wiosna	99
Wiosna	101
Wiosna	103
Wiosna	105
Wiosna	107
Wiosna	109
Wiosna	111
Wiosna	113
Wiosna	115
Wiosna	117
Wiosna	119
Wiosna	121
Wiosna	123
Wiosna	125
Wiosna	127
Wiosna	129
Wiosna	131
Wiosna	133
Wiosna	135
Wiosna	137
Wiosna	139
Wiosna	141
Wiosna	143
Wiosna	145
Wiosna	147
Wiosna	149
Wiosna	151
Wiosna	153
Wiosna	155
Wiosna	157
Wiosna	159
Wiosna	161
Wiosna	163
Wiosna	165
Wiosna	167
Wiosna	169
Wiosna	171
Wiosna	173
Wiosna	175
Wiosna	177
Wiosna	179
Wiosna	181
Wiosna	183
Wiosna	185
Wiosna	187
Wiosna	189
Wiosna	191
Wiosna	193
Wiosna	195
Wiosna	197
Wiosna	199
Wiosna	201
Wiosna	203
Wiosna	205
Wiosna	207
Wiosna	209
Wiosna	211
Wiosna	213
Wiosna	215
Wiosna	217
Wiosna	219
Wiosna	221
Wiosna	223
Wiosna	225
Wiosna	227
Wiosna	229
Wiosna	231
Wiosna	233
Wiosna	235
Wiosna	237
Wiosna	239
Wiosna	241
Wiosna	243
Wiosna	245

Spis rzeczy.

	Str.
Przedmowa Józefata Nowińskiego.	
Duchy-Żórawie	1
Do celu (z podań ludowych)	6
Kwiaty (z księgi wspomnień)	14
Moje lilie (kartka z pamiętnika)	21
Powrót	28
Druid skamieniały	44
Szopen	53
Rycerze (z opowiadania)	60
Wigilia w lesie	75
List	81
Echo starej sagi	85
Na żalniku starym	95
W bój (ze wspomnień lekarza)	103
W słońcu (baśń)	111
W krainie elfów (baśń)	117
Noc (obrazy fantastyczne)	123
Dwaj niewolnicy (powieść ze starych pergaminów odpisana)	131
Na zawsze	138
W poranek majowy	151

	Str.
Powieści przątek	156
Dwa laury	175
Noc bezsenna	186
Błędny ognik	194
Sen artysty	199
Viola (urywki z pamiętnika artysty)	207



142
1
0
14
12
27
44
54
60
73
18
38
36
103
111
117
183
181
181
181

**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA**
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 79
Tel. 26-68-63.

K
574

K
574